

LIRA
WYDAWNICTWO

*Brawurowe pojedynki,
spektakularne ucieczki
i podróż w pogoni
za uczuciem...*

*Joanna
Mstulich*

ZDRAJCA i GENERALOWA

Saga napoleońska

*Joanna
Strulik*

**ZDRAJCA
i GENERALÓWA**

LIRA
WYDAWNICTWO



ROZDZIAŁ I

I

Żeby docenić to, co się ma, trzeba to wprawdzie utracić. — Ta uporczywa myśl towarzyszyła niemogącej zasnąć Émilie Treillard w mroźną lutową noc, którą przyszło jej spędzić w zajęтым przez armię Napoleona mieszkaniu w jednej z pułtuskich kamienic. Za oknem, z trudem opierającym się podmuchom lodowatego wiatru, szalała śnieżycą. W niewielkim pomieszczeniu, które pewnie zamieszkiwała wcześniej pani domu, a które teraz służyło Francuzce za sypialnię, panowała niezbyt wysoka temperatura, dlatego kobieta kuliła się pod pierzyną i mimo wielkiej niechęci, starała się być blisko śpiącego twardo męża. Łóżko nie było zbyt duże, ale pościel dano czystą i napalono porządnie, jednak od ścian oraz okien biło upiorne zimno.

Émilie leżała nieruchomo, żeby nie zbudzić Charles'a, co nie było łatwe, bo po kilku godzinach zdrętwiały jej wszystkie członki. Tym bardziej więc nie mogła spać, choć potrzebowała snu. Jej umysł gorączkowo poszukiwał rozwiązań sytuacji, która wydawała się bez wyjścia.

Najpierw straciła pierwszego ukochanego. Zginął tylko dlatego, że ją kochał. Zginął, bo Charles wysłał go z szabłą na armaty. Potem porwano jej jedyną córkę, która na szczęście odnalazła się, ale tym razem, zamiast żądnych władzy Polaków sympatyzujących z carem, przetrzymywał ją książę Józef Poniatowski. Wreszcie straciła Antoniego Podolskiego, człowieka, którego kochała i który nadal darzył ją uczuciem, choć przyznała mu się, że jest szpiegiem i wykradła korespondencję cesarza. Ale o tym, jak bardzo kocha Antoniego, przekonała się dopiero, gdy jego życie znalazło się z jej winy w niebezpieczeństwie. Pobity przez zbirów Charles'a Treillarda, jej męża, został w obskurnej warszawskiej kwaterze bez opieki i pomocy.

Émilie poczuła pod powiekami łzy. Wszystkich wokół krzywdziła, a najbardziej tych, na których jej zależało. Pierwszy ukochany, córka, teraz Antoni. O Treillarda nie dbała. Był znieawidzonym tyranem, który tylko dlatego jeszcze jej nie pobił, że nosiła pod sercem jego dziecko.

Gdyby nie śnieżycę, pewnie dawno Charles odprawiłby ją do Francji, choć dotąd nie zdradził, jakie ma wobec niej plany. Mogła się tylko domyślać, że zechce trzymać ją z dala od walk, jakie toczyły się w Prusach pomiędzy armią Napoleona a Rosjanami i pruskimi niedobitkami. Jako generał Treillard musiał brać w owych walkach udział. Póki Émilie pozostawała w tym zimnym, niegościnnym kraju, póty nie traciła nadziei, że uda jej się odzyskać córkę, odnaleźć Antoniego i uciec od niekochanego człowieka. Zdawała sobie sprawę, że powinna się trzymać z dala od Podolskiego, który był od niej młodszy. W końcu nie dość, że ściągnęła na niego niebezpieczeństwo, to jeszcze miała męża, a to oznaczało, że nigdy nie będzie mogła być z Antonim. Rozpaczliwie pragnęła dowiedzieć się, czy nic mu się nie stało, bo że przeżył, nie miała wątpliwości. Czuła to gdzieś podskórnym, a może po prostu nie umiała sobie wyobrazić, że mogłaby dźwigać na swoich barkach brzemień odpowiedzialności za jeszcze jedną śmierć.

Ostrożnie przekręciła się na drugi bok, wykorzystując to, że Treillard zachrapał i też się poruszył. Wiatr zagwizdał w kominie, aż wstrząsnął nią dreszcz. Przyciągnęła kolana jeszcze mocniej do siebie. Pomyślała o dziecku, które w niej rosło, a które poczęło się pod przymusem. Zalało ją poczucie winy wynikające z faktu, że nie była w stanie go pokochać. Uciekła od męża, bo nie chciała, by jej dziecko wychowywał potwór, jakim był Charles. Zrobiła wiele, by chronić najbliższych. Wykradła korespondencję Napoleona, szpiegowała dla Polaków, a potem dla księcia Poniatowskiego. Unikała Antoniego, wmawiając mu, że nic dla niej nie znaczy. Wszystko to okazało się jednak niewystarczające. Kilka łez wymknęło się spod powiek i odnalazło ścieżkę prowadzącą w zagłębienie szyi. Zdusiła szloch, zagryzając brzeg pościeli. Nie miała nikogo, kto zechciałby jej pomóc. Została zupełnie sama, bezsilna, w męzowskiej niewoli, gorszej od tego kraju i wojny, która się przez niego przetaczała.

Wstrzymała oddech, bo wydawało jej się, że Treillard nasłuchuje, ale ponownie zachrapał, więc odetchnęła. Tknęła ją nagła myśl. Mąż, który stał się przyczyną wszystkich jej kłopotów, mógł równie dobrze pomóc, najlepiej nie zdając sobie z tego sprawy. Charles Treillard czuł respekt tylko wobec jednego człowieka. Płaszczył się przed marszałkami, umiał przypocholebić się tym, od których oczekiwał korzyści. Jednak tylko Napoleona się obawiał. Serce Émilie uderzyło mocniej. Jeśli ktokolwiek mógł jej

pomóc dostać się w pobliże Napoleona, to był to właśnie jej mąż. Choć nie wiedziała nawet dokładnie, gdzie obecnie znajduje się sztab generalny i czy cesarz wciąż nie przebywa na zamku w Warszawie, odczuła ulgę jak zawsze, gdy miała do zrealizowania kolejne zadanie. Bezczyność, niemoc, poczucie klęski były nie do zniesienia. Za to jasno wytyczony cel dawał poczucie sensu i pozwalał odwrócić myśli od tego, co minęło, a na co nie miała już żadnego wpływu.

II

Zima tego roku dawała się Mariance porządnie we znaki. W starych kościołach łupało za każdym razem, gdy mróz zelżał, a deszcz zaczynał zmywać resztki śniegu z dachów warszawskich kamienic. Kobieta nie do końca była pewna, ile ma lat, jednak żyła wystarczająco długo, by wiedzieć, że za przysługę wyświadczoną bogatemu należy spodziewać się nagrody. To dlatego nie słuchała swego męża, nazywanego Giemzą przez wszystkich, którzy zajmowali kwatery w prowadzonym przez nich przybytku, i zaopiekowała się pobitym prawie na śmierć młodzieńcem.

Piętrowy budynek, od lat nieremontowany, z opadającą całymi placami elewacją, stał w jednej z bocznych, odległych od Traktu Królewskiego i zamku warszawskich uliczek. Właścicielowi nie opłacało się dbać o coś, co i tak przynosiło dość dobry dochód za sprawą obrotnej Marianki i jej męża, mających pieczę nad budynkiem i wynajmowanymi w nim pokojami. Obydwoje zaniedbani, jak zawiadywany przez nich przybytek, tłoczyli się w dwóch ciasnych izbach od podwórza. Pokoje zaś udostępniali za niemałą opłatą tym, których na nie było stać, ale nie byli dość bogaci, by wynająć sobie miejsce w jednym z hoteli. Tylko kilka z nich wciąż działało w mieście, które za Prusaka mocno podupadło, bo przecież znalazło się na peryferiach mocarstwa.

Upewniwszy się, że chłopak dycha, Marianka przekonała Giemzę, żeby ułożyć go na łóżku w pokoju, który i tak opłacał niejaki Śniegocki. Rozebrała młodzieńca, opatrzyła mu rany i doglądała go, kiedy miała czas. Giemza marudził, że trza naprawić drzwi, które zbiry, co poturbowały młodego, z ościeżnic wyrwały. Połamany stół i krzesła też nadawały się tylko na opał. Marianka wierzyła, że jeśli chłopak przeżyje, wyrówna im poniesione straty, a i parę groszy dodatkowych skapnie. Na zamożność pobitego wskazywał strój, porządne oficerskie buty i to, że opłacił dodatkowo możliwość dostarczenia jedzenia dla siebie i swojej towarzyszki, kiedy tu jeszcze była. Miał też przy sobie dość pieniędzy, by znaleźć lepszą kwaterę niż ta wynajęta u Marianki i Giemzy. Mimo że żadne z nich nie miałyby skrupułów, żeby go wyrzucić na ulicę lub może nawet dobić, to postanowili trzos sobie przywłaszczyć, a chłopakiem się zająć. Żadna to była kradzież, najwyżej zadośćuczynienie. W końcu mogli zrzucić winę na zbiry, co były zdemolowały pokój.

Chłopak majaczył coś i powtarzał jedno imię: Émilie. Nie mógł być Francuzem, bo zbyt dobrze mówił po polsku, ale i po francusku gadał bez trudu, co słyszała Marianka, gdy jeszcze była tu z nim ta kobieta, pewnikiem Francuzka. A ta pieniędzy musiała mieć dość, żeby swojego kochasia zechcieć wyciągnąć z największej kabały.

Chłopak rzucał się w gorączce i majaczył.

— Czego ją tak wołasz? I tak cię nie słyszy — mamrotała Marianka, zmieniając mu okłady na głowie. — Leż spokojnie.

Pokryte strupami usta poruszyły się tym razem bezgłośnie. Dostał porządnie i pewnie parę kości miał pogruchotanych. Zaropiałe rany na głowie wyglądały ohydnie. Początkowo kobieta myślała, że oko stracił, ale z czasem opuchlizna się zmniejszyła, a pod powieką, którą unosił z trudem, można było dostrzec czarną źrenicę. Ciężko oddychał. Kiedy Marianka próbowała go przewrócić na bok, krzywił się z bólu. Zbiry musiały mu połamać żebra. Mimo to wciąż żył i z dnia na dzień, choć zmizerniał, dochodził do siebie.

— Ile jeszcze będziesz mu, kobieto, dogadzać? Toć miesiąc już leży. Pokój by można podnając, póki tamtego nie widać. Ten tu dawno przeżarł, co miał. Izbę opalać trzeba. Dokładać do niego niedługo będziem — narzekał Giemza, człapiąc w swoich chodakach pokrytych śniegiem. Nosił drewno do palenia, a że zima przypominała sobie o śniegach i mrozach, to miał co robić. — Wywaliłabyś go z łóżka i niechby zarobił na wygody.

Marianka, tak samo jak i jej mąż, niecierpliwiła się długą rekonwalescencją młodzieńca, który na

ogół milczał i całe dnie wpatrywał się w okno na przeciwległej ścianie.

— Lepiej się panicz czuje? Może czego potrzeba? — zagadywała go, ale on tylko kręcił głową i dalej patrzył w szybę.

Najbardziej jednak niepokoiło ją odkrycie, którego dokonała pewnego ranka, kiedy przyszła do chorego ze skromnym posiłkiem złożonym głównie z chleba i słabego piwa. Twarz chorego z dnia na dzień wyglądała coraz lepiej. Po ranach pozostały w większości drobne, różowe blizny. Większość z nich ukrył ciemny zarost porastający szczękę. Jedna tylko szrama, przecinająca lewą brew i kryjąca się pod czarnymi, zbyt długimi włosami, nie wyglądała jeszcze na wygojoną. Chłopak miał dużo szczęścia, bo nie oszepeciono go mocno, a i rąk ani nóg raczej mu nie połamano, bo żadna kończyna nie była zniekształcona. Z widocznym trudem wstawał za potrzebą, ograniczała go jednak słabość, nie kalectwo.

— Może zawiadomiłby jakowyś krewnych panicza... — zaczęła niepewnie Marianka, przyglądając wystające spod czepka siwe, skołtunione włosy.

— Krewnych? — Mężczyzna odezwał się niepewnym głosem. Zmarszczył brwi, jakby usiłował sobie coś przypomnieć. — Nie wiem, czy mam krewnych.

— Musi być ktoś...

— Nie pamiętam nic — wszedł jej w słowo stanowczo.

— A to jak pana pobili? — Marianka już miała dodać coś o tej kobiecie, która mu towarzyszyła, ale ugryzła się w język.

Nie ma co wszystkich kart na stół wykładać — pomyślała.

— Pobili mnie... — Znowu umilkł i zapatrzył się w okno.

— Pamięta panicz?

Popatrzył jej nagle prosto w oczy, aż Marianka się cofnęła, przestraszona pustką wycierającą z tego spojrzenia.

— Niczego nie pamiętam — wyrzekł z mocą. — Niczego!

Marianka przestąpiła z nogi na nogę. Coś jednak postanowiła chłopakowi powiedzieć, bo jeśli nie przypomni sobie on niczego, to będzie musiała uznać, że Giemza miał rację i trza było wywalić chorego do rynsztoka.

— Mówili do panicza Antoni... — zaczęła niepewnie.

— Antoni... — powtórzył młodzieniec.

— Tak się do panicza zwracali. — Zawahała się. Miała powiedzieć mu o Śniegockim, który opłacił pokój, ale przecie wtedy nie mogliby wziąć pieniędzy od tego młokosa za już raz opłacone przez jego kamrata mieszkanie. Z drugiej strony, jeśli chłopak nie przypomni sobie, kim jest i skąd bierze gotówkę, to i tak nici z zarobku. — Trza by nam za opiekę zapłacić. Musi se panicz przypomnieć, kim jest, bo bez pieniędzy panicza zostawili — kłamała jak z nut, teraz już pewna, że on niczego nie pamięta.

— Zapłacę. — Podniósł się na łokciach i usiadł. — Słabym, ale zapłacę za wszystko.

— Jak panicz nie wie, kim jest, to może być ciężko. — Znow przestąpiła z nogi na nogę.

— Czy była tu ze mną kobieta? — zapytał nagle, aż Marianka zbladła.

— Była... Ale zabrali ją ze sobą — odparła niepewnie. Istniała szansa, że to naprowadzi jego pamięć na ślad bogatych krewnych. Jednak młodzieniec nic więcej już nie powiedział i nie wyglądało na to, żeby cokolwiek sobie przypominał. Zaś w dniu, kiedy Marianka pokłóciła się z Giemzą o to, czy powinni sprzedać te jego porządne, oficerskie buty i płaszcz, chłopak zniknął, a wraz z nim cały jego dobytek w postaci odzienia.

III

Zimno uderzyło w niego z taką mocą, że aż musiał się zatrzymać i skryć w jakiejś bramie. Śnieg sypał nieprzerwanie od kilku dni. Na ulicach utworzyły się zaspasy, a w niektórych miejscach nie dało się już przejść, nie mówiąc o przejechaniu.

Antoni — tak ponoć brzmiało jego imię. Powtarzał je w myślach jeszcze długo potem, gdy zajmująca się nim kobieta wyszła z pokoju. Udawał przed nią, że wciąż jest zbyt słaby, by wstać. Za to kiedy zostawał sam, wstawał z łóżka i ruszał się, byle zachować choć odrobinę sprawności.

Nie miał pojęcia, czemu tych dwoje zajęło się nim, ale domyślał się, że chodziło im wyłącznie

o pieniądze, zaś pytania o krewnych tylko go utwierdziły w przeświadczeniu, że pomoc Marianki i Giemzy nie była bezinteresowna. Kiedy podsłuchiwał ich sprzeczkę, z której wywnioskował, że zamierzali go okraść, postanowił dłużej nie czekać i uciec, zanim pozbawią go ciepłej odzieży.

Nie miał pojęcia, dokąd pójść i, co ważniejsze, kim jest. Mimo to był przekonany, że powinien zacząć działać. Pozostawanie pod opieką tych dwojga, którzy nic o nim nie wiedzieli, nie dałoby mu odpowiedzi na dręczące go pytania i sny, w których widział wołającą o pomoc kobietę. Uznał, że przejście ulicami miasta otworzy w jego głowie jakieś drzwi. Nie był przygotowany jednak na to przeraźliwe zimno wdzierające się pod ubranie. Zapobiegawczo ukrył przed wścibskimi gospodarzami trochę jedzenia, a kiedy myszkował pod ich nieobecność w ich obskurnym lokalu, znalazł trochę pieniędzy. Klucząc uliczkami miasta, przyciskał do piersi zawiniątko z jedzeniem. Wreszcie dotarł do szerokiej ulicy, która prowadziła wprost do bramy. Za nią rozciągał się plac. Antoni pamiętał to miejsce. Szedł jak w transie w kierunku ceglanego zamku, kiedy nagle dostrzegł brudnobiałą bryłę pałacu pokrytego blachą. Serce przyspieszyło. Otulił się płaszczem i wycofał.

Z jakiegoś powodu obawiał się tego miejsca, chociaż przywiodła go tu intuicja i poczucie, że miał coś do załatwienia, że powinien tam pójść. Jednak irracjonalny strach kazał mu się wycofać na bezpieczną odległość. Wołał słuchać intuicji. Pozbawiony pamięci był bowiem jak zwierzę, które kieruje się wyłącznie wołą przetrwania. Przycisnął się po drugiej stronie placu i przyglądał się leniwemu ruchowi nielicznych ludzi przemierzających się po zasypanej śniegiem Warszawie. W głowie szalała burza wspomnień wyłaniających się z mgły, w której zanurzony był jego mózg. Książę Poniatowski, bal, wojna, szczęk broni i poczucie, że ścisnął w dłoniach szablę. Nie wszystko to miało sens, lecz jednego był pewien. Skoro walczył, musiał być żołnierzem, i to nie pośledniego stopnia, bo nie byłby wylądował w prywatnej kwaterze, tylko w koszarach. Musiało się w jego życiu wydarzyć coś, co kazało mu pozostawać w ukryciu, z dala od tego pałacu majającego w tumanach śniegu. Cokolwiek to było, wiązało się z kobietą z jego snów, której twarz tym bardziej się rozmywała, im bardziej usiłował sobie przypomnieć jej rysy.

Antoni rzucił jeszcze jedno spojrzenie na pałac, przed którym pojawił się oddział konnych. Kolejne wspomnienie kasztanowego ogiera zagrało mu pod powiekami. Potem odwrócił się i ruszył przed siebie z przekonaniem, że jeśli tylko trafi pomiędzy żołnierzy, przypomni sobie wszystko, co tonęło w tumanie zapomnienia.

IV

— Dokąd jedziemy? — Émilie od wyjazdu z Warszawy nie czuła się najlepiej, a mroźna zima nie nastrojała do porzucenia emanującego ciepłem kominka i wyjścia z mieszkania. Tymczasem, zanim słońce wysunęło się niechętnie zza horyzontu, Charles zarządził wyjazd. Obudził ją, bezceremonialnie szarpiąc za ramię, choć po niemal bezsennej nocy nie miała ochoty podnieść powiek.

— Zbieraj swoje rzeczy. Ruszamy! — rzucił i chwycił płaszcz przerzucony przez krzesło. — Ubierz się ciepło. Mróz się wzmacza — dodał i podszedł do drzwi.

Émilie zaskoczyła ta nagła troska o to, by nie zmarła, choć wiedziała, że jest ona podyktowana wyłącznie jej stanem i tym, że nosi w sobie to, czego jej mąż pragnął bardziej niż władzy i zaszczytów. Dotąd Charles nie dbał o nią w ogóle. Najlepszym na to dowodem był fakt zabrania jej ze sobą na tę wojnę. W męskim przebraniu przebrnęła pół Europy, bo Treillard bał się spuścić ją z oczu. Co prawda trzymała się z tyłu i nie widziała pola walki, lecz mimo wszystko musiała znosić niewygody związane z podróżą.

— Charles, czy nie mogłabym tu zostać? Źle się czuję... — zaczęła niepewnie.

Mężczyzna zmarszczył czoło, a wtedy dreszcz strachu przebiegł po plecach Émilie. Objęła ramionami podciągnięte pod brodę kolana, kiedy zbliżył się do łóżka. Usiadł obok niej i dotknął luźno zwisającego pasma jej ciemnych, kręconych włosów.

— Obydwoje dobrze wiemy, że nie można cię spuścić z oczu. Zaraz znajdziesz jakiegoś pocieszyciela. — Spojrzenie zimnych, stalowych tęczówek utkwione było w jej twarzy. Opuściła wzrok. Nie tyle przerażała ją twarz Charles'a zeszecona przez długą szramę, pamiątkę po bitwie pod Pułtuskim, ile szaleństwo czające się w jego oczach. Palce męża wkręciły się w pukiel i zacisnęły,

boleśnie go szarpiąc. Émilie jęknęła. — Żyjesz tylko dlatego, moja piękna, że urodzisz mi dziedzica. Ale jeden nieostrożny ruch i mogę się nie opanować. Jak tylko urodzisz mojego syna, odpokutujesz zdradę.

Kolejne szarpnięcie za włosy wycisnęło łzy spod powiek Émilie, zaś ból w dole brzucha rozszedł się promieniście po całym ciele. Treillard chwycił drugą ręką jej szczękę i zmusił, żeby na niego popatrzyła.

— Do rozwiązania będziesz stale pilnowana przez moich ludzi. Jeśli spróbujesz uciec, mają rozkaz zatrzymać cię choćby siłą. Ale dla pewności ja też będę mieć na ciebie oko.

— Charles, oni mają moją córkę — wyjęczała. — Pomóż mi odzyskać Marie.

Treillard puścił ją i zaśmiał się gardłowo. Ten śmiech przerażał ją bardziej niż wybuchy złości. Nie zależało mu na Marie, bo była dzieckiem pierwszego ukochanego Émilie.

— Powiedz, do czego potrzebny mi twój bękart? Pozwoliłem ci ją trzymać, ale skoro nie umiałaś jej upilnować, to twoja sprawa. Mam teraz ważniejsze sprawy na głowie niż ta dziewczucha. Chociażby to, jak przekonać cesarza do nierozstrzelania mnie. — Ostatnie słowa wycedził z pogardą, bo przecież z jej winy zapewne zostanie oskarżony o zdradę, jeśli wyjdzie na jaw, że ukradziono mu korespondencję cesarską. Wstał i ruszył do drzwi, ale Émilie nie poddawała się łatwo. Zerwała się z łóżka i rzuciła się do nóg męża, nie pozwalając mu wyjść.

— Błagam, pomóż mi ją odzyskać! — wyjęczała. — Możesz wszystko. A jeśli nie chcesz mi pomóc, przynajmniej pozwól, żebym sama mogła pojechać po Marie. Wyślij ze mną swoich żołnierzy. Ale nie zostawiaj jej na pastwę tych ludzi.

Treillard uwolnił się od niej, brutalnie odtrącając ją butem.

— Zapomnij o niej. Dobrze ci radzę — warknął.

— To powiedz mi przynajmniej, dokąd jedziemy.

Mężczyzna zatrzymał się z dłonią na klamce i obrzucił klęczącą żonę pogardliwym spojrzeniem.

— Do sztabu generalnego — rzucił i wyszedł, zostawiając ją skuloną na podłodze.

Kiedy tylko zamknęły się za nim drzwi, Émilie otarła policzki i wstała z zimnych desek. Na jej twarzy nie pozostał żaden ślad słabości, którą tak umiejętnie odegrała. Musiała spróbować nakłonić męża do pomocy w odzyskaniu dziecka, ale skoro prośbą się nie dało, miała zamiar dokonać tego na swój sposób.

Uśmiechnęła się do siebie, bo wbrew własnej woli Charles jej sprzyjał. Skoro chciał się udać do sztabu generalnego, to znaczyło, że jest tam cesarz. Treillard sam przed chwilą stwierdził, że musi się z nim rozmówić. Émilie niczego bardziej nie pragnęła w tym momencie, jak spotkania z Napoleonem.

Od kilkunastu dni siedzieli i czekali na wiadomości, gdzie rozlokuje się sztab. Charles nie miał pojęcia, że jego żona bacznie nasłuchuje i wypytuje gospodarzy o to, czego udało im się dowiedzieć o ruchach wojsk napoleońskich. Pułtusk, ale i wszystkie te tereny, na których znalazła się *Grande Armée*, cierpiały z powodu drożyzny, braków aprowizacyjnych i najzwyczajniej w świecie głodu.

Tymczasem wojska francuskie, rozlokowane na leżach zimowych, znowu zmobilizowano do walki z powodu zaczepnych działań rosyjsko-pruskich, o których dowiedział się cesarz, gdy doszło do pierwszych potyczek pod Mohrungen i Allenstein¹. Pozostałych nazw miejscowości, pod którymi rozegrały się bitwy, Émilie nie zapamiętała, ale to wystarczyło, by nabrać nadziei na odmianę swego losu. Wojna niosła ze sobą niepokój, śmierć, głód i tragedie tysięcy ludzi, ale też takim jak ona, żona generała, dawała szansę na to, by niepostrzeżenie przeprowadzić własny plan, a potem zniknąć w wirze wydarzeń.

O Antonim z całych sił starała się nie myśleć. W wojennej zawierusze, z dala od Warszawy, w której został, nie miała wielkich szans, by zdobyć o nim jakiegokolwiek informacje. Jeśli chciała uratować swoje dzieci i siebie, musiała przełknąć tę gorzką pigułkę i żyć dalej, mając nadzieję, że Podolski doszedł do siebie i kiedyś ułoży sobie życie.

V

— Do stu czortów! — wrzasnął Śniegocki i rzucił się przez śnieg w stronę zamarzniętej tafli stawu, na której jeszcze przed chwilą stała Krysią Podolska, a teraz widniała czarna plama wody kołyszącej się pomiędzy kawałami lodu.

Michał dopadł do brzegu i zrzucił płaszcz i buty, a potem położył się płasko na wciąż stabilnym, ale trzeszczącym niebezpiecznie lodzie. Podpełzł do przerębla tak szybko, jak mu na to pozwalało zimno płynące od roztopiającego się pod nim śniegu. Mundur miał mokry. Zanurzył rękę w lodowatej wodzie, lecz nie znalazł dziewczyny. Panika spowiła jego umysł białym tumanem.

— Boże, dopomóż! Gdzie ona jest?! Krysia...

Usiadł na brzegu przerębla i bez zastanowienia wskoczył do lodowatej czeluści. Łapał chciwie powietrze, kiedy mięśnie zacisnęły się pod wpływem zimna, paraliżując jakikolwiek ruch. Na wszelki wypadek ramiona wciąż trzymał wsparte o nierówny brzeg lodu, mając nadzieję, że nie jest tu zbyt głęboko i nie zanurzy się całkowicie. Musiał działać szybko. Doskonale wiedział, że ma minuty, a może nawet sekundy na to, by wyciągnąć dziewczynę i samemu zdążyć wyjść na brzeg. Nabrał powietrza i zanurzył się po szyję. Na szczęście dotknął stopami dna. Rozłożył ręce szeroko i chwycił Kysię dryfującą pod lodem. Ruchy miał coraz powolniejsze. Kiedy zaczął unosić dziewczynę, żeby położyć ją na lodzie, wydał z siebie krótki okrzyk. Krysia była blada, a spomiędzy posiniałych ust nie wydobywał się najmniejszy nawet obłok pary. Śniegocki nie był w stanie wyciągnąć jej na brzeg. Tylko siłą woli, każącej mu ratować ukochaną, zaparł się łokciami o krawędź lodu i dźwignął ją ku górze. Zaczynała go ogarniać błoga słabość. Ciało sztywniało i odmawiało posłuszeństwa, ale jakoś udało mu się wydostać z wody. Położył się obok nieruchomej dziewczyny i łapał spazmatycznie powietrze, szcękając zębami i patrząc w stalowoszare niebo, po którym sunęły chmury zwiastujące opady śniegu.

W końcu obrócił się na brzuch i klęknął, dygocząc na całym ciele. Potrząsnął Kysię z całej siły za ramiona, a potem jeszcze raz i jeszcze.

— Panie Boże, pomóż mi! Pomóż! Ratuj ją! Nigdy nie zajrzę pod żadną spódnicę — mamrotał. Z każdym słowem z jego ust dobywały się kłęby pary. — Tylko ją uratuj! Błagam! Święta Panienko... Krysia! Na litość boską, Krysieńko!

W piersiach dziewczyny, oblepionych mokrymi ubraniami, coś zabulgotało. Krztusząc się, zaczęła odpluwać wodę. Śniegocki rozplakał się, a łzy przymarzały mu do policzków. Obrócił Kysię na bok, żeby mogła swobodniej pozbywać się wody z żołądka i płuc. Wciąż była upiornie blada i oczy miała zamknięte, ale oddychała.

Śniegocki zebrał się z trudem z lodu. Słaniając się na nogach i dygocząc, wziął dziewczynę na ręce, po czym powłókł się parkiem w stronę dworu. Zanim jednak dotarł do pierwszych drzew, z budynku wybiegli domownicy z lamentującą kucharką na czele. Ktoś próbował wyrwać Kysię z ramion Michała, lecz on jej nie puścił. Tak dotarli do dworu i dopiero wtedy udało się staremu słudze pana domu, Ignacemu, wyrwać dziewczynę ze skostniałych rąk Śniegockiego. Michał chciał coś jeszcze mówić, ale zaraz wśród rejwachu zaciągnięto go siłą do pokoju, w którym spał, i kazano mu się rozdziewać. A potem nacierano, okrywano i pojono go czymś słodkim, mocnym, co miało w sobie dość alkoholu, by młody żołnierz szybko zapadł w letarg.

ROZDZIAŁ II

I

Do ośnieżonej Osterode² dotarli późnym popołudniem, kiedy zmrok zaczynał brać w posiadanie ponure miasteczko. *Grande Armée* zdążyła już poczynić w tym miejscu znaczne spustoszenia, mimo że dopiero co tu przybyła. Rozbierano naprędce co się dało, nawet bramy i drzwi, by budować piekarnie i inne budynki tak potrzebne wygłodzonemu i wyczerpanemu licznymi lutowymi potyczkami wojsku. Na ulicach *Émilie* nie mogła dojrzeć mieszkańców i wcale jej to nie dziwiło. Zbyt wiele takich miast i wsi widziała w czasie wędrówki przez Europę, by nie wiedzieć, jak okrutnie obchodzono się z miejscowymi. Nie zważano wcale na początkowe wyrazy sympatii i szczerzej radości, kiedy mieszkańcy ci witali armię Napoleona. Rzadko kiedy marszałkowie mieli skrupuły w dysponowaniu zastanym dobytkiem, a zdemoralizowani okrucieństwem, rozłąką z bliskimi, zimnem i głodem żołnierze dokonywali rzezi, nie zwracając uwagi na to, kto przyjaciel, a kto wróg.

Jakoż wkrótce natknęli się na grupkę wojaków podochoconych zapewne tanią gorzałką, której na polach bitwy nie mogło nigdy zabraknąć, bo skutecznie rozgrzewała, znieczulała i odganiała wszelkie tęsknoty. Brudni to byli i wynędzniali żołnierze o twarzach czerwonych od mrozu, ale odwadze i niefrasobliwości ogromnej. Siedząca w zakrytym powozie, też wcześniej zrabowanym, *Émilie* pierwszy raz od dawna cieszyła się, że ma za towarzysza swojego męża. Dyskretnie wyjrzała przez okienko.

— Kogóż tam wiezie jegomość? — zakrzyknął po francusku jeden z żołnierzy, nieświadomy tego, że zaczepia wyższego szarżę. Zima miała to do siebie, że traktowała wszystkich po macoszemu i zmuszała tak generała, jak i szeregowego żołnierza do wdziwania na siebie wszystkiego, co mogło choć odrobinę ogrzać zmarznięte członki. Treillard w podróżnym płaszczu nie wyróżniał się niczym specjalnie i równie dobrze mógł być wzięty za cywila.

— Pewnie kobitki jakie — dodał drugi, na co pozostali zarechotali.

— Rzuć no grosz, jegomościu. — Kolejny zdjął przekrzywioną na bakier bermycę i nadstawił ją jak żebrak. — Nie skąp dzielnym żołnierzom, bohaterom spod Allenstein.

Charles podjechał do mężczyzn i z wysokości końskiego siodła pochylił się nad tym, który czekał, roześmiany, na datek. Wyrwał mu czapę i rzucił ją pod nogi, po czym chwycił za rozchełstany mundur widoczny pod zwisającym luźno płaszczem. Prawie uniósł żołnierza, aż ten zacharzał przyduszony.

— Zejdz z drogi, plugawa gnido i zdejm mundur, boś niegodzien go nosić — warknął Treillard. Towarzysze żołnierza ucichli, ale ich dłonie powędrowały do pasów, przy których bujały się szable. — Tacyście bohaterowie? Za grosz dumy, wy parszywe, rynsztokowe ścierwa — huknął.

Któryś bardziej krewki wojak dobył szabli, ale zaraz ją był opuścił, bo towarzyszący Treillardowi żołnierz, który podjechał bliżej młokosów, przystawił mu ostrze do szyi. Charles uwolnił młodzika i odepchnął go tak, że tamten zatoczył się na swoich kolegów. Koń generała wykonał piruet i parsknął, jakby zgadzał się ze swym panem.

— Nazwiska i szarże! — wrzasnął Treillard.

— A kto pyta? — burknął jeden z żołnierzy, albo najodważniejszy, albo najgłupszy.

— Nazwiska i szarże! — powtórzył Charles, ignorując pytanie.

Mężczyźni niechętnie się przedstawili. *Émilie* ze zdziwieniem przyjęła fakt, że to nie byli szeregowcy, a podoficerowie. Przed oczami stanął jej Antoni Podolski. Czy on też był takim butnym, niefrasobliwym wojakiem? Czy upijał się przy każdej nadarżającej się okazji? Bo że miewał wiele kobiet, tego domyśliła się nie tylko po pamiętnym spotkaniu z jedną z jego kochanek na balu w pałacu Talleyranda, ale też po żartach jego kompana, Śniegockiego. Kobieta przestała zwracać uwagę na wrzeszczącego na żołnierzy męża, który kazał się prowadzić do kwatery głównej, gdzie rezydował cesarz i towarzyszący mu sztab marszałków oraz co ważniejszych oficerów.

Przez niemal miesiąc, który spędzili z Charles'em w Pułtusku, nie miała najmniejszych szans, by choć na moment wyrwać się spod jego kurateli. Póki nie wydobrzeał, kazał swoim ludziom pilnować jej

jak oka w głowie. Dniem i nocą pod drzwiami zajmowanego przez nią pokoju czatowali żołnierze.

Zgodnie z rozkazami marszałek Lannes i jego V korpus, w którym służył Charles, mieli osłaniać Warszawę, co dla Treillarda było o tyle wygodne, że mógł dochodzić do siebie po wyczerpującej wyprawie, podczas gdy znaczna część *Grande Armée* na północy prowadziła walki z nieustannie atakującym wrogiem.

Rana głowy, pamiątka po bitwie pod Pułtuskim, odzywała się silnymi bólami i ciągle się otwierała, a niskie temperatury nie sprzyjały gojeniu. Treillard kilka dni gorączkował. Opiekowali się nim właściciele kamienicy, z kolei Émilie modliła się, by umarł. Nie dopuszczano jej do chorego pewnie z obawy, żeby nie pozbawiła go życia, jednak i tak nie miałyby dość odwagi na podjęcie takiego kroku. Mimo że szczerze nienawidziła tego człowieka, a wspomnienie miłości Antoniego było wciąż żywe na tyle, że ze wstrętem myślała o zbliżeniu się do męża, nie była w stanie kogokolwiek zabić.

Jakoż nadszedł dzień lub raczej noc, kiedy Charles wreszcie pojawił się w pokoju, który był jej więzieniem. Skulona pod pościelą, z bijącym ze strachu sercem, nasłuchiwała, jak zdejmował mundur i buty, żeby wreszcie ułożyć się obok. Sam zapach jego ciała przyprawiał ją o mdłości, a jego obecność paraliżowała.

— Chyba pora wreszcie wypełnić małżeńskie obowiązki — rzucił bezceremonialnie, co i tak w jego przypadku było uprzejmością w porównaniu do tego, jak wyglądały wcześniej ich zbliżenia. — Nie licz na to, że ciąża cokolwiek zmieniła. Jak tylko urodzisz mi dziedzica, zrobię z tobą to, na co zasłużyłaś. Do tego czasu będę cię używał, kiedy zechcę.

Panika wolno zaplatała zimne palce na gardle Émilie. Zacisnęła powieki, chociaż w pomieszczeniu panowały ciemności. Kiedy dłoń Treillarda przesuwiała się wzdłuż jej uda, próbowała myśleć o Antonim, ale na próżno. Zaczęła dygotać ze strachu, aż jej brzuch zacisnął się w bolesnym skurczu.

— Mogłabyś przynajmniej raz nie leżeć jak kłoda — wysapał i odwrócił ją na plecy. Stawiała opór, odpychając od siebie natrętne ręce, ale policzek, który jej wymierzył, szybko pozbawił ją woli walki.

— Nie rób tego, Charles. Błagam — jęknęła. — Nie czuję się dobrze. Nie chcę stracić tego dziecka. — Szczerze wątpiła, by jakiegokolwiek argumenty trafiły do mężczyzny, który właśnie dociskał ją ciałem do twardego siennika, ale, o dziwo, znieruchomiał i odsunął się od niej. Serce łomotało jej jak szalone. Dłoń męża zacisnęła się na gardle Émilie. Nie mógłby jej teraz udusić, ale i tak lęk ją paraliżował, bo Charles od czasu, gdy ledwie uszedł z życiem na polu walki, zachowywał się, jakby odebrało mu to resztki rozumu. Wcześniej był po prostu brutalny. Teraz stał się zimny i okrutny, a w jego oczach pobłyskiwało szaleństwo.

— Jeśli stracisz dziecko, stracisz też życie — wysyczał jej do ucha.

Émilie jęknęła, kiedy palce na jej gardle rozwarły się. Chwytała łapczywie powietrze.

— Co znaczy, że nie czujesz się dobrze? — dopytywał.

— Mam bóle brzucha — wyszeptała z nadzieją, że jej uwierzy. Naprawdę nie czuła się najlepiej.

— I teraz mi o tym mówisz? Jutro każę wezwać medyka. — Pochylił się ponownie do jej ucha. — Jeśli mnie oszukujesz, spotka cię kara. A teraz wiesz, co masz robić.

— Charles... — zaszlochała Émilie, lecz mąż już jej nie słuchał. Chwycił ją za włosy i zmusił, by go zaspokoila.

— Tak kończą dziwki, które mnie zdradzają — rzucił na koniec Treillard i zasnął, a ona, zwinięta w kłębek, płakała do rana, modląc się, żeby umarła przy porodzie.

II

— Nazwisko — warknął wojskowy urzędnik i pociągnął czerwonym, opuchniętym nosem, który obcierał co jakiś czas wielką, burą chustką. Mężczyzna siedział za drewnianym, poobijanym stołem w bocznym pomieszczeniu budynku przeznaczonego na koszary.

Antoni, za którym stało jeszcze kilku mężczyzn, czekających na swoją kolej, cofnął się i wpatrywał w żołnierza niepewny, co ma powiedzieć. Przychodząc do koszar, nie pomyślał, że przecież nie pamięta własnego nazwiska ani szarży. Nie wiedziałby w ogóle, kim jest, gdyby nie ta opiekująca się

nim wiedźma i gdyby nie spacer, który odbył po mieście, zanim tu trafił, dopytując ludzi o drogę. Gorączkowo zastanawiał się, jakie nazwisko z braku znajomości własnego ma przybrać.

— Co, jęzora w gębie żeś zapomniał? Nazwiska nie pamiętasz? — drwił urzędnik, wymachując piórem nad stosem zapisanych papierów, będących zapewne listą poborowych.

Przyszli żołnierze zareagowali śmiechem.

— Teraz tylko biedota, typy podejrzanego autoramentu albo półgłówki jak ty tu przychodzą. — Głośno wyczyścił nos, aż Antoni cofnął się ze wstrętem.

— Niewiadomski — powiedział wreszcie niepewnie młody żołnierz.

— Dobrze, żeś sobie przypomniał — parsknął urzędnik i nagryzmolił coś na leżącym przed nim arkuszu, aż zatrzęszczało zbyt mocno przyciśnięte do niego pióro. — Piąty pułk strzelców konnych.

— Strzelców? — zdziwił się Antoni. Nie rozumiał, skąd się wzięło przeświadczenie, że nie za bardzo potrafi strzelać. Pamięć nie podsuwała mu żadnych strzępów wspomnień, ale nie miał poczucia, żeby kiedyś w dłoniach trzymał broń palną.

Kancelista popatrzył na niego jak na wariata.

— Coś nie pasuje? A może na wiwandierkę chciał iść? — zarechotał pisarz, ale złapał go kaszel, więc musiał zatkać usta chustką. — Co za ludzie! Nie dość, że jeść dostanie, miejsce do spania się znajdzie, to jeszcze narzeka. A przedtem pod mostem pewnie gdzie spał, włóczył się i z kradzieży żył — utyskiwał.

Antoni usiłował sobie przypomnieć, czy było coś z prawdy w słowach kancelisty, ale gdzieś głęboko w jego głowie wykwitło słowo „dom”, a wraz z jego pojawieniem się zalały go ciepło i spokój. Więc jakiś dom musiał mieć. Popatrzył na czekających na swoją kolej.

Przyjrzał się młodym mężczyznom, z którymi przyszło mu dzielić żołnierską dolę. Pisarz miał rację. Większość z nich to byli brudni, obdarci nieszczęśnicy, w dodatku często schorowani. Z ich oczu wзираł głód, wyglądali na skrajnie zmęczonych. Lgnęli do koszar, bo zima zaczynała dawać się we znaki. Wiedzieli, że tu przynajmniej nie będą głodowali. On sam miał porządny płaszcz, buty i czyste odzienie. Nie mógł być więc włóczęgą, za jakiego wziął go urzędnik. Pochodził z dobrego domu. Tego był pewien.

— Następnym! — wydarł się kancelista i kichnął.

Antoni zatrzymał się w pół kroku.

— Gdzie Wielka Armia Napoleona teraz walczy? — zapytał czyszczącego nos pisarza, a ten aż się zapowietrzył.

— Nigdzie. Cesarz rozlokował wojska na leżach. Sam siedzi w Ostródzie podobno. I nie ma się co dziwić. Zima taka, a on naszych zagnał aż pod Pruską Hławę.

— Gdzie to jest? — zainteresował się Antoni.

— Gdzieś w Prusach Wschodnich. Podobno rzeź była okrutna. Naginęło i naszych, i Moskali. — Kancelista pociągnął nosem i otarł oczy chustką. Najwidoczniej nie spieszyło mu się do zapisywania rekrutów. Wolał rozmawiać. — Bennigsen³ otrąbił w Petersburgu, że odniósł w Hławie⁴ sukces, ale i u nas mówią, że zwycięstwo po naszej stronie. I bądź tu mądry. Każdy ma swoją prawdę. — Machnął ręką.

— Jak to? Jeden może być tylko zwycięzcą.

— No widać, kiedy bije się dwóch cesarzów, to każdy musi zwyciężyć. — Wzruszył ramionami pisarz, ignorując pochrząkujących mężczyzn w kolejce.

— Kiedy była ta bitwa?

— Ano jakoś na początku lutego. Ale i tak rekrutów werbujemy, bo nie koniec wojny. Z wiosną cesarz ruszy na Moskali i wtedy się zobaczy, ile warte jego obietnice o wskrzeszeniu Rzeczypospolitej. Następnym! — wrzasnął mężczyzna, dając Antoniemu do zrozumienia, że skończył z nim rozmowę.

Nagle Podolskiemu mignął przed oczami dwór, a potem pole bitwy, w którym grzęzną konie. Skąd miał w pamięci to, że walczył, skoro był w Warszawie, a walki toczyły się gdzieś na północy? Pamiętał, że był żołnierzem, ale nie mógł sobie przypomnieć, do jakiego oddziału przynależał, w jakich potyczkach brał udział i skąd pochodził. Dlaczego nie miał munduru, tylko cywilne ubranie? Zrozumiał, że zanim ocknął się w nędznym przybytku Giemzy, musiało się w jego życiu wydarzyć coś, co wymazało

mu pamięć, ale wrywkowo. Jakby ktoś postanowił, że ma napisać od nowa to, co poszło nie tak w jego życiu. Został pobity przez jakichś zbirów, lecz nie miał pojęcia, z jakiego powodu. Im dłużej trwał w tym stanie zawieszenia, tym mocniej utwierdzał się w przekonaniu, że sprawczynią jego nieszczęść była tajemnicza kobieta ze snów.

Na razie miał gdzie spać i co jeść. Jakoż wkrótce otrzymał zielony mundur o żółtych lampasach i wyłogach kołnierza, a także konia, lancę i pruski karabinek. Oddział był dobrze wyposażony, bo dowódca, pułkownik Kazimierz Turno, pokrywał wydatki z osobistych funduszy, ale wymagał za to posłuszeństwa i poddawania się musztrze. Szybko też Antoni wyćwiczył się w sztuce strzelania z karabinu.

W zimne noce budził się ze wspomnieniem tej kobiety pod powiekami i zwykle potem nie mógł już zasnąć do rana. Chciał ruszać, walczyć, zrobić coś, by rozegnać mgłę spowijającą jego głowę, ale od kiedy się zaciągnął, nie był już panem siebie. Musiał czekać na rozkaz.

III

Ponure gmaszysko zamku ostródzkiego zrobiło na Émilie przygnębiające wrażenie. Jego elewacja odcinała się od śniegów czerwienią poobijanej cegły, zaś ściany wokół bramy wjazdowej pokryte były jakimś pnączem, które zmarznięte, powykrzywiane i oprószone szronem wyglądało jak gigantyczna pajęczyna. Spowijała ona tonące w oparach znad pobliskiego jeziora piętrowe, klockowate budynki, zamykające wewnątrz ciasny dziedziniec. Francuzka wzdrygnęła się na myśl, że gdzieś za załomem muru może czaić się pajak olbrzym.

Generał Charles Treillard z właściwą sobie pewnością wjechał na dziedziniec, nawrzeszczawszy na straż, która z niechęcią wpuściła go na zamek. Pora była już późna. I tak krótki dzień poszarzał zbyt szybko z powodu ciężkich śniegowych chmur wiszących jak płachta namiotu nad miastem. Strażnicy przyświecali sobie łuczywem, a i zmarznięci byli, więc to nie przyspieszało sprawy, co dodatkowo rozsierdziło Treillarda. Émilie w ostatnim czasie zubożniała na mężowski krzyk. Jej ciało pograżyło się w letargu. Nie czuła bólu, coraz rzadziej myślała o Antonim i zaczynała wierzyć, że jej córce lepiej będzie pod skrzydłami księcia Poniatowskiego oraz jego siostry niż z matką. Cóż mogła zaoferować dziesięciolatce, skoro nie potrafiła jej ochronić ani przed swoim mężem, ani przed porywaczami?

Z rozmyślań wytrącił ją nagły ból w dole brzucha. Skuliła się na siedzeniu i starała się oddychać głęboko, ale niewiele to dało. Od dawna czuła, że z dzieckiem nie jest dobrze. Żyła wyłącznie z powodu tej ciąży, a gdyby ją straciła, co przecież nie byłoby wcale dziwne, zważywszy na to, ile przeszła, to Charles z pewnością odegrałby się na niej okrutnie. Wezwany jeszcze w Pułtusku medyk nie znał się kompletnie na ciążach, bo praktykę zdobywał raczej na mężczyznach ranionych w bitwach. Powiedział Treillardowi, że wszystko jest w porządku. Zresztą naprawdę tak myślał. Nie mógł przecież zajrzeć do brzucha pacjentki i stwierdzić, co się dzieje z dzieckiem.

— W powozie jest moja żona. Proszę zająć się nią troskliwie. Jest w odmiennym stanie i nie chciałbym, żeby coś się jej stało. Podróż z Pułtuszka ją wycieńczyła. — Zsiadłszy z konia, Charles perorował do łysawego jegomościa w brązowym kożuchu obramowanym czarnym futrem.

— Oczywiście, panie generale. Moja żona i jej siostra otoczą panią generałową opieką. — Mężczyzna, który wyszedł im na spotkanie, kłaniał się raz za razem, a jego francuski pozostawiał wiele do życzenia. Był twardy i kanciasty, wręcz chropawy od pruskich naleciałości.

Émilie drgnęła, słysząc, że są tu jakieś kobiety. Wyjrzała na zewnątrz powozu i nagle dostrzegła chowającego się za nogą ojca kilkuletniego chłopca. Mężczyzna przytulił go opiekuńczym gestem do uda, jakby chciał go schować. Zdziwiło ją, że kimkolwiek była jego matka, pozwalała, by dziecko o tak późnej porze przebywało na zewnątrz, w dodatku w dość lekkim odzieniu. Uśmiechnęła się do malca, na co on schował się jeszcze głębiej w fałdach ubrania swojego taty.

Treillard skinął na jednego z towarzyszących im żołnierzy. Ten otworzył drzwi powozu. Émilie wysiadła sama, bo nikt nie podał jej dłoni. Charles zacisnął tylko szczękę, kiedy rozglądała się po małym, zabłoconym dziedzińcu, w którego kątach leżały sterty śniegu. Po lewej stronie do ceglanej ściany dobudowano drewniane krużganki, pod którymi widoczna była studnia. Od wewnątrz warownia sprawiała jeszcze bardziej ponure wrażenie, tym bardziej że mrok czaił się w każdym narożniku czy

załamaniu muru.

— To jest administrator zamku — rzucił Charles z pogardą w głosie. — Zajmie się tobą i ulokuje cię w bezpiecznym miejscu.

— Carl Ludwig Freiwald. — Zarządca uklonił się kolejny raz, a chłopiec z zaciekawieniem ponownie wyjrzał zza nogi mężczyzny. — Moja żona i jej siostra zajmą się panią generałową — powtórzył to, co wcześniej mówił jej mężowi, jakby była głucha albo głupia. Zdecydowanie był zdenerwowany i mówieniem rozładowywał napięcie. Émilie dostrzegła w jego oczach strach. Był przedstawicielem podbitego narodu, a dla francuskiego generała on sam znaczył mniej niż służący. Musiał zdawać sobie sprawę z tego, że w każdej chwili może zginąć, a jego przetrwanie zależy od humoru francuskich żołnierzy. Émilie skinęła mu głową i uśmiechnęła się smutno. Skąd zarządca mógł wiedzieć, że ona jest w niewiele lepszym położeniu?

— Zaprowadzić moją żonę do jej kwatery! — huknął Treillard. Nie tylko ludzie się spłoszyli. Konie zarżały nerwowo. Charles bawił się ludzkim strachem, dlatego zaśmiał się, jakby usłyszał coś zabawnego.

Kolejny bolesny skurcz w dole brzucha sprawił, że Émilie miała ochotę skulić się i usiąść chociażby w tym błocie, ale powstrzymała się. Pot wystąpił jej na czoło, a w ustach poczuła słony smak krwi.

— Proszę za mną — szepnął pobladły administrator i ukloniwszy się, ruszył ku drzwiom prowadzącym do wnętrza budynku bramnego. Chłopca popchnął przed sobą, ale malec obracał się raz po razie i popatrywał na idącą za nimi Émilie, która cieszyła się, że może przytrzymać się poręczy schodów wiodących na piętro. Wspinanie się przychodziło jej z trudem.

— To pański syn? — zapytała szeptem, kiedy znaleźli się na klatce schodowej, a Charles nie mógł ich słyszeć. Próbował znaleźć kogoś, kto mógł go nazajutrz zaprowadzić przed oblicze cesarza. Już teraz się domyślała, że nie wróci zadowolony, a ona posłuży mu do wyładowania frustracji.

Jej gospodarz potwierdził. Wąskim korytarzem przeszli do izby, bo raczej zamkową komnatą trudno było nazwać dość nisko sklepione pomieszczenie, w którym mimo płonącego kominka wcale nie było bardzo ciepło. Wokół tego źródła światła i ciepła siedziały cztery kobiety, które pracowicie coś szyły. Na widok mężczyzny poderwały się ze swoich miejsc i dwie z nich zaczęły zasypywać go pytaniami w ich twardym języku. Po chwili przerzuciły się na malca i z tonu głosu Émilie wywnioskowała, że go strofują, zapewne za opuszczenie bezpiecznego schronienia. Pozostałe wycofały się, skinawszy głowami. Po ich prostym stroju Émilie domyśliła się, że mogły być pokojowymi.

Freiwald wreszcie pokazał na gościa. Zawzięcie tłumaczył coś kobietom, które teraz podejrzliwie wpatrywały się w bladą z bólu i zmęczenia Émilie. W oczach niewiast gościł przestraszony oraz niepewność.

— To moja żona, Frau Freiwald — zwrócił się do Émilie zarządca. Kobieta w białym czepku na głowie i ciężkiej sukni z grubego materiału skłoniła się z pokorą przed gościem. — Niestety, nie mówi dość dobrze po francusku — dokończył przeproszającym tonem gospodarz.

— Miło mi będzie być państwa gościem. — Émilie starała się zawrzeć w tych słowach tyle sympatii dla tych ludzi, ile tylko się dało. Uśmiechnęła się przy tym do kobiet. — Nazywam się Émilie Treillard.

— To siostra mojej żony, Fräulein Anna Sawatzki. — Zarządca pokazał na drugą z niewiast, dość młodą i ładną blondynkę, nieco młodszą wersję Frau Freiwald.

Dziewczyna mogła mieć nie więcej niż dwadzieścia lat, a jej oczy błyszczały ciekawością i sprytem. Dygnęła przed Émilie, ale zaraz podniosła wzrok i dość bezczelnym spojrzeniem otaksowała bladą, zmęczoną i obolałą Francuzkę, aż ta zaniemówiła. Dziewczę równie szybko opuściło oczy na skraj sukni i Émilie musiała uznać, że jej się przywidziała pogarda, która błysnęła na twarzy Anny Sawatzki.

Starsza z kobiet wydała polecenie młodszej. Émilie mogła się tego domyślać z tonu głosu. Dziewczyna zareagowała dość gwałtownie, tym razem zupełnie jawnie rzucając gościowi niechętnie spojrzenie. Wyraźnie odcięła się siostrze, do tego zacisnęła dłonie. Dopiero kiedy huknął na nią Freiwald, zwróciła się po francusku do Émilie:

— Proszę za mną, madame. — Po czym chwyciła świecę, obróciła się z furkotem ciężkiej

zimowej spódnicy i wyszła na korytarz.

Émilie uśmiechnęła się do zakłopotanych gospodarzy. Najwidoczniej to dziewczę nie było zbyt zadowolone z jej obecności, w dodatku nie miało zamiaru ukrywać tego niezadowolenia. Anna szła korytarzem, głośno stukając obcasami, zaś drzwi do pomieszczenia, w którym miała mieszkać Émilie, otworzyła z takim impetem, że prawie zgasła świeca.

— Proszę bardzo! — warknęła dziewczyna, zabrała coś ze stolika pod niewielkim oknem i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Francuzka nie zdążyła jej nawet podziękować. Na szczęście Anna na stoliku zostawiła świecę, w blasku której Émilie dostrzegła, że pomieszczenie musiało być pokojem panny Sawatzki. Jasne meble, draperie na ścianie obok okna, kilka książek na komódce przy łóżku oraz drobiazgi leżące na toalecie obok lustra nie pozostawiały wątpliwości, że mieszka tu młoda kobieta. Teraz jasne stało się, dlaczego nieproszony gość nie zyskał sympatii Anny.

Émilie westchnęła, zdjęła płaszcz i podeszła do ustawionego w kącie pieca. Ciepło przyjemnie rozeszło się po jej zmarzniętym ciele. Marzyła o czymś gorącym do jedzenia i o ciepłym łóżku. Gospodarze najwidoczniej czytali w jej myślach, bo wystraszona młoda kobieta przyniosła skromny posiłek. Zanim Charles przyszedł do pokoju, Émilie leżała już pod ciepłą pierzyną i z trwogą myślała o tym, jak bardzo spuchły jej nogi i jak źle się czuje. Zrozumiała, że złe samopoczucie podkopało jej wolę walki o córkę. Musiała więc zadbać o siebie, ale przede wszystkim postarać się spotkać z cesarzem, co mogło nie być łatwe, skoro nawet Treillard najwidoczniej nie został dziś dopuszczony przed oblicze imperatora. Nie musiał jej tego mówić. Wściekłość z niego wręcz kipiała, gdy wpadł do pokoju jak burza, a zazwyczaj nerwowe ruchy stały się kanciaste. Leżała nieruchomo, żeby go nie prowokować, kiedy szykował się do snu. Widać jednak i jemu podróż dała się we znaki, bo zasnął szybko, nie dotykając jej nawet.

IV

Śniegocki uchylił powieki i zaraz je musiał przymknąć, bo jaskrawe światło nie pozwalało mu patrzeć. Kiedy ponownie otworzył oczy, uznał, że pewnie trafił do nieba, bo w tym blasku przypominającym promienie słońca objawiły mu się anioły, w dodatku wszystkie płci pięknej.

Boże Wszechmogący, czemu po śmierci wystawiasz mnie na pokuszenie? Gdybym wiedział, że w niebie są niewiasty, nie obiecywałbym nie zaglądać pod spódnice — pomyślał zgnębiony młodzieniec. A potem zaczął się zastanawiać, czy aby przypadkiem anioły nie nosiły jakowychś innych szat, które nie były wcale spódnicami, a pod które mógłby zaglądać do woli.

Te jego niewczesne rozważania przerwały głosy, ponad które wzbijał się jeden, tubalny i powodujący ciarki na znękanej duszy Śniegockiego.

Pewnikiem sam Bóg — pomyślał młodzieniec i zacisnął powieki, bojąc się, że majestat boski go oślepi.

— Wydawało mi się, że przyszedł do przytomności — rozbrzmiał kobiecy pisk nad głową Michała.

— Leosia ma te swoje urojenia — zakpiła inna kobieta.

— Co Leosia widziała? — zagrzmiął znów mocny męski głos.

— No jak to co? — Płaczliwa nuta wkradła się do tego piskliwego tonu. — Oczy otworzył był.

— Panie Śniegocki, słyszy mnie pan? — Męski głos zwrócił się bezpośrednio do leżącego nieruchomo Michała, który z bojażnią uchylił jedno oko, przygotowany na spotkanie z Bogiem. Jednakowoż tubalny krzyk okazał się wydobywać z ust Wincentego Podolskiego, pana domu, pochylonego nad łóżkiem, na którym spoczywał żołnierz. Zaś pozostałe głosy należały do kobiet zamieszkujących dwór w Podolanach. Śniegocki poczuł ulgę, choć tkwiły w niej drobne igiełki rozczarowania, że nie dane mu było zobaczyć aniołów i samego Boga.

Nie tym razem, Michale — pomyślał młodzieniec.

— Słyszę — odezwał się cicho, co zgromadzone wokół łóżka towarzystwo przyjęło z radością manifestującą się w okrzykach i łzach.

— Zuch chłopak! — zakrzyknął na koniec pan domu, wysoki, wąsaty i nieco już posiwiący

Podolski. Poklepał Michała po ramieniu. — Żył będzie!

Jak szybko uświadomiono owego zucha, pozostawał nieprzytomny przez dwa dni, w ciągu których gorączkował, wykrzykiwał przez sen wojskowe komendy i bredził coś o spódnicach. To ostatnie najbardziej zaniepokoiło Śniegockiego i miał nadzieję, że zbyt wiele nie wygadał. Do tego przyszły rozkazy o stawieniu się w Pułtusku z powodu ruchów wojsk rosyjsko-pruskich. Część żołnierzy musiała poprzedniego dnia wyjechać, pozostawiwszy swego dowódcę w stanie, jak się wyraził senior rodu, zawieszenia pomiędzy życiem a śmiercią. To Michała zmartwiło, bo oznaczało, że co rychlej będzie musiał z resztą oddziału i on dołączyć do armii i Bóg wie, dokąd ich rzuci los, a raczej kapryśna wola cesarza.

— Co z panną Krysią? Czy wydobrzała? — przerwał wreszcie gorączkowe opowieści zgromadzonych w pokoju.

Cisza i zmieszane spojrzenia zmroziły Michałowi krew w żyłach.

— Na litość Boga, co z nią? — Usiadł gwałtownie na łóżku, aż zakręciło mu się w głowie.

— Krysia jest w złym stanie. Wdało się zapalenie płuc — przemówił pan domu, a na jego czole pojawiła się głęboka zmarszczka.

Któraś z kobiet zachlipała cicho, zaś matka Antoniego i Krysi zacisnęła usta w wąską kreskę. Michał zauważył już wcześniej, że kobieta nie darzyła córki wielkim przywiązaniem. Krysia chowała się przed rodzicielką po kątach, a i pozostałym domownikom najczęściej schodziła z drogi. Dusza się w nim burzyła, że niewinne dziewczę traktowane jest gorzej od kuchcika, podczas gdy wszyscy zapatrzeni byli jak w obraz w tego nicponia, bawidamka i zawadiakę, jej brata Antoniego, co niejedno miał za uszami.

— Sama sobie napytała biedy i jeszcze zdrowie pana naraziła na szwank — parsknęła babka, której Michał szczerze nie znoził.

Starsza pani, ubrana zawsze na czarno, minę miała ciągle taką, jakby w domu leżał nieboszczyk, w dodatku mocno posunięty w rozkładzie. Wiecznie skwaszona, ani się uśmiechnęła, ani odpowiedziała na jakąkolwiek uprzejmość. Modlitewnik przyrósł był jej chyba do ręki, więc wszystkich straszyla ogniami piekielnymi, co burzyło spokój Śniegockiego, bo sam niejedno miał na sumieniu, w związku z czym nie lubił myśleć o tym, co spotka go po śmierci. Wolał skupić się na życiu doczesnym, zwłaszcza na płynących z niego uciechach.

I wtedy w umyśle Michała zrodził się szatański plan.

— To panna Krysia próbowała mi pomóc, kiedyś nieostroźnie wszedł na lód, nie zdając sobie sprawy, że nie kroczyć już ścieżką, lecz po stawie.

— Jak to? — Matka Krysi wyglądała na zaskoczoną nie mniej niż pozostali domownicy.

Michał w duchu ucieszył się ze swej przebiegłości. Choć raz utarł nosa tej paniusi, a przy okazji uratował biedną Krysię przed reprimendą. Zaś wprawienie tych ludzi w konsternację i wyprowadzenie ich w pole uznał za dodatkową zaletę sytuacji.

— Tak to, droga pani Podolska. Pani córka ma wielkie serce i jeszcze większą odwagę. Zobaczywszy, że tafla się pode mną załamuje, rzuciła się w moim kierunku, coby mnie ratować, po czym sama wpadła pod lód. Niestety, było za późno i się skapałem. Na szczęście udało mi się pannę Krysię wydobyć z wody.

— Panienko Najświętsza — jęknęła Leosia i przeżegnała się.

— Dobrze pani wychowała córkę. Nie wahała się ani chwili — dodał Michał, kontent z siebie.

— No tak, rzeczywiście — potwierdziła tylko pani domu i umilkła.

— Zostawcie pana pułkownika. Niech odpocznie w spokoju — zakomenderował ojciec Antoniego i Krysi.

— Wolałbym raczej co zjeść — odezwał się nieśmiało Michał, na co zaraz zareagowała Podolska. Zawołała pannę służącą i kazała jej przynieść z kuchni śniadanie.

Rumiana dziewczyna zaczerwieniła się jeszcze bardziej, a potem zniknęła za drzwiami. Michał pamiętał, jak obmacał ją w sieni, kiedy nikt nie widział. Przyjęła te jego awanse z entuzjazmem, więc podejrzewał, że była mu chętną. Na samą myśl o tym poczuł przypływ sił witalnych. Ale kiedy dziewczyna zjawiła się ponownie w pokoju, Michał ugasił już swe chucie. W głowie jak uparta pszczoła

brzęczała mu myśl o przysiędze, którą był poczynił na brzegu załamane go lodu, działająca jak kubek zimnej wody. Przeklinał się za nią, ale wiedział, że jej nie może złamać, przynajmniej póki Krysia nie wydobrzeje.

Posiliwszy się nieco, odprawił wciąż przyglądającą mu się dziewczynę. Co jakiś czas znacząco chrząkała. Starał się na nią nawet nie patrzeć, gdy wychodziła, kołysząc biodrami. Pod wieczór, gdy szarość zaczynała zakradać się z kątów pokoi we dworzec, a kobiety skupiły się w bawialni, Michał wyszedł z łóżka, wciągnął spodnie oraz kubrak i na chwiejących się nogach poszedł do pokoju Krysi.

Dziewczyna miała za towarzyszkę swoją nauczycielkę, daleką kuzynkę, nazywaną Leosią. Śniegocki bał się tej blondynki o nieprzytomnym, zamglonym spojrzeniu. W jej oczach czaiło się coś, co go przerażało. Czasem śmiała się bez powodu lub wybuchała płaczem, zaś Antoni, wspominając kuzynkę, zazwyczaj palcem na czole rysował kółko.

Nie będąc pewnym, czy kto jeszcze nie czuwa przy łóżku chorej, Michał skradał się na palcach, po czym ostrożnie otworzył drzwi i zajrzał do wnętrza zaciemnionego pokoju. W kominku buzował ogień i jego płomienie rozświetlały pomieszczenie z łóżkiem pod ścianą, a także z szafą, stolikiem i niewielką otomaną, na której pewnie sypiała nauczycielka. Akurat jej tu nie było. Śniegocki podszedł do łóżka, gdzie spoczywała Krysia. W pierwszej chwili pomyślał, że chyba umarła, bo leżała nieruchomo. Zaraz jednak zganił się w myślach, bo zauważył, że piersi dziewczyny unosiły się miarowo, ale dziwnie szybko, zaś policzki były czerwone, jakby je uróżowała. Położył dłoń na jej czole, lecz przerażony szybko ją cofnął. Krysia była rozpalona. Poruszyła się, a z jej piersi ze świstem wydobył się oddech.

— No to mogę zapomnieć o złamaniu przysięgi — mruknął pod nosem Michał. — Żeby mnie diabli byli... — zaczął, ale nie skończył, żeby złe moce nie dosłyszały jego niewczesnych żalów. Mogłyby jeszcze zabrać duszę dziewczyny, a tego Śniegocki by nie zniósł. Może i święty nie był, ale bojaźliwy i przesądny na pewno, co niejednokrotnie wyśmiewał Antoni. Michał swoje wiedział. Lepiej Boga nie prowokować.

— Kto tu? — odezwała się słabym głosem dziewczyna, aż Michał odskoczył od łóżka przerażony. Wpatrywały się w niego olbrzymie, lśniące gorączką oczy.

— To ja, Śniegocki, panno Krysiu. — Przysiadł na brzegu łóżka ostrożnie.

Dziewczyna wbiła spojrzenie w sufit i zmarszczyła czoło, jakby tam coś zobaczyła, aż Michał sam podniósł głowę, ale poza osmoloną powałą niczego nie dostrzegł.

— Pora mi umierać. Czekają na mnie dziadunio — wyszeptwała dziewczyna.

— Co też Krysia wygaduje. Będzie żyła Krysienka sto lat. Ja nie pozwolę... — Michał chwycił gorącą dłoń dziewczyny i urwał, nie bardzo wiedząc, co dalej mówić. — Ja ślubowałem na żadną kobietę nie spojrzeć. Musi Krysia przeżyć, żeby zostać moją żoną — wyrzucił z siebie prostodusznie, zaś w myślach dodał: — Inaczej skończę w klasztorze.

— Mnie nikt nie chce. A pan Śniegocki taki piękny. — Zasapała się i chwilę łapała oddech. — Gdzie on by mnie tam chciał. Umrę i nikt nie zauważy. — Uśmiechnęła się do sufitu i młodzieniec dałby sobie głowę uciąć, że ona nie wie, do kogo mówi.

— Ja panienkę chcę. Ja, jakem Śniegocki, herbu Junosza.

— Gdzie on by mnie tam chciał. Taki szlachetny kawaler. — Znowu ten smutny uśmiech, tak słodki, tak cudowny, że Michałowi aż łzy stanęły w oczach. Taki z niego był szlachetny kawaler, że nawet przy łożu chorej myślał tylko o swoich portkach, w których się gotowało. Czy on zasłużył na tego anioła? Klęknął przy łóżku i w przypiływie wzruszenia złożył, tym razem Krysi, kolejną obietnicę, ściskając dłoń ukochanej.

— Ślubuję panience, że jak panienka ozdrowieje, to będę w czystości czekał, aż panienka dojdzie swoich lat i wtedy oświadczę się o rękę panienki. Tylko niech mi Krysia nie umiera — dokończył błagalnie.

Dziewczyna spojrzała na niego i na jej twarz wypłynął spokój. Wysunęła palce z jego ręki i dotknęła policzka Michała, a on ucałował wnętrze jej dłoni.

— Dziękuję — szepnęła, po czym zamknęła oczy i jej ręka opadła na pościel. Oddychała szybko, więc była żywa, ale widać wizyta gościa mocno ją wymęczyła.

Michał klęczał jeszcze długo w ciemnościach, które teraz bez skrępowania zajęły pokój Krysi, i modlił się żarliwie, żeby Bóg wysłuchał go i dał dziewczynie zdrowie. Potem cicho wyszedł, ocierając łzy.

ROZDZIAŁ III

I

— Co za cholerny kraj — mamrotał pod nosem rozespany Charles Treillard.

W piecu dawno wygasło i choć za pasem mieli marzec, to śnieg wciąż uparcie zalegał nawet w mieście, a mróz zdawał się przenikać przez ściany. Generał w pośpiechu naciągnął na siebie grube spodnie wpuszczane w cholewy wysokich butów, a na koszulę i mundur przywdział podbity futrem płaszcz. Nadal było mu zimno, do tego ledwie co zablizniona rana na głowie rwała tępo. Zdarzało mu się być zranionym w bitwie, ale nigdy żadna z ran nie goiła się tak długo i paskudnie, w dodatku pozostawiając po sobie obrzydliwą, szeroką, napuchniętą bliznę, która na zimnie siniała i bolała. Nie zależało mu na tym, by wzbudzać kobiece zachwyty, choć i tak nie mógł narzekać na ich brak, bo nie mało niewiast przewinęło się przez jego łóżko. Nie mógł jednak zdzierżyć, z jakim obrzydzeniem patrzy na niego własna żona.

Nie dość, że dziwka puszczała się z tym żołdakiem Podolskim, to w dodatku on, jej mąż, nie mógł jej w żaden sposób ukarać, bo nosiła ponoć jego dziecko. Owszem, miał co do swojego ojcostwa wątpliwości, ale zamierzał powściągać gniew do czasu, aż spojrzy na potomka. Wiedział, że jeśli cokolwiek będzie wskazywało na to, że syn nie jest jego, w tej samej chwili, w której dojdzie do takiego wniosku, niemowlę zginie, a wraz z nim jego niewierna matka.

Palce aż go świerzbiły. W wyobraźni już układał plan tortur, jakim podda jasne, splamione brudnymi żołnierskimi łapskami ciało Émilie, kiedy tylko wyda ona na świat potomka. Szpicruta — to najlepsza nauczycielka posłuszeństwa i strażniczka cnoty. Jego żona dobrze znała jej zapach, ale najwidoczniej zbyt słabo wpoił jej, z czym jest związana zdrada.

Pożądał tej kobiety od pierwszej chwili, kiedy ją zobaczył, tym mocniej, im mocniej ona go nienawidziła. Nawet teraz, kiedy spała wciśnięta w kąć łóżka, bezbronna i pachnąca snem, miał ochotę wychłostać ją, bo tylko wtedy, gdy opadała z sił, gdy już nie mogła się bronić, był w stanie złamać jej opór. Do szału jednak doprowadzało go to, że nigdy nie mógł wejść do jej duszy, nie umiał wzbudzić w niej nic więcej ponad pogardę i niechęć. Najprościej byłoby zatłuc tego małego bękarta, jej córkę, ale wtedy straciłby wszelkie argumenty, a Émilie nie miałaby po co żyć. Póki ta mała istniała, jego żona miała motywację, by mu się przeciwstawić. W innym przypadku zapewne uciekłyby prosto w ramiona śmierci, czym wiele razy mu groziła.

Teraz dziecko mieli Polacy i żoneczka jak nigdy potrzebowała jego łaski. Oczywiście nie miał zamiaru nic robić w tej sprawie. Sam miał na głowie aferę ze skradzionymi listami Napoleona i jak nigdy bał się tego, co powie i zrobi z nim cesarz.

W głębi duszy pogardzał imperatorem, jak większość wysoko urodzonych, ale trudno stawiać opór komuś, kto dzierży władzę i ma za sobą całe rzesze ludzi z nizin społecznych. Treillardowi wystarczyło popatrzeć na marszałków i innych generałów *Grande Armée*. Sam Lannes, pod którym służył, zrobił w armii oszałamiającą karierę.

Tylko strach utrzymywał w ryzach niegdyś dumnych arystokratów. Ten sam strach ograniczał aspiracje marszałków. Cesarz wiedział, jak nagradzać najwierniejszych. Hojnie obdarowywał ich księstwami po zwycięskich bitwach, powstrzymując zakusy na coś więcej niż książęce tytuły. Ale dobra passa kiedyś się skończy, jak wszystko na tym świecie, i cesarz będzie musiał zebrać plon z tego, co zasiał. Prostacko, które teraz zasiada w urzędach, z czasem odsunie go od władzy. Niech no tylko mu się noga powinie.

Na razie jednak Anne-François Charles Treillard, potomek szlacheckiego rodu, musiał postarać się dotrzeć do imperatora i tak rozegrać tę partię, by nie stracić patentu generała dywizji. Dlatego, mimo bólu rozsadzającego czaszkę, nie czekał na posiłek, tylko niezwłocznie udał się na poszukiwania Constanta — kamerdynera Napoleona. Jedyne on mógł cokolwiek wskórać u cesarza.

Zamek, przypominający Charles'owi trzy stodoły ustawione prostopadle do siebie, nie był na tyle duży, by w nim zabłądzić, więc bez trudu Treillard odnalazł kamerdynera, a ten zaraz po śniadaniu zaanonsował go cesarzowi. Generał musiałby być idiotą, żeby nie odczuwać strachu, stając przed

obliczem człowieka, przed którym drżała cała Europa. Za to obawa o życie i oficerskie patenty chwilowo odwracała uwagę od bólu.

Treillarda zaskoczyło dość proste, żołnierskie wyposażenie dużej sali na piętrze, którą zajmował monarcha. Chociaż trwała wojna i nawet imperatorowi zdarzało się nocować w namiocie, to jednak Charles spodziewał się, że służba zadba o dostarczenie tu najwyższej jakości sprzętów. Tymczasem centralnym punktem pomieszczenia był olbrzymi kominek, w którym buzował ogień rozniecany przez wiernego mameluka i przy którym grzał dłonie Napoleon. Mimo to, jak w całym zamku, tu też panował chłód, a niewielkie okna wpuszczały tylko tyle światła, żeby wiedzieć, że wstał dzień. Spory stół, ustawiony na środku, założony był papierami i arkuszami map, za to ściany dla ochrony przed zimnem obwieszono kobiercami.

— Miło widzieć pana w dobrym zdrowiu, generale Treillard, bo podobno było z panem nietęgo. Tak? — zagadnął Napoleon, zatarłszy ręce, zanim Charles zdążył cokolwiek powiedzieć.

Pozostawało przytaknąć, co wywołało w czaszce gościa jeszcze mocniejsze łupanie.

— Z czym pan do mnie przybywa, generale Treillard? — Cesarz przeszedł do sedna. W każdym jego ruchu znać było pewną nerwowość, niecierpliwość. Prawą rękę chował za połą munduru, żeby zamaskować jej podrygiwanie. Widać też nie lubił tracić czasu, co akurat dla Charles'a było zaletą.

— Przynoszę niepomyślne wieści, wasza cesarska wysokość — zaczął przybysz i odchrząknął, by zyskać na czasie.

Cesarz usiadł na krześle, skinąwszy na mameluka, by przysunął je bliżej ognia. Gestem przywołał do siebie Treillarda.

— Złe wieści lepiej przyjmować na siedząco — rzucił filozoficznie Napoleon i znów założył dłoń za połą munduru. Bystre oczy przebijały Treillarda niemal na wylot. — Cóż to za wieści?

Mameluk taktownie usunął się w cień i czekał na dalsze polecenia.

Charles powstrzymał ochotę, by chwycić się za obolałą głowę.

— Wasza cesarska wysokość zlecił mi pieczę nad korespondencją, która miała dotrzeć do cara... — urwał, starając się zebrać rozbiegane myśli.

— Zgadza się. Miał pan, generale, zadbać, by nie wpadła w niepowołane ręce — warknął Napoleon, a jego wzrok mówił, że odgadł, co stało się z listami.

— Jednakowoż stało się najgorsze, wasza cesarska wysokość. Kiedym leżał ranny po bitwie na polach pod Pułtuskim, mój ordynans był wykradł przesyłkę i uciekł z nią do Warszawy. Zabrał też plany kampanii — Treillard mówił szybko, by cesarz, którego twarz przypominała maskę, nie mógł mu przerwać. — Szpieg utonął w Wiśle. Prawdopodobnie z listami.

— Prawdopodobnie? — zapytał cicho monarcha i zacisnął pięści. — To jak wytłumaczysz fakt, że Rosjanie dokładnie wiedzieli o naszych planach? Spodziewali się nas pod Preußisch Eylau. Na każdy nasz ruch byli przygotowani! *Putain de merde!*⁵

Treillard potarł bolącą skroń.

— Tak mi doniesiono. Najpierw wysłałem za szpiegiem moich ludzi. Potem osobiście udałem się za nim w pogoń, gdy już mogłem wstać z łóżka.

Napoleon uderzył zaciśniętą dłonią o oparcie krzesła, po czym wstał. Nie patrzył na Treillarda. Założył ręce do tyłu i klął pod nosem, wpatrując się w ogień. Wreszcie po nieznośnie długiej chwili obrócił się w stronę generała i wycelował w niego palec.

— Kto zlecił mu szpiegowanie? Musiał mieć pomocników, zaufanych ludzi. Do kogo pojechał w Warszawie? Z kim się spotkał?

Tu Treillard miał ochotę podskoczyć wysoko, bo cesarz poszedł dokładnie tym tropem, o jaki mu chodziło.

— Działał na zlecenie Polaków. Pomagał mu niejaki pułkownik Antoni Podolski. — Generał urwał. Nie musiał długo czekać na reakcję Napoleona, bo ten znowu zaklął.

— Kto to? Dla kogo pracuje i dlaczego go tutaj nie doprowadziłeś?

— Patent pułkownika uzyskał w Pułtusku, z rąk waszej cesarskiej wysokośći. Schwytaliśmy go i w trakcie przesłuchań wyśpiewał, że pracował dla Tyszkiewicza.

— Tyszkiewicz... Skądś znam to nazwisko. Tak... — mamrotał do siebie cesarz. — A co z tym

Podolskim?

— Uciekł nam, wasza cesarska wysokość — gładko skłamał Treillard. Był pewien, że Podolski nie przeżył pobicia, a pozostawienie go w tej norze na pewną śmierć było aktem ostatecznej zemsty. — Aleśmy mu z głowy wybili szpiegowanie. — Treillard zmrużył oczy niczym syty kot na samo wspomnienie zmasakrowanej twarzy Podolskiego.

— Uciekł, powiadasz?

— Niestety, wasza cesarska wysokość.

— Constant! — krzyknął nagle cesarz, a kamerdyner pojawił się zaraz w pokoju, jakby stał pod drzwiami i czekał na wezwanie. — Szukamy dezertera, pułkownika Antoniego Podolskiego. To szpieg. Tak! Przy najbliższych meldunkach przygotuj specjalny rozkaz. Ktokolwiek go zna, wie, gdzie może przebywać albo jeszcze lepiej, doprowadzi go do sztabu, ten otrzyma nagrodę.

Treillard był pod wrażeniem energii i pewności siebie, jaka drzemała w tym człowieku, który przecież nawet nie był rodowitym Francuzem, co zresztą zdradzał jego akcent. Rozkazy wydawał, jakby mówił w powietrze, ale kamerdyner widać przywykł do tego tonu, bo wyłapywał każde słowo i zapewne bez szemrania wprowadzał je w życie.

— Tak! Będziemy bezwzględnie ścigać szpiegów! — Palec cesarza powędrował w górę jak wykrzyknik kończący zdanie.

Treillard skłonił się uniżenie, by ukryć uśmiezek zadowolenia. Łupanie w głowie jakby osłabło. Nawet jeśli ten chłystek przeżył, wszyscy będą na niego polować, podczas gdy on o niczym nie będzie wiedzieć. Nie ukryje się, a gdyby jednak mu się to udało, Charles gotowy był wygrzebać go choćby spod kamienia. Zresztą generał miał w planach odnalezienie rodzinnego domu Podolskiego. Musiał pochodzić z zamożnej rodziny, gdzieś spod Pułtuszka lub Warszawy. Nie zrobiliby go tak szybko oficerem, jeśli nie miałby oparcia w rodzinie. Czas wojny nie sprzyja podbitym ludom i Treillard zamierzał to wykorzystać. Wystarczyło z zaufanymi ludźmi wpaść i spalić, zniszczyć, co się da, a rodzinę wymordować. Nikt nie będzie bezkarnie zadzierał z generałem Treillardem. Nikt!

— Ty, Treillard, dostaniesz misję. — Głos cesarza wyrwał generała z marzeń o masakrze. — Znajdziesz mi kwatery. Coś lepszego niż ta marna wioska. Niż ten zimny zamek. Tak! Miejsce, gdzie nawet kobieta nie zmarznie. Dość mam tego ciąglego zimna.

Constant, stojący wciąż na środku pokoju, drgnął na te słowa i spłoszony przyjrzał się monarsze, który stał na tle blasku płomieni z buzującego na kominku drewna niczym bóg słońca.

Charles zaniemówił. Nie planował wyjazdu z Osterode. Miał nadzieję, że osobiście przypilnuje tej dziwki aż do jej porodu, żeby mu ponownie nie uciekła. Narzekała na bóle, kazał nawet wezwać medyka, więc wleczenie jej ze sobą nie wchodziło w grę. Tym bardziej że wojsko odpoczywało po trudach dotychczasowych, nierozstrzygających losów wojny potyczek. Ból głowy wrócił ze zdwojoną siłą.

Napoleon tymczasem skinął na Constanta, który skłonił się i wyjaśnił osłupiałemu Treillardowi:

— Kwatera ma być godna cesarza. Nie bierzemy pod uwagę starych zamków i kamienic w miasteczkach. Najlepiej w połowie linii Gdańsk — Pułtusk, gdzie mamy rozlokowane nasze korpusy.

— Przyjdzie nam tu czekać jeszcze kilka miesięcy, zanim pogoda pozwoli na dalsze walki — sprecyzował monarcha. — Więc do dzieła, generale. Wyjedzie pan jeszcze dziś. Tak!

Napoleon spojrzął na kamerdynera i to wystarczyło. Constant wskazał drzwi Treillardowi, a ten wyszedł z pomieszczenia, skłoniwszy się cesarzowi.

Generał miał ochotę wrzeszczeć. Głowa mu płonęła. Poluźnił chustkę pod szyją i oparł się plecami o zimną ścianę korytarza. Wściekłość buzowała w jego żyłach, domagając się ujścia. Ruszył biegiem do pokoju, w którym spędził ostatnią noc.

II

Jeszcze długo po tym, jak Charles wyjechał z zamkowego dziedzińca, Émilie stała w oknie opatulona ciepłym szalem i ze strachem patrzyła na drogę. Nie była pewna, czy wyjazd męża nie jest jego kolejną prowokacją. Dobrze wiedział, że gdyby mogła, uciekłaby ponownie. Kiedy jednak minęło kilka minut i nic nie zapowiadało tego, że Treillard miałby wrócić, odetchnęła niepewnie. Popatrzyła na

dwóch drabów sterczących na dole, którzy towarzyszyli mężowi od czasu, gdy uciekł jego ordynans. Pilnowali nie tylko swego dowódcy, ale przede wszystkim jej. I teraz też zostali w Osterode, by mieć ją na oku.

— To moje oczy i uszy, zoneczko. Jeśli ich zmusisz, będą też moimi rękami — wysyczał Charles na pożegnanie.

Mimo tej groźby nie miała wątpliwości, że mąż bał się o jej zdrowie, bo nie zabrał jej ze sobą. Uprzedził, że znajdzie kwatery dla cesarza tak szybko, jak się da. I wróci.

— Jeżeli spróbujesz uciec, pamiętaj, że ryzykujesz życie tych ludzi — zastrzegł, pokazując na rodzinę Freiwaldów siedzącą z nimi przy stole podczas spożywania śniadania. — Nie oszczędzę nawet tego dzieciaka. A może właśnie od niego zacznę.

Anna Sawatzki popatrzyła ze strachem na szwagra. Zrozumieli słowa generała, ale pytający wzrok żony Freiwalda świadczył o tym, że nie miała pojęcia, o co chodzi. Dopiero kiedy bezbłędnie odczytała strach wyzierający z oczu męża, przygarnęła do siebie syna.

— Nie mam zamiaru się stąd ruszać — warknęła Émilie. — Nie musisz ich straszyć. Nie będę ryzykować życia własnego dziecka.

— Obyś dotrzymała słowa — wyszeptał Treillard, pochyliwszy się w jej stronę, po czym uderzył dłonią w blat, aż cała rodzina Freiwaldów podskoczyła na swoich miejscach, a maluch ukrył się pod stołem. Charles rozparł się na krześle i zaśmiał się głośno. Nigdy nie nudziło mu się straszenie słabszych od siebie.

Émilie wiedziała, że nie ruszy się z Osterode aż do powrotu męża albo i nawet do porodu, bo nogi jej puchły i czuła się ociężała, niezdolna do wysiłku. Ucieczka wymagałaby od niej sprawności i siły, a tego jej brakowało, chociaż ciąża nie była zbyt widoczna i nie utrudniała ruchów. Najchętniej spałaby całymi dniami lub grzała się przy kominku. Charles nie musiał straszyć tych biednych ludzi. I tak wystarczająco mocno obawiali się o swoje życie.

Jedyną, na czym jeszcze zależało Émilie, to odzyskanie córki. Nieobecność męża ułatwiała sprawę. Mogła bez wiedzy Treillarda wystarać się o rozmowę z cesarzem i wykorzystać jedyny atut, który pozostał w jej rękach.

Już następnego dnia nadarzyła się okazja, by podstępem wdrzeć się do cesarskich pokoi. Rzecz ułatwił nieświadomy niczego pięcioletni syn gospodarzy, Eduard. Émilie akurat kolejny raz wyszła na dziedziniec, żeby spróbować zagadnąć kogokolwiek z bliskich współpracowników cesarskich, ale ani Talleyrand, ani tym bardziej sam Napoleon nie wystawili nawet nosa z zajmowanych przez siebie pomieszczeń. Wejścia na drewniany krużganek prowadzący na piętro północnego skrzydła, gdzie mieszkał cesarz, strzegły straże. Tego dnia chłodny wiatr chłostał zamkowe mury, aż te zdawały się jeszcze mocniej czerwienieć. Niebo poszarzało i można było się spodziewać śniegu, ale zamiast tego wkrótce posypał się na dziedziniec marznący deszcz. Zmieniały się tylko straże, czuwające nad bezpieczeństwem monarchy, a i te skrywały się pod dach, by choć odrobinę uchronić się przed zimnem.

Émilie uznała, że tego dnia nie uda jej się dostać do cesarskich pokoi, ale wtedy minął ją mameluk Rustan, nieodłączny towarzysz Napoleona i jego najwierniejszy sługa. Niósł tacę wypełnioną naczyniami, z których unosiły się w zimnym powietrzu kłęby apetycznie pachnącej pary. Minęli się i sługa wszedł na krużganek. Émilie zdążyła zrobić tylko kilka kroków, bo zaraz rozległ się szcęk naczyń wymieszany z przekleństwami oraz płaczem dziecka. Mameluk wrzeszczał i otrząpywał ubranie, mały Eduard Freiwald płakał wniebogłose, żołnierze próbowali pozbierać naczynia z podłogi, a za plecami Émilie pojawiła się matka chłopca wraz z Anną, jego ciotką.

— Dzieciaka nikt nie pilnuje! Łazi po całym zamku. Zróbcie z nim porządek albo ja to zrobię! — odgrażał się kamerdyner, który pojawił się nie wiadomo skąd. Émilie zdążyła go poznać, bo ten pucułowaty mężczyzna o małych, przebiegłych oczkach pilnował spokoju cesarskiego bardziej niż straże.

Francuzka w pierwszym odruchu wbiegła po schodach i kucnęła przy chłopcu. Kiedy jednak do awantury dołączył Freiwald, próbujący załagodzić sytuację, a potem pojawił się też Talleyrand, przebywający widać na spotkaniu z monarchą, przecisnęła się obok nich i pognęła korytarzem w stronę pokoi Napoleona. Ten, zaalarmowany przez harmider na krużganku, akurat stanął w drzwiach, więc

Émilie nie miała wątpliwości, dokąd się udać.

— Co tam się u licha dzieje...? — zaczął cesarz i umilkł zdziwiony, kiedy kobieta pochyliła się przed nim w ukłonie.

— Proszę natychmiast wracać! — zakrzyknął za nią kamerdyner i ruszył w jej kierunku, lecz kiedy chwycił trwającą wciąż w ukłonie Émilie za ramię, Napoleon go powstrzymał.

— Najpierw chcę wiedzieć, co się stało. Tak?! — Monarcha podniósł prawą rękę, a jego zmarszczone czoło świadczyło o wzburzeniu. — A potem wyjaśni mi pani, kim jest i skąd się tu wzięła, choć twarz jakby znajoma...

Émilie ponownie skłoniła głowę.

W tle mały Freiwald za nic miał próby uciszenia go przez ojca, matkę, ciotkę oraz żołnierzy.

— Wasza cesarska wysokość raczy wybaczyć, ale Rustan potknął się o tego dzieciaka i wyrzucił cały posiłek na podłogę — pospieszył z wyjaśnieniem Constant.

— Nie widziałem go — dodał mameluk.

Cesarz uciszył ich gestem i zmarszczył czoło jeszcze mocniej. Podeszedł z założonymi do tyłu rękami do przerażonej rodziny gospodarzy i coraz ciszej zawodzącego, ubrudzonego zupą chłopca. Malec wtulał się w ramiona matki, ale mimo to z ciekawością zerkał na Napoleona.

— Skoro krzyczy, nic mu nie jest — zawyrokował cesarz i uśmiechnął się do chłopca, a on odpowiedział mu nieśmiałym uśmiechem. — To dzielny chłopak. Może nawet dzielniejszy niż wasz król⁶. Tak! Każcie go obejrzyć mojemu lekarzowi — zwrócił się do osłupiałego kamerdynera. — Ty, Rustan, uważaj, gdzie stąpasz, żeby przypadkiem nie nadepnąć na węża. — Zerknął spod oka na wystraszoną rodzinę i pogroził mamelukowi, na co ten pokornie schylił głowę.

Obserwująca całe zajście Émilie uśmiechnęła się po raz pierwszy od dawna.

— Tak! Teraz zajmiemy się wyjaśnieniem, kim jest pani — zwrócił się do niej Napoleon, co wykorzystawszy skwapliwie rodzina Freiwaldów i wycofała się do swoich pokoi.

— Nazywam się Émilie Treillard. Jestem żoną generała Anne-François Charles'a Treillarda. Pragnę porozmawiać z waszą cesarską wysokością... — Émilie rozejrzała się niepewnie po twarzach sług cesarza, którzy wciąż stali na krużganku i najwidoczniej pilnowali, żeby nawet włos z cesarskiej głowy nie spadł — ...w bardzo ważnej dla mnie, ale i dla Cesarstwa sprawie — dokończyła.

Napoleon zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów, aż miała ochotę się zakryć, chociaż otulała ją zimowy płaszcz. Następnie gestem dłoni odprawił najwyraźniej zbulwersowanego takim obrotem sprawy kamerdynera oraz mameluka.

— Chodźmy zatem — zwrócił się do Émilie.

Monarcha wrócił do zajmowanej przez siebie komnaty i podeszedł prosto do buchającego ciepłym kominka. Émilie skwapliwie podążyła za nim. W porównaniu do zajmowanego przez nią pokoju tu panowała przyzwoita temperatura i aż chciało się wygodnie rozsiąść w fotelu z wyciągniętymi w stronę ognia dłońmi. W obecności władcy jednak nie wypadało zrobić najmniejszego ruchu bez pozwolenia.

Napoleon zasiadł w fotelu przysuniętym tak blisko do ognia, że wydawało się, jakby płomień lizały jego twarz. Założył prawą rękę za poły zwykłego polowego munduru, a drugą pokazał wolny fotel.

— Zechce pani spocząć, pani Treillard.

Émilie odpięła płaszcz, bo ze zdenerwowania zrobiło jej się gorąco, i odłożyła go na oparcie fotela. Cesarz sekundę dłużej zatrzymał wzrok na jej twarzy, kiedy ponownie otaksował ją od stóp do głów. Mimo że ubrana była w ciepłą wełnianą suknię koloru wina, odciętą czarnym paskiem pod piersiami, znowu poczuła się zupełnie odkryta.

— Jestem niezmiernie ciekaw, tak, co też za sprawa sprowadza panią do mnie. — Prawa ręka Napoleona, zatknięta za mundur, drgała co jakiś czas niespokojnie i Émilie zorientowała się, że to dlatego trzymał ją na uwięzi, by nie podrygiwała w niekontrolowany sposób. Drugi raz widziała władcę, ale na balu nie miała sposobności, by dobrze mu się przyjrzeć. Zajęty swoją nową ofiarą, skupiał się na figurach tanecznych, więc wtedy nie widać było jego przypadłości. Ponadto uwagę Émilie pochłoniął wówczas całkowicie Antoni, choć wołała myśleć, że zajmowało ją wyłącznie śledzenie księcia Poniatowskiego, który przy cesarzu wyglądał jak dumny paw przy zwyczajnym kogucie. Odniosła wrażenie, że cesarz Francuzów nie lubił zewnętrznych oznak blichtru. Ubrany po wojskowemu, grzejący

się przy kominku, zdawał się zwykłym dowódcą, a nawet prostym żołnierzem, który znalazł się tu przez przypadek. W jego ruchach nie doszukała się dostojeństwa ani poczucia wyższości, jakie emanowały od przedstawicieli arystokratycznych rodów.

— Wasza cesarska wysokość, to ja jestem szpiegiem, który wykradł korespondencję powierzoną mojemu mężowi — wyrzuciła z siebie Émilie na jednym wydechu.

Cesarz pobladł, a w jego oczach zapłonął ogień, jednak nic nie mówił dłuższą chwilę, tylko wpatrywał się w twarz rozmówczynie, która z bijącym mocno sercem oczekiwała najgorszego.

— I przyznaje się pani do tego haniebnego czynu, za który powinienem kazać panią rozstrzelać, bo...?

— Przyznaję się, wasza cesarska wysokość, ponieważ nie zrobiłam tego z własnej woli. Zostałam zmuszona do kradzieży.

— Zmuszona?! — Napoleon poderwał się ze swojego fotela. Jego prawa ręka powędrowała do góry. — Ależ dopuściła się pani zdrady państwa! A tego wybaczyć żaden władca nie może! Tak!

— Zgadzam się, wasza cesarska wysokość — szepnęła ze łzami w oczach Émilie. — Jednak proszę mnie wysłuchać, zanim wasza wysokość wyda wyrok.

Cesarz umilkł i zajął swoje miejsce, ale w jego oczach wciąż płonął gniew i z trudem hamował nerwowe podrygiwania prawej ręki wciśniętej za połą.

— Niechże pani mówi, lecz ostrzegam. Niewiele to zmieni. Tak!

Émilie otarła łzy toczące się po policzkach. Od tego, co powie, będzie zależało życie jej i dzieci.

— Wasza cesarska wysokość, zostałam zmuszona do szpiegowania przez Polaków, którzy porwali moje dziecko. Chcąc wyrwać córkę z ich rąk, wykradłam listy i udałam się do Warszawy. Przekazałam je hrabiemu Tyszkiewiczowi, ale on został zamordowany, a mnie obarczono winą za tę zbrodnię.

— Tyszkiewicz? Kimże, u diabła, on był?

— Nie działał sam, wasza cesarska wysokość. Misję uprowadzenia mojej córki zlecił mu człowiek o nazwisku Czartoryski. — Émilie z trudem wymówiła nazwisko, którym podpisany był list, jaki zabrała z pałacu Tyszkiewicza, gdy ten już nie żył. Papier wciąż tkwił w przemyślnie ukrytej w fałdach jej sukni kieszeni i był jedynym, za co mogła przehandlować wolność córki, dlatego nie pokazała go cesarzowi.

— Znam to nazwisko. Czartoryski. — Napoleon w milczeniu wpatrywał się w Émilie, aż ta zaczęła się wiercić niespokojnie na swoim miejscu.

— Dlaczego w takim razie pani mąż, generał Treillard, kłamał, mówiąc, że to niejaki Podolski jest sprawcą kradzieży?

Émilie pobladła. A więc Charles w taki sposób postanowił zniszczyć Antoniego.

— Pułkownik Antoni Podolski pomagał mi w czasie mojej podróży do Warszawy, ale robił to bez świadomości tego, kim jestem i jakie dokumenty posiadam — odpowiedziała ze ściśniętym gardłem. Wtajemniczenie cesarza w niecny plan jej męża mogło się źle dla niej skończyć.

— Czyli jednak zdrajca — mruknął cesarz. Jego prawa ręka bezwiednie podskoczyła.

— Nieświadomy. — Ośmieliła się wtrącić Émilie z nadzieją, że monarcha zdecyduje się odwołać ciężące nad Antonim widmo kary, ale ten tylko machnął lekceważąco ręką i wstał. Kobieta zrozumiała, że za chwilę zostanie odprawiona, a nawet nie zdążyła wyłożyć powodu, dla którego się tu znalazła. Zerwała się z fotela.

— Wasza cesarska wysokość, wiem, kto przetrzymuje moje dziecko. Błagam, niech wasza wysokość pomoże mi odzyskać córkę. — Po tych słowach upadła na kolana, żeby być bardziej przekonującą. Wielcy za nic mieli problemy maluczkich, ale Émilie miała nadzieję, że Napoleon, jako człowiek, który nie miał królewskiego rodowodu, wykaże się współczuciem.

I rzeczywiście ponownie skupił na niej swą uwagę.

— Niechże pani wstanie — rzucił, ale nie pomógł jej się podnieść z kłęczek. Cesarski majestat nie pozwalał na taki gest. — Kto przetrzymuje to nieszczęsne dziecko?

— Księżę Józef Poniatowski i jego siostra — odpowiedziała Émilie i wstała, przytrzymując się fotela.

Napoleon nie umiał ukryć zaskoczenia.

— Cóż książę ma z tym wszystkim wspólnego? Czyżby i jemu nie można było ufać?

— Jako zwierzchnik sił porządkowych, po zabójstwie Tyszkiewicza, przejął opiekę nad moją córką. Błagam, niech wasza cesarska wysokość pomoże mi ją odzyskać. — Émilie starała się opanować drżenie w głosie.

Wystarczyłoby, żeby cesarz napisał list i nakazał księciu, który w końcu był jego sojusznikiem, a i przedstawicielem będącego na cesarskiej łasce narodu, oddanie dziecka. Jednak Émilie miała dość oglądy, by nie pouczać imperatora. Wierzyła gorąco, że monarcha ulituje się nad jej losem, ale ostatnia iskra nadziei zgasła w niej, gdy Napoleon machnął ręką, co oznaczało, że ją odprawia.

— Przy najbliższej sposobności wspomnę o tym w listach do księcia Poniatowskiego — odrzekł, lecz jego obojętna mina mówiła coś zupełnie innego. — Constant! — zawołał kamerdynera, ignorując zupełnie Émilie, której po twarzy płynęły łzy rozczarowania, tęsknoty i bólu.

Nie pozostało jej nic innego, jak tylko wrócić do siebie i czekać na cud.

III

W Warszawie, po tygodniach stagnacji po wyjeździe Napoleona i większości jego świty oraz oficerów, nastął czas nerwowego oczekiwania na decyzje cesarza względem kontynuacji działań wojennych po tragicznej bitwie pod Prusich Eylau, która nie rozstrzygnęła losów wojny. Spekulowano, kiedy i dokąd wyruszy zwycięska dotąd *Grande Armée*, gdzie przyjmie decydującą bitwę i przede wszystkim, jakie będą skutki ewentualnego pokoju dla nieistniejącej Rzeczypospolitej. Bo że kiedyś musiał nastąpić pokój, to wiedzieli wszyscy, nawet sceptycy, którzy uważali, że dla Napoleona stanowi on jedynie preludium do kolejnej wojny. Z tego też powodu nie oszczędzono środków na wyposażanie kolejnych oddziałów, zaś książę Poniatowski okazał się idealnym administratorem i organizatorem tworzących się wojsk polskich.

Antoni zupełnie nie był świadomy tego, co działo się poza murami koszar. Skupiony na ćwiczeniach w strzelaniu, na codziennej musztrze i przejmującym zimnie potęgowanym przez wilgoć, którą przesiąknięte były koszarowe budynki, zobojętniał i niemal przestał myśleć o swojej przeszłości spowitej mgłą.

Nie nawiązał żadnych przyjaźni, a i nie odzywał się zbyt wiele, bo szybko okazało się, że odstaje od tych prostych i niewykształconych mężczyzn, których głównym celem było najedzenie się, wyspanie, czasem dorwanie jakiejś dziewczki, a potem opowiadanie o tym z rozmarzeniem. Wyśmiewano jego wielkopaństwo i szydzono z wymowy zbyt starannej jak na koszarowe warunki w towarzystwie wyrzutek. Dlatego trzymał się na uboczu, cały czas mając poczucie, że tu nie pasuje, że jest drobiną piachu, która dostała się w tryby wojennej maszyny i blokuje jej sprawne obracanie się. Tylko na końskim grzbiecie, z szablą w ręku, czuł się swobodnie, tylko wtedy miał wrażenie, że robi to, co mu przynależy. Jednak skąd brało się to poczucie, nie umiał wyjaśnić.

We śnie czasem widywał biały dwór pomiędzy rozłożystymi drzewami, lecz droga do niego gubiła się w pamięci Antoniego tak samo jak mieszkanka domostwa. W resztkach wspomnień bowiem niewyraźna postać kobieca zawsze pojawiała się w pobliżu dworu.

Wreszcie z początkiem marca zarządzono wymarsz celem dołączenia do oddziałów stacjonujących w Prusach Wschodnich. V Pułk Strzelców Konnych, na potrzeby którego ich szkolono, został przetrzebiony w walkach pod Tczewem i wymagał uzupełnienia. Nikt nie wiedział, gdzie dokładnie rzuci ich los ani kiedy będą musieli walczyć. Zebrani na placu koszarowym żołnierze niecierpliwie podrygiwali, nie potrafiąc utrzymać emocji na wodzy. Po śniegu została tylko brunatna breja pomieszana z błotem. Drobnym, zacinającym od rana deszcz moczył płaszcz i potęgował wrażenie dojmującego chłodu.

Do szaserów przemówił siedzący na czarnym ogierze dowodzący nimi młody oficer z gładkim, ciemnym wąsikiem mającym mu przydać powagi i z rumieńcem na niemal dziewczęcej twarzy. Towarzyszył mu jeszcze jeden, nieco starszy i wyraźnie zmęczony mężczyzna w mundurze, który dotąd zajmował się ich szkoleniem. Oficer przypominał o karach za dezercję, bo niektórzy już w koszarach nie wytrzymywali wojskowego drylu. Potem wyjaśnił z groźną miną, że w czasie drogi mają się poruszać

zwartą kolumną, jak na musztrze, a maruderów będzie się gnać batami i nie dostaną racji żywnościowej na postój.

Antoni stał nieruchomo, ale nie słuchał oficera. Wiedział, jak wygląda przemarsz wojsk, choć nie był pewien, skąd ma tę wiedzę. Czekał tylko na sygnał, by dosiąść konia, a kiedy wreszcie to się stało, odczuł wielką ulgę. Coś go gnało na północ, coś kazało ruszyć się i działać, bo gdzieś za horyzontem niewidocznym w mieście znajdowały się wszystkie odpowiedzi na pytania, których z dnia na dzień przybywało w jego głowie.

— Zobacz, jak to tałatajstwo wygląda. Nawet w mundurach to banda obdartusów, nawet wyszkoleni są jak stado dzikich zwierząt. Jak zaufać takiemu wojsku i wierzyć, że zdołają dokonać czegoś więcej, niż ucieczka przy pierwszej nadarzającej się okazji? — Oficer mówił całkiem głośno do swojego niższego szarżę towarzysza. — Może ten jeden z całej tej hałastry nada się do czego, bo nie kręci się jak dzieciak, a i z oczu jakoś mu mądrzej patrzy.

Stojący w pierwszym szeregu Antoni zrozumiał, że mówią o nim. Przyjrzał się młodzikowi na koniu. Zapewne młokos sam jeszcze nie uczestniczył w boju, a wygłaszał sądy dotyczące obcych mu mężczyzn. Jednak Antoni musiał się z nim zgodzić. Większa część jego towarzyszy nie nadawała się do niczego prócz zamiatania ulic. Wyszkolenie i uzbrojenie dużo nie zmieniły.

— Dostanie pod komendę kilku ludzi i może być w grupie wywiadowczej. Na pewno nada się do tego, żeby stać w pierwszym szeregu, jak przyjdzie do prezentacji oddziału. Wysłowić się też potrafi — podsunął skwapliwie starszy z mężczyzn. Młodszy przytaknął mu i podjechał do Antoniego.

Patrzyli sobie z oficerem w oczy. Antoni poważny, jakby nieobecny. Oficer zaciekawiony i usilnie próbujący złamać niemy opór podkomendnego.

— Nadasz się jak nic na wywiadowcę. Wyglądasz mi na butnego — zaśmiał się oficer.

— Wedle rozkazu pana pułkownika — odpowiedział mu Antoni, wyprężywszy się, na ile mu pozwalało siodło.

Zaskoczenie oficera było tak wielkie, że aż jego koń to wyczuł i nerwowo pod nim zatańczył. Podolski w pierwszej chwili pomyślał, że nie powinien być się odzywać niepytany. Dopiero kiedy dowódca znów przemówił, zrozumiał, z jakiej przyczyny wzbudził zdumienie nie tylko młodszego, ale też starszego, odpowiedzialnego za szkolenie ich żołnierza.

— A to ci dopiero. On mówi po francusku — parsknął młodzieniec i ponownie przyjrzał się uważnie Antoniemu. — Gdzieś się nauczył tak gadać?

— Nie wiem, panie pułkowniku.

Oficer wycofał odrobinę konia i przyjrzał się podejrzliwie młodzieńcowi.

— Chcesz powiedzieć, że urodziłeś się i znałeś dwa języki?

— Nie, panie pułkowniku — odparł Antoni bez wdawania się w szczegóły. Poniewczasie zrozumiał, że nieświadomie zdradzając się ze znajomością francuskiego, naraził się na jeszcze większą niechęć towarzyszy broni. Rozejrzał się na boki. Nie dziwiły go rzucane mu nienawistne spojrzenia. Ścisnął mocniej wodze i dodał:

— Nie pamiętam, skąd znam francuski. — Sam zdumiał się biegłością, z jaką przeszedł na obcy mu język. Bo był pewien, że jako dziecko mówił wyłącznie po polsku, i to był jego rodzimy język. W głowie kołatał mu się obraz mówiącego do niego po francusku mężczyzny. Ale nade wszystko był przekonany, że tajemnicza mieszkanka dworu z jego snów też mówiła po francusku.

— Dziwny człowiek — zawyrokował pułkownik tym razem po polsku i dał mu spokój. Podjechał do starszego żołnierza i coś mu cicho tłumaczył. Następnie pojechał ku bramie, a starszy dał sygnał do wyruszenia w drogę.

IV

Jedzenie w samotności i izolowanie się od ludzi nie leżało w naturze Émilie. Choć nie czuła się najlepiej, to wolała opuścić pokój i dołączyć do gospodarzy. Z beczynnego siedzenia i załamywania rąk nie wynikało kompletnie nic. Choć i działania w ostatnim czasie też niewiele dały. Modliła się, by Marie opiekowano się dobrze, ale i zastanawiała się, jak zorganizować swój ewentualny powrót do Warszawy. W ciąży nie chciała ryzykować. Pogoda, mimo że powinna już zaczynać się wiosna, nie nastrajała nawet

do spacerów, tym bardziej do wyjazdów. Po urodzeniu dziecka Émilie też nie miała szans na podróż. Musiała więc znaleźć życzliwych ludzi, którzy działaliby w jej imieniu, ewentualnie przekazali list do księcia i jego siostry. Pozostawało odwołanie się do uczuć tych dwojga, skoro inne sposoby zawiodły.

Tymczasem jej pojawienie się w izbie zajmowanej przez rodzinę zarządcy zamku, gdzie kilka dni temu przyjęto ją i jej męża, wywołało konsternację zasiadających przy obiedzie Freiwaldów. Mężczyzna poderwał się od stołu, a przestraszone kobiety rzucały co chwila niepewne spojrzenia na drzwi, jakby coś złego czaiło się za plecami Émilie. Tylko malec chowający się za plecami matki przyglądał się jej z ciekawością, zaś Anna Sawatzki patrzyła na nią wyzywająco.

— Czy coś nie tak z jedzeniem, madame? — zapytał wyraźnie przestraszony Freiwald.

— Nie. To znaczy nie jadłam jeszcze. Chciałam zapytać, czy mogę dołączyć do pana rodziny? — odparła speszona Émilie i przestąpiła z nogi na nogę. — Wolę spożywać posiłki w towarzystwie.

Freiwald rzucił znaczące spojrzenie żonie, po czym skinął na służącą, która postawiła na stole nakrycie dla niespodziewanego gościa.

— Zapraszamy. To będzie dla nas przyjemność, pani Treillard. — Gospodarz pokornie schylił głowę i poczekał, aż Émilie zajmie miejsce, a potem sam wrócił na swoje. Póki jednak kobieta nie zaczęła jeść, nikt z obecnych nie odważył się sięgnąć po jedzenie.

Émilie włożyła niewielki kęs chleba do ust, a kiedy przełknęła, uśmiechnęła się do chłopca wyglądającego zza matczynych pleców. Dziecko zachichotało, zaś matka obrzuciła je karcącym spojrzeniem.

— Ile lat ma pana syn? Mam niewiele starszą od niego córkę. Nosi imię Marie — zagaiła Émilie.

Anna Sawatzki szepnęła coś do siostry, która uśmiechnęła się nieśmiało i pokazała Francuzce dłoń z wyciągniętymi palcami.

— Piąty rok mu idzie — wyjaśnił Freiwald. — Psotny jest okrutnie. Może dlatego, że mamy tylko jego i żona bardzo mu pobłaża. — Nieco się rozluźnił. — Pani córka została we Francji i jest bezpieczna...?

— Jest w Warszawie — weszła mu w słowo Émilie. — Nie mogę się nią zajmować. A niedługo urodzę drugie dziecko. — Posmutniała.

— To nie jest dobry czas na rodzenie dzieci — rzekła filozoficznie Anna, na co Freiwald spojrzał na nią tak, jakby miał ochotę ją udusić.

— Dzieci nie wybierają sobie pory, kiedy przychodzą na świat — odparowała Émilie.

Anna milczała, bo od odpowiedzi powstrzymywał ją karcący wzrok szwagra. Francuzka rozumiała, że nadal się jej boją, chociaż nic złego im nie robiła. Była jednak przedstawicielką wrogiego narodu, więc z założenia nie należało się z nią spoufalać. Westchnęła ciężko.

— Proszę się mnie nie obawiać. Nie przyszłam tu szpiegować, nie jestem waszym wrogiem.

— To po co poszła pani do cesarza? — rzuciła zaczepnie Anna, a Freiwald aż się zakrztusił. Nawet jego żona bojaźliwie spojrzała na siostrę, która nie miała zamiaru się powstrzymać. — Tu codziennie giną ludzie. Żołnierze traktują nas gorzej od zwierząt. Cierpimy, bo stanęliśmy na drodze armii.

Émilie popatrzyła smutno na dziewczynę.

— Wiem, jak wygląda wojna, bo towarzyszę mężowi przez całą kampanię przeciw waszemu krajowi. Widziałam wiele zła, wiele krzywd i niepotrzebnego okrucieństwa. A cesarza prosiłam o pomoc w odzyskaniu córki, którą przetrzymują Polacy.

— Może i widziała pani pola walki i ginących żołnierzy, ale nie ludzi, którzy cierpią, mimo że zaprzestano działań wojennych. Nie słyszała pani płaczu gwałconych kobiet i dzieci, które straciły rodziny. Nie zabrano pani domu i nie kazano się wynosić w środku zimy na ulicę. Wojna to nie tylko chwała oręża, madame Treillard. Wojna to tragedia tych, co stanęli na drodze wojsku — perorowała dziewczyna, nie zważając kompletnie na uspokajające szepty siostry ani na szwagra, który ją upominał w ich języku, aż wreszcie zerwał się, uderzył dłonią w stół i wrzasnął. Anna co prawda umilkła, lecz wciąż wzrok miała rozogniony i widać było, jak zaciska szczęki z tłumionych emocji.

— Proszę się nie złościć na siostrę żony. — Émilie starała się mówić spokojnie. Dość miała wrogów wśród swoich. Nie potrzebowała dodatkowych pomiędzy tymi ludźmi, których jedyną winą

było to, że mieszkali na podbitych ziemiach. — Cesarz z pewnością nakazał dyscyplinę i surowo karze tych, którzy jej nie przestrzegają... — Nie dokończyła, bo przerwało jej pogardliwe parsknięcie Anny. Jednak szwagier nie dał jej dojść do głosu.

— Niestety, madame, nawet jeżeli cesarz wydał jakoweś zakazy, to żołnierze ich nie przestrzegają. Ludność cierpi. Jesteśmy narodem podbitym. — Freiwald umilkł, przerażony własną śmiałością. Patrzył w stół, jakby tam mógł znaleźć pocieszenie lub rozwiązanie trapiących go kwestii.

W ciszy, która zapadła po tych słowach, za drzwiami słychać było okrzyki żołnierzy. Émilie wstała i rzekła stanowczo:

— Chodźmy. Chcę to zobaczyć.

Freiwald popatrzył na żonę i jej siostrę, która nie potrafiła ukryć uśmiechu satysfakcji.

— Nie wiem, pani, czy to bezpieczne. Teraz w mieście nikt nie pilnuje porządku.

— Przecież są żołnierze, ktoś odpowiada za miasto i za bezpieczeństwo ludzi.

— Niewiele możemy, kiedy zagrożeniem są ci, którzy powinni dbać o spokój — odparł z wahaniem Freiwald.

— Nic nam nie grozi. Mój mąż zadbał o moje bezpieczeństwo. — Émilie nie myślała, że kiedykolwiek doceni towarzystwo tych dwóch, którzy mieli jej pilnować. — Chcę to zobaczyć, a potem przygotujemy petycję do cesarza, który być może wcale nie wie, co dzieje się pod jego nosem. Z wysokości tronu słabo widać zwyczajnych ludzi, monsieur Freiwald.

Zarządca pokiwał głową.

Jeszcze tego samego dnia Émilie i Freiwald w towarzystwie naburmuszonych żołnierzy Treillarda wyszli poza zamkowe mury. Wiosenne słońce pierwszy raz od wielu dni rozgrzewało świat i napawało optymizmem. Jednak od rozdeptanych ulic tonących w błocie były chłód i smród zgnilizny. Miasto leżało na styku wezbranej rzeki i jeziora, więc było nasączone wilgocią niczym gąbka. Émilie marzyła mimo podbitego futrem płaszcza i wełnianej sukni. Zbiry Treillarda widać też wolały wygrzewać się przy kominku, niż brnąć po kostki w błocie w poszukiwaniu nie wiadomo czego. Mężczyźni miotali pod nosem przekleństwa, kiedy który wpakował się w kałużę. Tylko Freiwald wyglądał jak natchniony. Ochoczo maszerował, a ciężarna Francuzka ledwie za nim nadążała.

— Tu wyłamali bramy do kamienicy. Zresztą prawie całe drewno, które dało się zabrać, wykorzystali albo do palenia, albo do budowy. O, tutaj postawili piekarnię. — Freiwald pokazał na pusty plac, który musiał być skwerem. Teraz stała tam sklecona naprędce buda, z komina której wydobywał się dym. — A tutaj urządzili sobie... — nie umiał znaleźć francuskiego słowa, wskazując na bogato zdobioną kamienicę — *..Alkoholausschank*. — Pokazał gestem, że to miejsce, w którym się pije, i Émilie szybko domyśliła się, że chodzi o wyszynk.

Rzeczywiście, mimo że pora była wczesna, z wnętrza wytoczyło się trzech obdartych i wyraźnie nietrzeźwych drabów. Trudno było ich nazwać żołnierzami, bo ich stroje przypominały trzymające się na słowo honoru gałgany. Wrzeszczeli po polsku, jak się domyśliła Émilie, ale wtrącali pojedyncze słowa po francusku. Za nimi wytoczył się jeszcze jeden kompan w nieco lepiej wyglądającym, ale brudnym mundurze francuskiej armii. Przeklinał soczyście w języku Émilie. Widać to on wyedukował swych towarzyszy, stanowiących jego awangardę.

Freiwald pobladł i znieruchomiał. Gdzieś ulotnił się jego zapach.

— Wy tu czego? Czego się gapicie? — wybelkotał Francuz, co skierowało uwagę pozostałych trzech obdartusów na Émilie i jej towarzyszy. Zataczając się, podeszli bliżej. Smród niemytych, przepitych ciał bił od nich z daleka. — Paniusia szuka towarzystwa? — Żołnierz chuchnął w twarz Émilie odorem, od którego zakręciło jej się w głowie. Mimo to nie cofnęła się nawet o centymetr.

Zbiry Treillarda wyszły o krok naprzód, co stało się zachętą dla pozostałych pijanych mężczyzn. Niespodziewanie w dłoni jednego błysnął nóż. Drugi podniósł kamień i ścisnął go w garści, szczerząc poczerwiałe zęby. Freiwald, ledwie przytomny ze strachu, na szczęście nie pisnął ani słowa, bo twardy pruski akcent mógł tylko rozsierdzić mężczyzn.

— Odstąpcie, żołnierzu — wymruczał jeden z towarzyszących Émilie aniołów stróżów.

— Kobotki się przed nami chowają, a wy ją macie tylko dla siebie — wysyczał żołnierz.

— Jestem żoną generała — powiedziała twardo Émilie. Nie miała zamiaru okazywać strachu,

choć serce jej łomotało, zwłaszcza że z wyszynku wytoczyło się kolejnych trzech obdartych wojaków, którzy szybko dołączyli do swoich kamratów.

— Słyszeliście? Żona generała — zachichotał obdartus, jakby usłyszał coś zabawnego, po czym znów obrócił się do kobiety. — Większość tych, cośmy je mieli, była czyimiś żonami. — Ponownie zarechotał, a reszta dołączyła do niego. Krąg wokół nich zaczął się zacieśniać.

Zbiry Treillarda rozejrzały się wokół niepewnie, a stojący z boku Freiwald jęknął. Żołdaków było przynajmniej dwa razy tyle co ich. Émilie gorączkowo starała się znaleźć wyjście z sytuacji, kiedy za jej plecami rozległ się szcęk szabli wyciąganej z pochwy, a zaraz potem silny głos, na dźwięk którego Émilie zrobiło się słabo, ale nie śmiała się odwrócić.

— Rozejść się! Rozejść się, powiedziałem!

— Coś ty za jeden? Widać życie ci niemiłe, chłoptasiu — odparł najbardziej pyskаты Francuz i ruszył ku mężczyźnie, który stanął w ich obronie. Mimo to nadal ani Émilie, ani Freiwald nie mieli szans na ucieczkę.

Kobieta obróciła się wreszcie i spojrzała w oczy Antoniego. Serce podskoczyło jej z radości. Był wymizerowany, na twarzy nosił blizny po spotkaniu z Charles'em, lecz był cały. Przynajmniej póki kolejny raz nie wda się przez jej głupotę w kabałę, która może skończyć się dla niego w najlepszym razie poważnym pobiciem. Draby Treillarda wymieniły się porozumiewawczymi spojrzeniami. Widać poznali Antoniego, ale on najmniejszym gestem nie zdradził, że wie, kim są.

— Jestem żołnierzem cesarza Napoleona, tak samo jak i wy. Słyszeliście, że to żona generała. Chcecie zawisnąć? — Najwidoczniej Podolski zdawał sobie sprawę, że w otwartej walce nie mają szans, więc postanowił przemówić do resztek zdrowego rozsądku w tych zapitych łbach. Zrobił przy tym kilka kroków do przodu i znalazł się tuż przy Émilie. — Wszystko w porządku, pani?

— Nic mi nie jest — odparła ze ściśniętym gardłem. Dławiły ją emocje, a nie strach, jak należałoby się spodziewać. Ukochany stał obok i patrzył na nią, ale coś było nie tak. Coś subtelnego, czego nie potrafiła dostrzec.

Tymczasem Antoni, zanim stanął z uniesioną szablą pomiędzy nią a rozkrzyczanymi żołnierzami, szepnął ledwie zauważalnie do jej ucha:

— Na mój znak uciekaj.

Skinęła, choć nie miała pojęcia, jak zdoła uciec przed tymi ludźmi.

— Rozejdźcie się, towarzysze. Każdemu stawiam dziś gorzałkę... — Nie dane mu jednak było skończyć, bo z tłumu odezwał się jakiś przepity głos:

— Gorzałki mamy dość, a kobitek tu niewiele zostało!

Kompani zawtórowali mu chóralnymi przekleństwami.

— W takim razie nie mam wyjścia. Rozplątam łeb każdemu, kto dotknie tej kobiety — krzyknął Antoni i ruszył na pijanych mężczyzn, a wraz z nim zbiry Treillarda, którzy wydawali dzikie okrzyki. To wystraszyło pijanych żołnierzy bardziej niż szable.

— Teraz! — rzucił Antoni. Chwytał Émilie za rękę i pociągnął za sobą, aż zaplątały jej się nogi, więc musiał ją podtrzymać. Ona, nie oglądając się za siebie, biegła do zamku tak szybko, jak pozwalał jej na to gruby płaszcz.

— Tędy! — krzyknął Freiwald i skierował ich ku jakiejś bramie. Francuzka musiała mu zaufać. Znał to miasto jak własną kieszeń.

Kiedy skręcali w zaułek, odruchowo zerknęła na walczących mężczyzn. Osiłki Treillarda dzielnie broniły się przed nacierającymi żołnierzami, z których dwóch padło. Na korzyść jej aniołów stróżów działało to, że większość atakujących była zbyt pijana, by utrzymać się na nogach. Mimo to kilku ruszyło za nimi w pogoń, dlatego przy bramie Antoni popchnął Émilie za Freiwaldem, a sam próbował zatrzymać pościg.

Kiedy dotarła zdyszana do bram zamkowych, w głowie jej się kręciło tak bardzo, że zwymiotowała i gdyby nie zarządca, upadłaby na kolana w błoto. Mężczyzna pomógł jej dotrzeć na trzęsących się nogach do jej pokoju, gdzie padła na łóżko i głośno się rozpląkała.

Bóg okazał się przychylny Śniegockiemu i wysłuchał jego żarliwych modlitw wznoszonych w intencji wyzdrowienia Krysi. Dziewczyna wstała z łóżka wraz z pierwszymi ciepłszymi promieniami słońca rozgrzewającymi tonące w błocie Podolany. Wciąż słaba i blada, zrobiła ledwie kilka kroków, ale, jak donosiła Hania, dziewczyna pomagająca we dworze, od kilku dni panienka nie gorączkowała i nawet wrócił jej apetyt. Swoją drogą Michał niemało się musiał nakręcić, żeby pozbyć się namolnej dziewczuchy, która chętnie przekazywała mu informacje o chorej, ale niebezinteresownie. Wietrzyła w tym swoją szansę na zaciągnięcie go do stodoły czy gdziekolwiek, gdzie mogliby... Śniegocki warknął pod nosem na samo wspomnienie kobiecych krągłości, jednocześnie rozpaczliwie potrząsając głową i usiłując wypędzić z niej wszelkie bałamutne myśli.

Nikt nie mówił, że wytrwanie w czystości będzie łatwe. Bo i cóż to za wyczyn nie pożądać kobiecych wdzięków, kiedy brak ich pod bokiem. Sztuką było nie skorzystać z tego, co mu Bóg podsuwał pod nos, by poddać próbie stałość przysięgającego. A Michał pod nosem miał właśnie obleczone jedynie w koszulę dorodne piersi Hani, która poczerwieniała ze złości, gdy odepchnął ją gwałtownie i wyszedł ze składziku, gdzie go zaciągnęła.

— ...i nie wódz nas na pokuszenie, i nie wódz nas na pokuszenie. Ta baba ani chybi jest na usługach szatana. A kysz, siło nieczyste — psioczył pod nosem Michał, brnąc przez rozmiękle podwórze. Nagle wyhamował, bo w oddali dostrzegł jeźdźca. — Kogóż licho niesie?

Śniegocki wpatrywał się w zbliżającego się konnego żołnierza, którego rozpoznał po porządnym francuskim mundurze. Michał pomyślał z żalem, że o kurierów Francuzi dbali jednak bardziej niż o takich jak oni frontowych wojaków, którzy często sami musieli zatroszczyć się o swoje umundurowanie i wyżywienie. Tymczasem jeździec osadził konia przed Śniegockim.

— Kto tu dowodzi? Mam rozkazy — wysapał zdyszany żołnierz.

— Masz szczęście, człeku. Dowódca stoi przed tobą — odparł Michał, choć tak naprawdę oddziałem dowodził Antoni, który nie dawał znaku życia od dwóch miesięcy, co zaczynało martwić Śniegockiego, nie mówiąc już o rodzinie Podolskich.

Będący kurierem gołowąs zeskoczył z konia. Michał zawołał ze stajni chłopaka, który zabrał wierzchowca, a sam zaprowadził gościa do dworu. Kazał go nakarmić, zanim wyruszy w dalszą drogę. Odebrał rozkazy i zaszył się z nimi w pokoju, który zajmował sam od czasu wyjazdu Antoniego. Spodziewał się rozkazów o wymarszu, ale na to, co przeczytał, nie był przygotowany. Usiadł na brzegu kozetki, na której sypiał, i pokręcił głową z niedowierzaniem.

— W co żeś ty się znowu wpakował? Antoni Podolski, dezertor, zdrajca i szpieg — odczytał tym razem głośno, mając nadzieję, że czegoś nie zrozumiał. Rozkaz jednak wydany był przez samego cesarza, a przynajmniej tak stało w piśmie, które Michał trzymał w dłoniach. Nakazywano bezwzględne ściganie zbiega i oddanie go żywego lub martwego w ręce sprawiedliwości.

— Do kroćset! — Śniegocki w desperacji poczochrał włosy.

Nie miał wyjścia. Musiał opuścić Podolany i znaleźć Antoniego, zanim zrobi to ktoś inny, kto nie będzie mu tak życzliwy. Ktoś, kto nie spyta, skąd taki obrót spraw, tylko użyje szabli. Wciąż nie nadchodziły rozkazy o przemieszczeniu się w okolice, gdzie istniała możliwość starcia z wrogiem. Widać Rosjanie, a wraz z nimi niedobitki pruskie, wciąż lizali rany po ostatnich potyczkach, co dawało Michałowi czas na jakiegokolwiek działania. Nie miał go jednak zbyt wiele. Z wiosną na pewno ruszy ofensywa francuska wzmocniona o polskie, coraz liczniej powstające oddziały.

Zerwał się z kozetki i popędził do Wincentego Podolskiego, ojca Antoniego.

Szlachcic w codziennym żupanie i futrzanym serdaku siedział w paradnej izbie, gdzie przyjmowano zazwyczaj gości, i grzał się przy płonącym wesoło kominku. Podkręcał w zamyśleniu przedwcześnie posiwiatego wąsa i kiwał głową. Tymczasem Ignacy, jego stary sługa, czytał mu doniesienia dotyczące polityki, działań wojennych i spodziewanych planów Napoleona.

— Cóż tam, drogi Śniegocki, się stało? Kurier chyba jakowys zajechał, hę? — zagadnął Podolski, uciszając klepieniem w ramię Ignacego gapiącego się z bliska w papier w takim skupieniu, że nie zauważył nadejścia Michała.

— Nie wiem, jak to zakomunikować waszmości. — Śniegocki przestąpił z nogi na nogę, mnąc w garści rozkaz.

— *Ad rem*⁷, prosto z mostu, chłopcze — odrzekł z uśmiechem niczego nieświadomy szlachcic.

Mina mu jednak zrzędnęła, kiedy żołnierz wyłuszczył, z czym przychodzi i jakie mogą być konsekwencje schwytania Antoniego. Zasepił się, zaś jego dobrotliwe oblicze przeorały głębokie bruzdy.

— Święci pańscy — wymamrotał Ignacy.

Wszyscy trzej podskoczyli jak rażeni piorunem, kiedy za ich plecami rozległ się brzęk kluczy upadających na deski podłogi.

— To przez tę kobietę — wycedziła przez zęby pobladła Marianna Podolska, stanąwszy na środku pomieszczenia.

Skupieni na rozmowie, nie zwrócili uwagi, kiedy weszła, tym bardziej że Michał zapomniał zamknąć drzwi, za co przeklął się w duchu. Nie przepadał za tą sztywną kobietą, która prędzej przypominała mu generała niż matkę i panią domu. Tylko synuś umiał roztopić ją jak miód w garnuszku.

— Tego nie wiesz, Marianno. — Podolski podszedł do żony.

— Musisz coś zrobić. Ratować naszego syna. Wincenty! — Marianna zdawała się nie dostrzegać Ignacego ani Michała. Wbiła rozcapierzone palce w ramiona męża. W oczach miała strach pomieszany z desperacją.

— Znajdę go. — Śniegocki zrobił krok naprzód, jakby występował z szeregu. — Nie mam wyjścia. Jeszcze dziś ruszę do Warszawy. Nie trzymają mnie tu żadne rozkazy.

— Wincenty, on sam nic nie zdoła... — zaczęła Podolska, ale mąż uciszył ją gestem.

— Jesteś tego pewien, młody człowieku? Czy wiesz, co grozi za pomoc dezterom i zdrajcom?

— Wiem, ale sam nie wzbudzę podejrzeń. Wolę nikomu nie ufać. Rozpytam w znanych nam kręgach. Bo coś się musiało wydarzyć w Warszawie. Antoni wie, że wracając tu, wydałby wyrok na rodzinę. Pewnie dlatego nie daje znaku życia.

— Powiadam wam, że to ta kobieta... — wtrąciła się Marianna, ale Wincenty zgromił ją wzrokiem, więc umilkła i zacisnęła usta tak mocno, że aż zbieleły.

— Będziem, młodzieńcze, twoimi dłużnikami, jeśli go znajdziesz i bezpiecznie przyprowadzisz do domu. — Podolski odsunął żonę i podszedł do Michała. Położył mu duże dłonie na ramionach.

W głowie Śniegockiego błysnął szalony koncept. Nie pierwszy zresztą tego dnia, bo ruszenie na pomoc Antoniemu mogło okazać się wyczynem nie tyle karkołomnym, ile groźącym w najlepszym wypadku więzieniem. O śmierci Michał wolał nie myśleć, bo ostatnio jego myśli prowokowały coraz gorsze zdarzenia.

— Jeśli mi się uda, jeśli znajdę Antoniego, będzie sposobność na spłacenie długu wdzięczności — rzucił z błyskiem w oku.

— Czegokolwiek zażadasz — odrzekł pewnie Podolski, wciąż trzymając dłonie na ramionach chłopaka.

— Pragnę pojąć panienkę Krysę za żonę — wypalił bez ostrzeżenia.

Podolska przycisnęła dłonie do ust i jęknęła, zaś ojciec Antoniego oderwał dłonie od ramion Michała i przyjrzał mu się uważnie.

— Panienska Krysia jest młoda jeszcze i niestała może w uczuciu, ale wiem, że jest mi przychylną, a ja poczekam, aż będzie gotowa na małżeństwo. — Śniegocki mówił szybko, żeby nikt mu nie przerwał, a Podolski wciąż tylko milczał i patrzył. — Tyle, ile będzie trzeba, poczekam. Ale muszę mieć słowo waszmości, że oddacie mi córkę, kiedy wykonam misję. Chyba że panna Krysia zmieni zdanie i mnie nie będzie chciała, to wtedy odstąpię od odebrania długu.

— Waść chcesz, bym jedno dziecko poświęcił dla drugiego — powiedział wreszcie z przyganą w głosie Podolski.

— Odbiorę dług tylko wtedy, jeśli mnie panna Krysia zechce — powtórzył Michał, nie ustępując twardemu spojrzeniu przyszłego teścia. — Możem niebogaty, ale z domu dobrego, szlacheckiego. — Uniósł dumnie podbródek. — Dotąd Pan Bóg był dla mnie łaskawy. Zdobyłem patenty oficerskie, a jak Najwyższy pozwoli, to odbuduję moje włości i wrócę do gospodarowania.

— Albo zginiesz — wysyczała Podolska.

— Dość, pani żono! — Mąż warknął na nią, więc powściągnęła język, choć w jej oczach tliła się pogarda.

Śniegocki miał powyżej uszu tej kobiety. Potencjalnemu wybawcy ukochanego syna życzyła śmierci, zanim ten wyruszył w drogę. Kto wie, czy kłątwa tej wiedźmy nie będzie go ścigać, aż w końcu dopadnie. Na wszelki wypadek postanowił iść przed wyjazdem do miejscowego księdza, co by nad nim odprawił jakoweś egzorcyzmy albo chociaż poświęcił.

— Dobrze więc — zakończył rozmowę Podolski i wyciągnął prawicę do Śniegockiego, który ją skwapliwie uściskał, jakby w obawie, że szlachcic się rozmyśli. — Waszmość znajdzie i przyprowadzi bezpiecznie do dworu Antoniego, a wtedy oddamy córkę.

— Tylko jeśli ona nadal będzie sobie tego życzyć — dokończył Michał, bo siłą brać żony nie miał zamiaru.

Opuszczał pomieszczenie, w którym zostali Podolscy, ze spokojem w duszy. Dziwne to było uczucie, bo zawsze coś go gnało i podszczypywało w zadek. Usiedzieć w miejscu nie mógł. Za drzwiami po jego wyjściu rozgorzała najwidoczniej dyskusja pomiędzy małżonkami, bo Ignacy czmychnął jak wystraszona mysz, a podniesione głosy Podolskich niosły się po sieni.

Michał wreszcie miał jasno wytyczony cel. I nie było nim wcale odnalezienie Antoniego. To stanowiło jedynie kolejny szczebel w drodze do szczęścia. Uśmiechnął się do siebie, bo pomyślał, że jest jak ten biblijny Jakub, co śni o drabinie sięgającej nieba. Jego niebo było przy aniele stąpającym po ziemi, przy Krysi, która stała się dla niego uosobieniem ideału kobiety. Śliczna, niewinna, delikatna i potrzebująca opiekuńczego ramienia, jego ramienia.

Teraz jednak musiał się skupić i odłożyć sny na bok. Cieszył się na to, że ruszy w drogę, bo przestanie mu się ta cała Hania ocierać prawie gołymi piersiami o nos. Jeszcze parę dni, a musiałby chodzić okrakiem. Dzięki wyjazdowi mógł zająć myśli czymś innym niż walka z pokusami, którym, tego był pewien, w końcu ulegnie. Bo przecie świętym nie był, a grzeszyć jest rzeczą ludzką. Dotąd tylko strach, że złamanie przysięgi skończy się nawrotem choroby u Krysi, trzymał go w ryzach cnoty.

Śniegocki westchnął głęboko i postanowił przed wyjazdem zobaczyć się z Krysią i upewnić się co do jej uczuć. Bo jeśli coś jej się odmieniło, to nie miał tu po co wracać, a i śluby czystości byłyby daremne. Wcześniej nie marnotrawił żadnej okazji, by się rozerwać, więc doświadczenie nakazywało mu ustalić, gdzie się wyląduje, zanim się skoczy.

ROZDZIAŁ IV

I

Kiedy zawroty głowy minęły i Émilie doszła do siebie po szoku, jakim okazała się ucieczka przed pijanymi żołnierzami, ale przede wszystkim niespodziewane spotkanie z Antonim, postanowiła działać. Wezwała do siebie Freiwalda.

— Ma pan rację. To miasto nie jest bezpieczne dla nikogo, a zwłaszcza dla najsłabszych. — Energia rozpieszczała Émilie, ale wolała nie wstawać z krzesła. Nogi jeszcze jej dygotały, a żołądek co jakiś czas zaciskał się w supeł. — Napiszemy petycję do cesarza. To znaczy wy napiszecie. Nie! Ja napiszę, ale w waszym imieniu. Wręczycie ją jego cesarskiej wysokości. Jestem przekonana, że to skłoni cesarza do zaprowadzenia porządku w mieście.

— Nie wiem, czy to cokolwiek pomoże. Cesarz nie ma wpływu na takich jak ci, którzy nas ścigali, pani Treillard. — Freiwald nie wyglądał na przekonanego. — Poza tym jesteśmy narodem podbitym, a pokonanych nikt nie słucha. Ich się w najlepszym razie wykorzystuje — dodał ze smutkiem.

— Może was nie posłucha... — powiedziała z namysłem Émilie — ...ale niewinnemu dziecku nie odmówi.

Kiedy Freiwald zorientował się, o co chodzi kobiecie, na jego twarzy odmalowało się przerażenie.

— Nie, nie mogę narażać jedyne go syna. Jego matka...

— Przecież dziecku nic się nie stanie. Żeby chłopiec się nie bał, pójdzie z nim panna Sawatzki. Ja też do nich dołączę. — Émilie była przekonana, że takie poselstwo musi zrobić właściwe wrażenie na cesarzu. Kobiety i dziecko. Wystarczyło tylko napisać petycję.

Kiedy Freiwald wyszedł, żeby przynieść coś do pisania, przyłożyła chłodne dłonie do rozpalonych policzków. Antoni był cały i zdrowy. Znajdzie ją. To kwestia czasu. Widział, że uciekała do zamku, więc bez trudu trafi tu za nią. Musiał przecież być ostrożny, bo Charles oskarżył go o zdradę. Mimo to Antoni najwidoczniej jej szukał i ryzykował dla niej życie.

Nagły skurcz w dole brzucha odebrał jej oddech. Odczekała chwilę, ale nie przyszedł po nią kolejny. Uznała, że to z emocji. Pogłaskała wypukłość pod suknią. Do porodu zostało według jej wyliczeń jeszcze przynajmniej pięć miesięcy. Powinna przez ten czas bardziej na siebie uważać, żeby donosić dziecko. Żyła, póki ono żyło. Doskonale o tym wiedziała, jednak nie potrafiła uspokoić ani rozkołatanego serca, ani rozbieganych myśli, w których główną rolę odgrywał Antoni.

Jeszcze tego samego dnia z zarządcą przygotowali petycję. Podpisali się pod nią najznamienitsi mieszkańcy miasta, przyjmując entuzjastycznie pomysł zwrócenia się do cesarza o protektorat dla cywilnych mieszkańców. Niestety, gorzej było z tym, kto ma dostarczyć owo pismo do cesarskich rąk. Każdy chciał znaleźć się przed obliczem Napoleona. Jednym powodowała ciekawość, innymi zapewne chęć ugrania czegoś dla siebie. Wizja dziecka i kobiet w roli posłańców spotkała się ze stanowczym sprzeciwem. Freiwald jednak uciał wszelkie spory. I tak dwa dni później bojowo nastawiona Anna Sawatzki, rozstrojona brakiem wiadomości od Antoniego Émilie oraz mały Eduard Freiwald, odprowadzony pod drzwi cesarskiego gabinetu przez obydwój rodziców, stanęli przed kamerdynerem strzegącym spokoju i prywatności Napoleona.

— Nikt nie może bezkarnie zakłócać wypoczynku jego cesarskiej mości — nadymał się Constant i twardo zastawiał swoim zaokrąglonym ciałem drzwi do komnat cesarskich. O ile można było tak nazwać to zajmowane przez Napoleona północne i ponure pomieszczenie z ledwością ogrzewane przez potężny kominek.

— Jesteśmy tu z oficjalnym pismem, a nie w celach towarzyskich, szanowny panie. — Émilie, ubrana w najlepszą suknię z niewielkim dekoltem obramowanym jasną lamówką, dumnie wyszła naprzód.

Anna Sawatzki, wystrojona w błękitną, bardzo dziewczęcą suknię, zdawała się delikatna jak egzotyczny motyl, jednak to było złudne wrażenie. W jej oczach odbijała się zawziętość i siła.

— Przychodzimy tu w imieniu uciskanych mieszkańców miasta — rzuciła z hardą miną. —

Proszę zejść nam z drogi lub zaanonsować nasze przybycie.

— A kimżeż wy jesteście, że ośmielacie się pchać przed cesarskie oblicze? — parsknął z pogardą kamerdyner, na co strażnicy strzegący drzwi zerknęli na siebie z kpiącymi uśmieszkami.

— Dobrze pan wie, panie Constant, kim jestem i dlaczego tu przybyłam. Już raz przekonał się pan, że nie warto stawać mi na drodze... — zaczęła Émilie, ale kamerdyner nie dał jej dokończyć.

— Udało się pani dzięki temu malcowi. — Wskazał podbródkiem na wystraszonego Eduarda. — Proszę się z całą tą gromadą stąd oddalić. Inaczej wezwę żołnierzy, żeby usunęli wszystkich siłą. Drugi raz nie wyjdzie wam ta sztuka z odwróceniem mojej uwagi.

Émilie poczuła na przedramieniu dłoń Freiwalda. Kątem oka dostrzegła rezygnację na jego obliczu i to dodało jej sił.

— Nie ruszę się stąd, póki nie porozmawiam z cesarzem. Jestem taką samą obywatelką Francji jak pan. — Zrobiła kolejny krok w stronę kamerdynera. — Proszę nas zaanonsować. W tej chwili! — Podniosła głos z nadzieją, że wywoła właściwy efekt.

Strażnicy drgnęli niespokojnie, ale nie otrzymawszy żadnego sygnału, nie ruszyli się ze swoich miejsc. Za to drzwi za ich plecami się otworzyły i stanął w nich Napoleon. Émilie odetchnęła z ulgą i wykonała głęboki ukłon. W ślad za nią to samo zrobili pozostali członkowie delegacji z wyjątkiem Eduarda, który schował się za spódnicą Anny.

— Co tu się, u licha, wyrabia...? — zaczął cesarz, lecz nie dokończył, bo jego wzrok padł na zgromadzonych na krążanku ludzi.

— Wasza cesarska wysokość. Ci ludzie... — pospieszył z wyjaśnieniami kamerdyner, ale monarcha uciszył go gestem, więc sługa tylko skłonił się i umilkł.

— To znowu pani. Tak... — Napoleon założył dłoń za poły munduru.

Émilie wyprostowała się i nabrała powietrza.

— Wasza cesarska wysokość, nie przychodzę tu we własnej sprawie, ale z petycją od mieszkańców Osterode, którzy są dziś ze mną. — Ponagliła gestem Annę, a ta wypchnęła przed siebie małego Eduarda.

Imperator zmarszczył czoło i przyjrzał się popatrującemu na niego z zaciekawieniem chłopcu. Émilie zdała sobie sprawę, że cała ta scena jest szalenie wymowna. Oto niewinny, zupełnie nieświadomy zagrożenia pięciolatek trzyma w dłoni losy całego miasta. W jego wzroku nie ma krzty pokory, jedynie ciekawość z odrobiną przestachu. Natomiast górujący nad nim cesarz może kazać bez mrugnięcia okiem zgładzić i to dziecko, i całe miasto wraz z jego mieszkańcami. Ale może też w swej nieograniczonej władzy udzielić łaski i uratować tych, którzy cierpią bez potrzeby.

— Constant, czy to nie tego młodego mężczyznę oblał zupa Rustan? — Napoleon nie spojrzał na kamerdynera. Jego wzrok wciąż był skupiony na malcu, który teraz szeroko się uśmiechał, widocznie ośmielony zainteresowaniem stojącego przed nim cesarza.

— Tak sędzę, wasza cesarska wysokość.

— Tak. Czy wszystko z nim w porządku? — Cesarz wzrokiem niejako wywołał do odpowiedzi Freiwalda. Ten z emocji poczerwieniał, ale skłoniwszy głowę, odpowiedział:

— Nic mu się nie stało, wasza cesarska wysokość.

— Doskonale. Tak. — Napoleon wyciągnął dłoń zza poły munduru i poczochnął kędzierzawe włosy chłopca dość sztywnym, jakby wyreżyserowanym gestem.

Zniecierpliwiona Anna trąciła malca, więc ten wyciągnął przed siebie petycję. Napoleon zmierzył ją swoim badawczym spojrzeniem, zaś Émilie z satysfakcją stwierdziła, że wreszcie komuś udało się tę pyską dziewczynę zawstydzić i zmusić do opuszczenia wzroku na buty.

— Więc to ta petycja. Tak — stwierdził cesarz, biorąc do rąk pismo. Machnął nim kilka razy, zanim niespokojna ręka wylądowała znowu za poły munduru razem z dokumentem.

Tymczasem mały Freiwald, wypełniwszy swą misję, obrócił się na pięcie i ukrył za matczyną spódnicą, co cesarz skwitował skrzywieniem warg mogącym uchodzić za uśmiech, który jednak nie sięgnął oczu. Ponieważ zapadło pełne oczekiwania i nadziei milczenie, monarcha zreflektował się i rozłożył papier, a następnie przebiegł po nim wzrokiem. Émilie nie była przekonana, czy zdążył dokładnie wszystko odczytać.

— Więc ludność cierpi pod jarzmem francuskim — zacytował fragment listu, który na powrót złożył. — Taka cena bycia podbitym narodem. Tak.

— Wasza cesarska wysokość, jeśli mi wolno, chciałabym wyjaśnić, że sama stałam się ofiarą napaści rozwydrzonych żołnierzy, kiedy tylko znalazłam się za murami zamku. — Émilie postanowiła ratować misję, której podjęli się z Freiwaldem, bo była przekonana, że Napoleon miał zamiar ją zlekceważyć. — Nikt nie zważa na narodowość, jeśli czuje się bezkarny. Z całym szacunkiem, wasza cesarska wysokość, ale nie sądzę, by i wasza cesarska wysokość mógł się czuć bezpieczny poza murami zamku. Nikt nie pilnuje porządku, nikt nie gani pijaństwa i bezeceństw, a w tych warunkach łatwo o rozpasanie. Trudno na powrót będzie wdrożyć w karby tych nieszczęśników przekonanych o nieograniczonej wolności wypływającej wyłącznie z przewagi, jaką daje broń. Jeszcze trudniej oczekiwać przychylności podbitego narodu, a przecież jest możliwa, jeśli się okaże odrobinę zrozumienia dla niełatwej sytuacji, w której się znalazł.

— Zrozumienie. Tak... — Napoleon zamyślił się, a jego wzrok uciekł gdzieś poza zamkowe mury. — Na wojnie, droga pani Treillard, nie ma miejsca na zrozumienie. Każde ustępstwo to jak opuszczenie gardy, zaś zrozumienie może być wzięte za słabość.

— Błagamy o litość — odezwał się Freiwald.

— Żyjecie. Tak — odparł lakonicznie cesarz, co Prusak przyjął ze zboląłą miną.

— Panie, miłosierdzie okazane podbitym może zaowocować wdzięcznością... — Émilie nie poddawała się.

Monarcha się zaśmiał.

— Widziałas pani kiedy naród pokonany, który byłby wdzięczny zwycięzcy?

— Polacy są takim narodem, wasza cesarska wysokość — zripostowała Émilie.

— No tak. Ale oni zaprzedałyby duszę diabłu, a nie tylko mnie, byle znowu mieć państwo. Tak?

— Ci ludzie, wasza cesarska wysokość, pragną tylko żyć w spokoju. Bez strachu wychodzić na ulice swego miasta.

— Za bardzo, pani, żałujesz tych, którzy trafili w żarna historii. One muszą miażdżyć, żeby powstało coś wartościowego.

Émilie zerknęła na rodzinę Freiwalda. Zarządca nie wszystko chyba rozumiał. Mrugał szybko, jakby usiłował powstrzymać łzy. Nawet pyskata Anna milczała.

— Żal tu nie ma nic do rzeczy, wasza cesarska wysokość. Bywa, że żarna historii, o których wasza cesarska wysokość mówisz, ścierają na pył i tych, co je puścili w ruch. Warto o tym pamiętać, bo wtedy plewy mogą uratować życie.

Napoleon rozumiał przytyk Émilie do rewolucji, bez której nie byłby tym, kim się stał, a która w końcu pochłonęła swych przywódców. Pokiwał ze zrozumieniem głową.

— Dobrze więc. Każę się tym zająć. — Ręka cesarza drgała nerwowo, jakby żyła własnym życiem i postanowiła wyskoczyć zza poły munduru, gdzie tkwiła razem z listem. — Tak. Wydam stosowne rozporządzenia.

— Dziękujemy, wasza cesarska miłość. — Anna odzyskała rezon i niemal rzuciła się monarsze do nóg, lecz kamerdyner w porę ją powstrzymał, a sam Napoleon wycofał się bliżej drzwi.

— Constant, co z tym obiadem? — Cesarz skrył się tymczasem do swego pokoju, jakby nie było tej całej rozmowy, jakby właśnie nie decydował o losach miasta.

Émilie pomyślała, że to obojętność jest przywilejem władców, a nie łaska udzielana stojącym niżej w hierarchii.

— Dziękuję — szepnęła niespodziewanie Anna, chwyciwszy Émilie za rękę, kiedy wracali kruzgankiem do swoich pokoi. Minęła Francuzkę i zbiegła schodami na dziedziniec. Potem zniknęła w pomieszczeniach na parterze.

II

Promienie wiosennego słońca pieściły ciepłymi palcami twarz Émilie przebranej w męskie ubranie i stojącej przy drewnianych schodach wiodących na piętro zamkowych zabudowań. Od dawna nie nosiła męskiego stroju, który teraz opinał ją zanadto. Suknie przyjemnie otulały coraz bardziej krągły

brzuch, więc teraz machinalnie poprawiała szubę maskującą wypukłość. W oczekiwaniu na Freiwalda musiała wyjść choć na moment z ponurego pokoju, bo miała wrażenie, że jeszcze chwila spędzona w mrokach ceglanych murów, a spali się na popiół. Od wewnątrz ciała biło gorąco, zaś brzuch ciążył nieprzyjemnie, jakby zamiast dziecka tkwiły w nim kamienie.

Antoni nie dawał znaku życia od czterech dni i bywały chwile, gdy myślała, że uroiła sobie to spotkanie. Aż spytała Freiwalda przy obiedzie, czy widział żołnierza, który im wtedy pomógł.

— Był tam. Ciemnowłosy, młody, wyglądający na szlachetnie urodzonego — potwierdził zarządca, co ją odrobinę uspokoiło.

— Miał zielony mundur, prawda? W jakim oddziale mógł służyć? — zastanawiała się na głos, nieświadoma, że Anna Sawatzki przygląda się jej w skupieniu.

— Jego odzienie wyglądało na nieznoszone, więc na pewno w nim nie walczył. Brak plam z krwi, błota... Musiał się dopiero zaciągnąć, choć z drugiej strony miał bliznę — rozważał Freiwald.

Émilie chwyciła mężczyznę za ramię, tknięta złym przeczuciem.

— Jak pan sądzi? Czy oni wtedy nic mu nie zrobili? A może leży gdzie w bramie? Może go poturbowali? Przecież był sam, a ich tylu...

— Niece, pani — odparł z wahaniem Freiwald. — To była banda opojów. Przemarznięci, pijani i schorowani. Zdecydowanie nie władali bronią tak dobrze jak on. — Przyjrzał się uważnie nerwowo szarpiącej mankiet sukni Émilie. — Czy pani go zna może?

— Nie! — Potrząsnęła szybko głową, ale zarządca wciąż patrzył na nią podejrzliwie, więc opuściła ramiona zrezygnowana i wyjaśniła: — Znałam go kiedyś. To Polak. Bardzo mi pomógł. Teraz też nas uratował. Chciałabym mu podziękować. Gdyby nie on...

— Dowiem się, z jakiej mógł być formacji, może uda się go znaleźć. Jak brzmi jego nazwisko, pani?

Émilie już chciała odpowiedzieć, że Podolski, ale przecież Antoni był zdrajcą, więc musiał się ukrywać i zmienić nazwisko, skoro zmienił mundur. Bo ten, który nosił, był mundurem szeregowca, a nie oficera, i miał zupełnie inne barwy. Antoni przyjechał tu, prosto w paszczę lwa, dla niej. Ryzykował, a jednak teraz jej nie szukał. Émilie miała niedobre przeczucia. Podolski potrzebował jej pomocy. Na początek jednak musiała go odnaleźć.

— Nie znam jego nazwiska.

Anna parsknęła cicho, lecz nic nie powiedziała. Jej stosunek do Émilie zmienił się nieco po tym, jak Francuzka zażarcie broniła mieszkańców Osterode, jednak wciąż była wobec niej podejrzliwa i zachowywała rezerwę. O serdeczności nie było mowy.

Kiedy dziś Freiwald oznajmił, że Polak, którego poszukiwali, należy do polskiego pułku *chasseurs à cheval*⁸, Émilie postanowiła go odnaleźć. Musiała opuścić bezpieczne zamkowe mury, mimo że czuła się coraz gorzej. Nogi jej puchły, ciało bolało i najchętniej położyłaby się i spała. Antoni nie mógł przyjść do niej, więc miała zamiar udać się do niego. Uprosiła Freiwalda o męskie ubranie. Czekwała tylko, aż zarządca da sygnał, że mogą opuścić zamek. Powinni byli ominąć osiłeków Charles'a, ale Freiwald upierał się, żeby na wszelki wypadek mężczyźni im towarzyszyli, trzymając się z tyłu. Posiadanie koni ułatwiłoby sprawę, jednak te zamkowe skonfiskowano już dawno, a Treillard nie zostawił małżonce wierzchowca, choćby z obawy przed jej ucieczką. Dlatego musieli wymknąć się pieszo.

Wreszcie nadszedł wyczekiwany długo moment i kiedy słońce tak szczerze obdarowujące ciepłem świat zaczęło się wycofywać za horyzont, Freiwald dał sygnał, że mogą ruszać. W szarościach zmierzchu łatwiej było udawać mężczyznę. Wystarczyło naciągnąć na głowę wymiętoszoną czapkę, pod którą Émilie upchnęła włosy.

— Straż się zmienia, i to najlepszy moment. Nikt nie zatrzymuje wychodzących, a nam towarzyszy tych dwóch — szepnął Freiwald i skinął na aniołów stróżów człapiących za nimi, kiedy przemierzali boczne uliczki miasteczka, oglądając się za siebie z bojaźnią, bo przecież nigdy nie było wiadomo, czy gdzieś nie natkną się na pijanych żołnierzy. Na placach i skwerach płonęły ogniska, przy których koczowali rozochoceni kiepskim alkoholem wojacy. Ich śmiechy niesły się wysoko w szarzące niebo, budząc trwogę w sercach mieszkańców. Ostatecznie nikt nie był pewien, czy pijanym nie

przyjdzie do głowy wdrzeć się do spokojnych mieszkań i wywlec stamtąd ku rozrywce Bogu ducha winnych ludzi.

— Proszę tu zaczekać — wyszeptał zarządca, gdy zatrzymali się na obrzeżach miasta, pomiędzy drewnianymi barakami.

Émilie oparła się o ścianę budynku, w cieniu którego się kryli. Oddychała ciężko, a pot perlił się na jej czole. Jeszcze ciągle miała nadzieję, że to tylko szybki marsz i ekscytacja spowodowana rychłym spotkaniem z Antonim wywołują te dziwne objawy.

— Czy wszystko w porządku, pani Treillard? — zaniepokoił się Freiwald. Był przeciwny wyprowadzeniu jej za mury zamkowe, ale w końcu uległ namowom, kiedy w tajemnicy wyznała mu, że Antoniemu może grozić śmierć.

— Tak, jestem odrobinę zmęczona. Dawno tyle nie chodziłam — wyszeptała z przymkniętymi powiekami. W głowie jej huczało i czarne pląty wirowały przed oczami, ale nie mogła się teraz poddać. — Odpocznę chwilę i wszystko będzie dobrze.

Nie do końca uspokojony Freiwald kazał jej wołać, gdyby gorzej się poczuła, po czym zniknął za rogiem budynku.

Émilie zamknęła oczy i myślała intensywnie o Antonim. Przypominała sobie jego kochaną twarz, jego uśmiech i spojrzenia, od których robiło jej się gorąco. Ciało miała ciężkie, jakby opadała niżej i niżej, a od pasa w dół zaczynała zamieniać się w ołów. Zanim osunęła się po ścianie budynku, objęły ją silne ramiona.

— Mówiłem jej, że nie powinna się ruszać z zamku, ale twierdziła, że dobrze się czuje. — Głos Freiwalda płynął gdzieś zza ściany, ale koił. Przecież znała go, przy nim mogła się czuć bezpieczna.

— Jasny diabeł, niech pani nie mdleje. — Na dźwięk drugiego głosu próbowała unieść powieki, jednak ciało przestało jej słuchać. Obrazy w głowie wirowały, a z nimi cały świat. Otulała ją coraz szczelniej gęsta mgła, która wdzierала się do płuc i nie pozwalała mówić. Jeszcze walczyła, jeszcze chciała go zobaczyć choć przez chwilę, ale potem wszystko się rozpląnęło w białej mgle, a ona uniosła się lekka niczym piórko i zniknęła.

III

Końskie kopyta miarowo kłaskały na błotnistej drodze, mieszając rozmiękły grunt z nieustannie siąpiącym deszczem. Chłód i wilgoć tak dalece były obojętne jeźdźcom przemierzającym drogi jeszcze niedawno należące do króla Prus, że przysypiali w siodłach, kojeni jednostajnym kołysaniem. Po kilku dniach spędzonych w Saalfeld², niewielkim pruskim miasteczku, w którym stacjonowały oddziały polskiego generała Dąbrowskiego, oddział francuskich żołnierzy pod wodzą Treillarda wyruszył w dalszą drogę, by znaleźć idealną kwaterę dla samego cesarza Napoleona.

W Saalfeld nie brakowało rozrywek. Charles Treillard najchętniej nie ruszałby się stamtąd, zwłaszcza że wpadła mu w oko jedna z tamtejszych mieszczek. Jego żona, ta dziwka Émilie, nie pozwalała się dotykać. Trzymała go w szachu ciążą, dlatego też teraz nie miał żadnych skrupułów i brał, co dawali. Na szczęście mała Prusaczka szczerze obdarowywała go swoimi wdziękami. Nawet gdyby było inaczej, gdyby miała jakieś opory, to i tak niczego by to nie zmieniło. Wolał nawet takie, które się opierały. Jak Émilie. Jej nie złamał nigdy i chyba dlatego wciąż na samą myśl o niej czuł tak silny przypływ podniecenia, że miał ochotę zawracać oddział.

Wędrówka przez tę część Prus była nie lada wyzwaniem. Miał wrażenie, że cała ziemia tutaj jest jednym wielkim bagnem, po którym błędzą od jednego do drugiego spłachetka nasiąkniętej wodą ziemi. Za każdym lasem, pagórkim czy wsią rozlewało się jakieś jezioro, a pomiędzy nimi rozciągnięte były nitki rzeczek i rzeczulek ginących w trzęsawiskach ukrytych w zaroślach. Deszczowa wiosna, o ile wiosną można było nazwać to ocieplenie, dzięki któremu stopniały śniegi, ale wciąż nie dawało się spędzić na zewnątrz zbyt wiele czasu bez ryzyka załapania paskudnego przeziębienia, nie ułatwiała podróży.

W Saalfeld nie było warunków, by ściągnąć tu cesarza. Owszem, stało kilka okazałych budynków, jakaś szkoła, kościół, ale w żadnym z nich nie było lepiej niż w mrocznym i zimnym zamczysku w Osterode. Treillard szukał czegoś luksusowego, czegoś na miarę władcy Europy,

w dodatku musiało to być miejsce położone w bliskości linii, na której stacjonowały wojska liżące rany po bitwie pod Preußisch Eylau. Blisko miejsc potencjalnie mogących stać się polami bitwy, a jednocześnie w bezpiecznej odległości od wrogich obozów.

Podpowiedziano mu kilka reprezentacyjnych siedzib w okolicy, które zamierzał obejrzeć. Postanowił jednak się nie spieszyć. Czuł się panem sytuacji, gdy pojawiał się w małym miasteczku, gdzie mógł wszystko, bo był najeżdźcą, zwycięzcą, tym, który podbija, przed którym ludzie drżą i kryją się w popłochu po swoich domostwach, jakby cokolwiek mogło ich uratować.

Émilie też pozostała dobrze strzeżona bez szans na ucieczkę poza zamkowe mury, a nawet jeśli, dwóch jego ludzi szybko ją znajdzie i zamknie znowu. W końcu łatwiej upilnować ciężarną, która wydawała się potulna i pogodzona ze swoim losem po tym, jak on porachował gnaty jej kochasiowi. Na samo wspomnienie żony w ramionach tego młokosa wszystko się w nim gotowało.

Kiedyś miał inną żonę. Kochała go, a przynajmniej tak mu powtarzała, gdy zabiegał o jej względy. Potrzebował ciepła, normalności i miłości. Kiedy był młodzieńcem, jego rodzina zginęła w fali chłopskich powstań w 1789 roku¹⁰, a on został sam. Straciwszy rodzinny majątek, postanowił związać się z armią i pewnego dnia odpłacić zabójcom swoich najbliższych. Patrzył, jak po kolei zawiśli na drzewie jego matka, siostry i ojciec. Zdjęty strachem, przytający w swojej dziecięcej kryjówce w niewielkiej wieżycy pałacyku, w którym mieszkali, obserwował krzyczących wieśniaków, odprawiających krwawy rytuał i w zapamiętaniu pijących najlepsze wina z ich piwnic. Świątowali wokół ogniska rzucającego upiorny blask na zwłoki jego rodziny, odarte z ubrań i godności, nieme, potrącane co jakiś czas z pogardą.

Dlatego jako młody mężczyzna garnął się do ślicznej kobiety, która obiecywała mu zapomnienie tych strasznych chwil. Zwłaszcza że kilka lat później majątek odzyskał i doprowadził do świetności, aby móc w nim zacząć od nowa budować życie. Szczęściem nie cieszył się jednak zbyt długo. Wzywały go powinności i służba dla kraju, ale kiedy ruszał walczyć do Włoch, a stamtąd do Egiptu, był pewien miłości kobiety, którą poślubił.

— Kocham cię, Charles, i nigdy nie opuszczę. Jesteś żołnierzem, kraj cię potrzebuje — szeptała mu do ucha. — Poczekam na ciebie, ile będzie trzeba. Będę tu zawsze. Jestem twoja.

— Zrobię to dla ciebie, najdroższa. Wrócę jako generał, bohater wojenny — obiecywał.

Wszystko jednak rozwiało się jak dym, gdy po dwóch latach, po powrocie z kampanii egipskiej, zastał ją z dzieckiem. Oczywiście nie był jego ojcem, a żona, która niby go kochała, wykrzyczała mu, że wyszła za niego, bo chciała pławić się w luksusach. On miał zginąć, nie wracać.

Najpierw dopadł nieszczęśnika, który ośmielił się tknąć jego żonę. Zarznął go jak wieprzka na oczach tej dziwki. Już wtedy powinna była wiedzieć, że obudziła w nim demona. Potem żonę i jej bękarta, a także chłopów, tych samych, którzy lata wcześniej zamordowali jego rodzinę, kazał swojemu oddziałowi spędzić do stodoły i podpalić.

Ta wywłoka nawet umrzeć nie umiała z godnością. Wyrывała się i wrzeszczała ze strachu. Nie spodziewała się, że w człowieku, którego wykorzystała i zdradziła, tlił się choćby płomień okrucieństwa. Tymczasem wystarczyło go rozdmuchać, dać mu motywację i nadać kierunek, a eksplodował niczym beczka prochu.

Charles patrzył w ogień, wsłuchiwał się w ryk ludzi i przypominał sobie odgłosy, jakie oni dawniej wydawali, uczując w ogrodach pałacowych w towarzystwie zwłok swych panów. Stał i patrzył, aż zostały jedynie dogasające zgliszcza, z których unosił się szary, śmierzdzący dym pełzający po ziemi i mieszający się z poranną mgłą. Przysiągł sobie, że już nigdy nikomu nie zawierzy. Na koniec obrócił się na pięcie, dosiadł konia i odjechał, żeby dołączyć do armii. A ta wyruszyła niebawem na kolejną wojnę, gdzie okrucieństwo było chlebem powszednim i nie budziło niczyjego zdziwienia ani sprzeciwu, bo stało się tak powszechne, że nie tylko oprawcy, ale i ofiary zawsze oczekiwali najgorszego.

Drugi raz jego światem zatrzęsła dopiero Émilie. Zrobił wszystko, by zdobyć to naiwne, zakochane w mdłym fircyku dziewczę. Już wtedy była matką, ale postanowił ją mieć mimo wszystko właśnie dlatego, że tak wierzyła w siłę miłości. Niszcząc jej świat, wysyłając jej ukochanego na pewną śmierć i pozbawiając ją wszystkiego, co kochała, odczuwał mściwą satysfakcję. Cierpiała, ale wiedziała, że musi zostać jego żoną, inaczej i ona, i jej córka zdechłyby z głodu. Kiedy jednak Charles postawił na

swoim, kiedy pierwszy raz zdarł z niej ubranie, zrozumiał, że może jej zabrać wszystko, może wdrzeć się do jej ciała, ale nie wdrze się do jej serca.

Koń Treillarda potknął się na wyboju i o mały włos nie zrzucił z grzbietu pogrążonego w letargu jeźdźca. Generał ściągnął cugle i rozejrzał się po otwartej przestrzeni, na jaką właśnie wyjechali z gęstego lasu. Wierzchowiec, zniecierpliwiony, potrząsnął łbem, widząc, że reszta oddziału zjeżdża z pagórka i kieruje się ku miejscowości widocznej w strugach coraz mocniej zacinającego deszczu. Charles zacisnął dłonie na wodzach i zaciął się w sobie. Już wiedział, co może złamać jego drugą żonę, która okazała się tak samo niewierna jak pierwsza i jak wszystkie kobiety przewijające się przez jego życie. Chciał ją zatłuc, jak tylko powije mu dziedzica, ale było coś, co ją zniszczy bardziej, coś, co sprawi, że wręcz będzie go błagała o śmierć. Musiał tylko poczekać.

— Panie generale, przed nami Rosenberg — zameldował podkomendny.

— Nie jestem ślepy — warknął przemarznięty i rozdrażniony wspomnieniami Treillard. Ścisnął boki konia udami, aż ten zarżał i ruszył, zadzierając przy tym wysoko łeb.

IV

— Miałem złe przeczucia od początku — mamrotał mężczyzna, który towarzyszył omdlałej kobiecie. — Nie powinna była wychodzić z zamku. Źle wyglądała od samego rana. A teraz to. Jeśli jej się co stanie, to ten jej mąż generał nas zamorduje. Źle mu z oczu patrzy. Zamorduje nas wszystkich. O, Panie Boże, czemuż mnie tak każesz, czemuż ciągle nowych trosk dokładasz?

— Przestań jęczeć, człowieku — wystękał Antoni.

W ramionach niósł kobietę, którą już raz spotkał i przez którą wdał się w kabałę z pijanymi żołnierzami. Wtedy udało mu się uciec, ale tym razem wyglądało na to, że musiał zanieść ją do zamku. Na szczęście była dość drobna, chociaż i tak po przejściu wąskiej uliczki sapał z wysiłku. W mieście zmrok zapadał szybciej, jakby tylko czekał, aż słońce się skryje i będzie mógł wypełznąć z zadymionych, cuchnących brudem, starą krwią, potem i tanim alkoholem spelun, których w mieście nie brakowało.

Jego narzekający przewodnik najwyraźniej był Prusakiem, bo dopiero kiedy Antoni go upomniał, mężczyzna zaczął mówić w jedynym języku, w którym mogli się porozumieć, czyli po francusku, a i tak w emocjach co i rusz wtrącał ostro brzmiące niemieckie słowa. Przedstawił się jako Freiwald, zarządca zamku, lecz Antoni nie do końca mu wierzył. Czy ktokolwiek piastujący dość, wydawałoby się, ważne stanowisko w tym mieście odważyłby się błąkać ciemnymi zaułkami po zmroku? Wszak już za pierwszym razem widział, czym się kończą spacerzy w towarzystwie niewiast. Tym razem kobieta przynajmniej wdziała męski strój, więc nie rzucała się w oczy, ale jej nagłe omdlenie było najgorszym, co mogło się stać. W dodatku towarzyszyło jej dwóch olbrzymów, wzbudzających swoimi gabarytami niezdrawe zainteresowanie żołnierzy. Choć giganci trzymali się z tyłu, to żaden z nich nie rwał się do pomocy w dźwiganie paniusi wiszącej bezwładnie w ramionach Antoniego.

Na szczęście przy zamkowej bramie okazało się, że Prusak rzeczywiście jest tym, za kogo się podawał. Wpuszczono ich za mury, a Podolski ostatkiem sił wtaszczył kobietę na piętro. Dopiero wtedy tych dwóch milczących drabów zniknęło mu z oczu. Za to do Freiwalda dołączyły dwie kobiety. Starsza nerwowo szeptała do zarządcy zamku, zaś młoda rzucała mu zaciekawione spojrzenia. Zapalono świece i Antoni położył nieprzytomną na łóżku.

Mógł się jej przyjrzeć w ciepłym, pomarańczowym świetle. Była blada, zlana potem i mamrotała po francusku. Musiała cierpieć, bo jej oblicze wykrywiła co chwilę grymas bóleści. Ciemne włosy rozsypały się na poduszce, tworząc tło dla opuchniętej twarzy o delikatnych rysach i niezdrawej barwie. Przez jedną krótką chwilę Antoni pomyślał o kobiecie ze swoich snów, ale tamta miała piękne błękitne oczy, a ta zaciskała jedynie powieki i cicho jęczała.

Stał z boku i przyglądał się, jak kobiety rozpięły cierpiącej ubranie, wyplątały ją z ciepłej szuby i ściągnęły długie buty z opuchniętych nóg.

— Ona jest ciężarna — zauważył ze zgrozą, a oczy zebranych zwróciły się na niego, jakby dopiero teraz niewiasty zorientowały się, że nie opuścił pomieszczenia. Spojrzenie młodszej wciąż było pełne zadziorności i zaciekawienia, a może nawet obietnic. Opuściła wzrok i zaróżowiła się uroczym, dopiero kiedy odwzajemnił jej zainteresowanie. Starsza powiedziała coś do Freiwalda, a ten

przetłumaczył to Antoniemu.

— Potrzebujemy lekarza. Moja żona mówi, że niedobrze z dzieckiem, że obydwójce mogą umrzeć.

Jakby na potwierdzenie tych słów Francuzka zawyła głośno, po zwierzęcemu, aż Antoni poczuł ciarki na grzbiecie. Kiedy ból zelżał, uniosła z trudem powieki i uśmiechnęła się słabo, wyciągając do niego rękę. Zdezorientowany, przysiadł na łóżku i dotknął rozpalonej dłoni. Ona umierała, a śmierć zawsze rozgrzewa ciało, jakby toczyła z nim walkę o nieszczęsną, uwięzioną w nim duszę. Obrazy śmierci przelewały się Antoniemu przed oczami. Smród prochu, wydzielin, kwik koni i krzyki ludzi, bryzgająca wszędzie krew, błoto i ból rozlewający się po ciele. Zamrugał kilka razy szybko, żeby odpędzić te majaki, które nawiedzały go najczęściej w snach. Już dawno podejrzewał, że musiał brać udział w walce, bo skąd miałby takie wspomnienia?

— Nie zostawiaj mnie, proszę — szepnęła kobieta i kolejny raz zawyła, podkurczając przy tym nogi. Jej ręka zacisnęła się na jego palcach.

— Cesarz odesłał gdzieś jej męża. Jest tutaj sama. Może pana z nim myli? — dywagował Freiwald. — Musi nam pan pomóc. Potrzeba lekarza. Jeśli ona umrze, na nas spadnie odium za tę śmierć. Jej mąż zabije nas wszystkich. On jest szalony. I bez tego ma mord w oczach.

Antoni powiódł wzrokiem po przerażonych mieszkańcach zamku. Żona zarządcy płakała, ocierając pot z czoła cierpiącej. Młoda kobieta zerkała na niego z przestrawieniem, a Freiwald wyglądał, jakby zaraz miał się rozplakać.

— Wezwijcie cesarskiego lekarza. Z pewnością jest najlepszy w okolicy. — Antoni położył ostrożnie dłoń kobiety na pościeli i wstał. Nie chciał tu być.

Zarządca pokręcił gwałtownie głową.

— Nas nikt nie posłucha, panie.

— To Francuzka, jedna z nich, żona ich generała... — wyliczał Antoni.

— Dlatego powiedzą, żeśmy ją otruli. Boże, czemu jej posłuchałem? Tak chciała pana znaleźć, podziękować. Mówiła, że grozi panu śmierć...

— Śmierć? — Podolski wszedł w słowo roztrzęsionemu mężczyźnie.

— Mówiła, że zna pana, że nie może pan przybyć na zamek, bo czeka pana śmierć. Dlategośmy wyszli poza mury.

Antoni przyjrzał się wijącej się w bólach kobiecie, która znowu na niego popatrzyła.

— Skąd pani mnie zna? — Pochylił się nad nią.

— Ty jesteś Antoni — jęknęła. — Nie poznajesz mnie — wycharczała po chwili, kiedy nic jej nie odpowiedział. — Antoni. Musisz stąd uciekać. On cię zabije. Ścigają cię. — W jej oczach błyszczał obłęd.

— Jak się nazywam? Skąd mnie znasz? — dopytywał, szarpiąc ją za ramiona.

Chciała coś powiedzieć, próbowała się podnieść, lecz żona Freiwalda nie pozwoliła jej na to. Kolejny skurcz wstrząsnął kobietą i znowu odpłynęła.

Antoni zrozumiał, że niczego więcej się nie dowie, póki ona nie wróci do zdrowia. Albo majączyła i myliła go z kimś, albo rzeczywiście go znała. Nie miał wyjścia i musiał zrobić wszystko, by przeżyła.

— Przyprawdę lekarza, a wy znajdźcie akuszerkę!

— Dziękuję. Uratuje pan więcej niż jedno życie — wyszeptał Freiwald.

Antoni wyszedł z pokoju bez słowa, chociaż wątpił, by ciężarna dożyła chwili, w której znajdzie człowieka na tyle trzeźwego, by zdołał jej pomóc. Na polach bitew raczej nie potrzebowali wybitnych lekarzy, lecz takich, co umieli opatrzyć rany i uciąć, co trzeba, gdy wdała się gangrena.

— Niech pan poczeka — zawołała młodsza z kobiet, która wyszła za nim na korytarz.

Musiała być naprawdę młodzianka, bo jej twarz wciąż nosiła ślady dziecięcej krągłości. Drobną buzią okoloną jasnymi włosami, różowe usteczka i błękitne, zaskakująco śmiało patrzące na niego oczy sprawiły, że w okolicy serca poczuł przyjemne ciepło. Przypominała mu kogoś... Zanim jednak zdążyła ta myśl przerodzić się w obraz osoby, dziewczyna podeszła na wyciągnięcie ręki.

— Madame Treillard swoją obecnością sprowadziła na nas nieszczęście. Mój szwagier i siostra

mają pięcioletniego syna. To o jego życie drżą. Proszę nam pomóc, oficerze.

— Nie jestem oficerem, pani — sprostował Antoni, choć dałby sobie głowę uciąć, że dziewczyna obrzuciła jego mundur uważnym spojrzeniem i doskonale wiedziała, że ma przed sobą szeregowego żołnierza. — Zrobię, co w mojej mocy, ale obawiam się, że jest za późno. Ta kobieta... Ona... — urwał, tknięty nagle dziwnym przecuciem. — Jak ona się nazywa?

— Treillard.

— A imię?

— Émilie. Émilie Treillard, przynajmniej tak się przedstawiła. — Dziewczyna wyduła usta w pogardliwym grymasie.

Antoni pomyślał, że z jakiegoś powodu nie pałała sympatią do chorej, a głośno powtórzył imię kobiety, które rozpląnęło się mu na języku jak miód i pozostawiło słodkie pieczenie w ustach.

— Emilia — powtórzył imię po polsku, po czym jakby zbudzony ze snu popatrzył na dziewczynę i dodał: — Zrobię, co w mojej mocy. — Zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, zbiegł po schodach na podwórze zamkowe oświetlone pochodniami i ruszył do bramy.

V

Dotąd Krysia uważała się za słabą, zbyt głupią, niewystarczająco dobrą. Ale miała swoje spacery, ogród, park przechodzący w sad, a czasem też pola, po których mogła krążyć całymi godzinami, śniąc na jawie o tym, że jest piękną hrabiną lub tajemniczą i nieszczęśliwą damą oczekującą ratunku z rąk przystojnego i koniecznie wrażliwego księcia. Choroba sprawiła, że zatęskniła za tym, czego tak nie doceniała. Na budzącą się do życia naturę mogła teraz popatrzeć wyłącznie przez okno. Po tygodniach spędzonych w łóżku wciąż była słaba. Zresztą matka nie pozwalała jej się forsować, zaś służba dbała o to, by panienska miała wszystko dostarczone do pokoju. Nawet Leosia początkowo bała się wymagać od niej czegokolwiek i zamiast prowadzić lekcje, tylko jej czytała.

Kiedy Krysia popatrzyła w zwierciadło, zobaczyła bladą, wymizerowaną twarzyczkę o podkrążonych oczach, która kontrastowała z ciemnymi włosami, dawniej lśniąco-puklami okalającymi czoło, a obecnie smętnie zwisającymi i matowymi. Nigdy nie była zbyt urodziwa, lecz teraz... Oczy jej się zaszklily.

— Czegoś Krysi potrzeba? — zainteresowała się Leosia, dotąd zapatrzona w książkę, ale w tym momencie wpatrująca się z wyrazem przestachu w swoją podopieczną. — Źle coś Krysia wygląda.

Po policzkach dziewczyny popłynęły łzy. Otarła je szybko, nie chcąc martwić swej nauczycielki.

— Nic takiego, Leosiu. Żał mi tej wiosny, żał spacerów, na które prędko razem nie wyjdziemy. — Ciałem dziewczyny wstrząsnął atak kaszlu. Wciąż od czasu do czasu łapał ją kaszel, zwłaszcza gdy się zdenerwowała.

Leosia zerwała się zaraz ze swojego miejsca, jakby mogła w czymś ulżyć Krysi albo ją poratować. Zanim jednak chora powstrzymała ją gestem, rozległo się pukanie do drzwi i stanął w nich Michał Śniegocki. Serce Krysi wykonało salto, zaś Leosia, gotowa obronić dziewczynę własną pierśią, wyrosła pomiędzy nią a żołnierzem. Przywitawszy się, Śniegocki od razu przeszedł do rzeczy, zupełnie przy tym ignorując bojowo nastawioną Leosię.

— Chciałem panience Krysi zaproponować spacer po parku, bo pogoda dziś sprzyjająca.

Dziewczyna zapłonila się i pierwszy raz od dawna miała ochotę głośno się roześmiać. Zamiast tego skromnie opuściła wzrok. Owszem, Śniegocki pytał o nią często, czasem bywał w jej pokoju, ale zazwyczaj w towarzystwie innych osób, bo w chorobie niemal zawsze ktoś przy niej czuwał. Raz śnił jej się nocą zaraz po wypadku, że jej się oświadczał, lecz musiała mieć wtedy w gorączce omamy. Bo gdzieżby oficer, bohater wojenny mógł chcieć takie brzydactwo jak ona.

— O ile panienska wystarczająco dobrze się czuje i ma życzenie mi towarzyszyć — dodał szybko młodzieniec, biorąc widać jej zawstydylenie za wahanie.

— Panienska jest zbyt słaba, żeby opuszczać swój pokój — zaoponowała Leosia, zanim Krysia zdążyła otworzyć usta.

— Służę ramieniem. — Śniegocki nie patrzył na Leosię. Jego oczy były skierowane wprost na Krysię, kiedy wyciągał przed siebie rękę na poparcie słów. — Pogoda sprzyja dziś spacerom, a i daleko

nie odejdzem. Panna Leokadia będzie mogła nam towarzyszyć. — Dopiero teraz spojrział na Leosię, która nie ukrywała swego niezadowolenia. — Mam pozwolenie matki panny Krysi, żeby zabrać ją na spacer. Forsować panienki bym nie śmiał, ale słońce i świeże powietrze dobrze nam zrobi. — Ponownie wyczekująco popatrzył na skamieniałą z wrażenia dziewczynę, w której gotowało się od emocji.

— Dobrze — szepnęła ledwie słyszalnie. — Tylko ubiorę się ciepło.

Twarz Śniegockiego rozjaśnił szeroki uśmiech, za to Leosia przewróciła oczami, lecz pomogła się ubrać Krysi w podbitą futerką szubkę. Sama też zarzuciła ciepły kubrak i ruszyła za dziewczyną wspartą na ramieniu Śniegockiego, bo przecież ktoś musiał pilnować obyczajności. Trzymała się jednak z tyłu, w bezpiecznej odległości.

Szli wolno wokół dworu żwirową ścieżką, nieco mokrą po nocnym deszczu. Prowadziła ona pomiędzy szpalery drzew posadzonych w okręgu mającym uprzyjemnić spacer w upalne letnie dni. O tej porze roku pomiędzy nagimi gałęziami wrzeszczały stada wróbli rozochoconych ciepłem wiosennego słońca. W powietrzu unosił się jeszcze po zimie zapach zgnilizny, zbutwiałych liści i zastoje w stawach wody, ale kiedy wyszli ze Śniegockim na brzeg owego nieszczęsnego stawu, w którym obydwójce się skapali, słoneczny blask oślepił ich i rozgrzał przyjemnie ich zimowe ubrania.

Krysi nie śmiała się odezwać pierwsza. Chłonęła bliskość Michała, jego rytmiczny krok, ukradkowe spojrzenia rzucane na nią. Jego silne ramię, na którym się wspierała, mocno przyciskało do boku jej rękę. Zapomniała nawet o wlokącej się za nimi Leosi.

— Chciałem z panienką Krysią porozmawiać na osobności i pożegnać się, zanim wyjadę — zaczął Śniegocki, a dziewczyna aż się potknęła i stanęła.

— Jak to pan wyjedzie?

Michał westchnął ciężko.

— Też mi niemiło, że jestem zmuszony opuszczać panienkę, kiedy jeszcze nie całkiem zdrowa i wyrzutów mam trochę, że to wszystko moja wina... — urwał i obejrzał się na Leosię, która z wielkim zacięciem wpatrywała się teraz w lustro wody mieniące się milionem słonecznych odblasków przypominających rybie łuski.

— Ależ to moja wina, że pan musiał w tej zimnej wodzie...

— Gdybym panienki tam nie nagnał, gdybym nie wrzeszczał jak ranny jelen, to by panienka nie weszła na lód. — Śniegocki skłamał, by nie miała wyrzutów sumienia, chrząknął i stanął naprzeciw dziewczyny, ale wciąż trzymał jej dłoń w swojej ciepłej ręce. — Dobrze, że dzięki opiece Najświętszej Panienki, której jestem zawierzony zdrowie panienki Krysi, wszystko dobrze się skończyło. Bo nie wiem, czy bym to wytrzymał, gdyby, gdyby... Nie przeżyłbym.

Krysi patrzyła jak urzeczona w oczy Śniegockiego, starając się zapamiętać ich odcień, gdy szeptał z tak bliska, z twarzą pochyloną ku niej, skupiony na jej wcale nieurodziwej buzi. Policzki pokrywał mu delikatny, ciemny zarost, a ścięte zaraz po przyjeździe do Podolan przez Ignacego włosy zaczynały już się kręcić i opadać na czoło. Miała wielką ochotę dotknąć ich i przeczesać palcami, aż na samą myśl o tym przymknęła oczy.

— Czy źle się panienka poczuła? Może słaba albo w głowie się kręci — zareagował Śniegocki i chwycił ją za łokcie, przyciągając mocniej ku sobie, a ona miała wrażenie, że zaraz odpłynie z rozkoszy.

— Nie, wszystko dobrze — szepnęła słabym głosem, ale z przyjemnością wsparła się na piersiach mężczyzny. — Tak mi błogo i dobrze z panem Michałem tu spacerować. Dawno nie byłam na zewnątrz — odparła wykrętnie. W rzeczywistości oddychała głęboko, chcąc zapamiętać przyjemny męski zapach, którym emanował Śniegocki.

Chrząknięcia Leosi przerwały tę chwilę bliskości.

— Może pora wracać, jeśli Krysi źle się czuje — zasugerowała nauczycielka.

— Wszystko w porządku, Leosiu. To tylko świeże powietrze — uspokoiła ją pewnym głosem Krysi. — Czy wzywają pana żołnierskie powinności? — zagadnęła Śniegockiego, który podprowadził ją tymczasem do ławeczki ukrytej w płataninie dzikiego wina. Usiedli obok siebie, a Śniegocki nie puścił jej palców. Wręcz miała wrażenie, że jeszcze mocniej splótł je ze swoimi. Przyjemne ciepło ogarnęło przemarznęte po zimie ciało Krysi, by po chwili ogień płynący z serca buzował już równym płomieniem.

— Właśnie o tym chciałem z panienką porozmawiać. Antoni popadł w jakoweś tarapaty. Dość,

że jest rozkaz, aby go doprowadzić przed sąd wojskowy. Rzekomo zdradził i zdezerterował.

W miarę jak Śniegocki spokojnie mówił o tym, co zagrażało Antoniemu, Krysia czuła się coraz gorzej. Najpierw opadły ją wyrzuty sumienia, że skupiona na swojej słabości nie pomyślała o bracie, który przecież długo nie dawał znaku życia. Potem dołączył do nich strach i poczuła palące pod powiekami łzy. Szloch wyrwał się jej z gardła.

— Co z nim teraz będzie? A jeśli go schwytają? On nie mógł tego zrobić. Antoni to najporządniejszy człowiek, jakiego znam — łkała, a Śniegocki starał się ją uspokoić. Nie zwracała już uwagi na to, że ją obejmuje i próbuje pocieszyć, gładząc uspokajająco po plecach.

— Niech panienka się nie martwi. Antoni sobie poradzi. Jeśli rozeszłali ten rozkaz, to znaczy, że go nie dopadli. A ja mu pomogę w posprzątaniu tego bałaganu — tłumaczył. — O ile sam gdzie nie zawisnę przez tego idiotę — wymamrotał po cichu, co usłyszała Krysia i znowu wybuchnęła płaczem.

— Jeśli się co panu stanie — podniosła na niego zapłakaną twarz — ja tego nie przeżyję — dokończyła grobowym głosem.

Śniegocki odsunął ją od siebie i upadł przed nią na kolana.

— Ślubuję panience, że nie dam krzywdy Antoniemu zrobić i przywiodę go do domu. A jeśli mnie panienka tylko zechce, to proszę będę wtedy o rękę panienki Krysi. Bo o to żem miał zapytać. Czy panienka jest mi przychylna?

Krysia zdębiała i straciła oddech. W głowie jej zaszumiało. Patrzyła na klęczącego u jej stóp Śniegockiego, który miętosił jej dłonie i patrzył wyczekująco.

— Ale jak to?

— Obiecałem rodzicom panienki Krysi, że znajdę Antoniego i przywiozę go do domu, ale oddadzą mi za to rękę panienki. Jednakowoż bez zgody panienki nie śmiałybym nawet... Dlatego pytać przyszedłem, czy się panienka zgodziłaby iść za mnie.

— Więc życie Antoniego ma zależeć od mojej decyzji? — wymamrotała Krysia, całkiem skołowana.

— Skądże! — Śniegocki poderwał się i usiadł znowu obok Krysi, a raczej przycupnął na brzegu ławki. W oczach miał panikę. — Jakżebym mógł! Panienko, ja bym za panienkę... Ja śluby czystości złożyłem, żeby tylko Krysienka wyszła cała i zdrowa z choroby. Jam gotowy życie oddać. Ale jakżeby mnie, golasa prawie bez majątku, rodzice panienki Krysi chcieli przyjąć, kiedy mogą komu znaczniejszemu oddać i partię dobrą zrobić... Dlatego tak im powiedziałem. Po Antoniego pojedę i tak, bo mój serdeczny kompan, ale jedyny to był sposób, by przekonać rodziców panienki do tego mariażu.

Krysia milczała, lecz nie dlatego, że nie wiedziała, co powiedzieć. Raczej usiłowała wszystko to poskładać w swojej głowie w całość i rozeznaczyć, czy Śniegocki nie mówi tego dla żartu. Chciał ją za żonę, ale że majątkiem nie grzeszył, to wymógł na rodzicach zgodę na małżeństwo, w zmian pomagając Antoniemu.

— I pan mnie chce za żonę? — upewniła się, nie mogąc znaleźć żadnego podstępu. Zresztą Śniegocki minę miał tak zbolałą, tak szczerze przejętą, że musiała uwierzyć we wszystko, co mówił.

— Mało, że chcę. Nie marzę o niczym innym, od kiedy Krysienkę zobaczyłem. — W oczach Śniegockiego błysnęła czułość, która rozbroiła dziewczynę do reszty. — Chociaż taka młoda, jak ten kwiatusek polny. Taka delikatna. Dlatego zobowiązałem się poczekać, żeby nie zerwać tego kwiatka swoimi łapskami przedwcześnie i przez to nie zniszczyć. — Śniegocki pochylił głowę i złożył delikatny pocałunek na palcach Krysi, a jej znowu łzy, tym razem wzruszenia, odebrały mowę, gdy patrzyła na pochyloną przed nią głowę mężczyzny.

Leosia okrążyła ławeczkę, próbując zapewne coś usłyszeć z toczącej się pomiędzy młodymi rozmowy. Znowu chrząknęła znacząco, ale ani Krysia, ani Śniegocki nie zwrócili na nią uwagi, więc odeszła nieco dalej.

— Jedno panienki Krysi słowo może mnie jak skazańca na szafot przywieść i być jak miecz albo jak słodkie ułaskawienie. Nie dręcz udręczonego czekaniem. Jakaż odpowiedź, Krysiu najdroższa?

— A jakaż by mogła być, Michale — szepnęła Krysia i umilkła, spłoszona własną śmiałością.

— Więc się zgadzasz? Będiesz na mnie czekała?

— Tyle, ile będzie trzeba. — Chciała dodać: najdroższy, ale niedowierzanie, że ten piękny

mężczyzna chce ją za żonę, odebrało jej mowę.

Śniegocki zerwał się z kolan i pociągnął za sobą dziewczynę, a potem chwycił ją w pasie i uniósł wysoko, by obrócić się z nią kilka razy z głośnym, zaraźliwym śmiechem. Wkrótce śmiali się obydwójce, aż podbiegła do nich zaniepokojona Leosia. Zobaczywszy to dziwaczne przedstawienie, stanęła jak wryta.

Tymczasem Krysi zakręciło się w głowie, więc z ulgą opadła w ramiona Śniegockiego, który wreszcie postawił ją na ziemi i pochylił się widocznie z zamiarem złożenia pocałunku na jej ustach. Ona westchnęła na to i przymknęła oczy, czując przyjemne mrowienie w całym ciele.

— Ależ drogi panie! — Głos Leosi rozdarł powietrze i sprawił, że Krysia zaczerwieniła się i odsunęła od Michała na tyle, na ile jej pozwolił, bo wciąż trzymał ją w ramionach.

— Odprowadzę panienkę do dworu, bo pora mi ruszać w drogę. — Śniegocki mówił do Krysi, ale wpatrywał się w Leosię, która nie wiedziała, gdzie oczy podziać, tak zadziałała na nią wrogość pobrzmiewająca w głosie żołnierza. Potem podał dziewczynie ramię i poszli ścieżką wokół dworu do wejścia, ale kiedy weszli do sieni i zniknęli na chwilę z oczu całemu światu, a zwłaszcza gorliwej przyzwoitce, Śniegocki obrócił Krysię do siebie i wycisnął na jej ustach pocałunek.

— Panienska wybaczy, ale nie mogłem się powstrzymać — wyszeptał w jej rozchylone usta.

— Wybaczam — odpowiedziała Krysia i z bijącym głośno sercem odwzajemniła pocałunek.

W końcu odskoczyli od siebie, a Śniegocki na oczach Leosi, która wpadła do sieni, strzelił obcasami, skłonił się i wyskoczył na podwórze, jakby go czarci gonili. Krysia zaś schroniła się w swoim pokoju, gdzie padła na łóżko i z szerokim uśmiechem zagapiła się w sufit, przyciskając do piersi dłoń rozgrzaną dotykiem Michała. Musiała przytrzymać wyrrywające się za nim serce, bo tłukło się w jej wątłym ciele z taką siłą, jakby chciało je rozerwać.

Tylko Leosia fukała niezadowolona w kącie, lecz nikt na nią nie zwracał uwagi.

ROZDZIAŁ V

I

Zanim Antoni wydostał się za zamkowe mury, zapadła ciemność rozjaśniona jedynie nierzeczywistym światłem księżycy w pełni, zanurzającego się w wody jeziora. Podolski nie miał jednak czasu na napawanie się pięknem pierwszego od dawna pogodnego wieczoru po ciepłym wiosennym dniu. Musiał udać się do lazaretu i znaleźć lekarza, ale nie zdążył zająć zbyt daleko, bo drogę zastąpiły mu dwa zwaliste cienie. Domyślił się, że należą one do żołnierzy towarzyszących żonie generała.

— Piękny wieczór na spacer, panowie — zagał, kładąc dłoń na rękojeści szabli. — Jednakowoż nie dotrzymam wam towarzystwa w schadzce, bom spóźniony, a wy przyzwoitki, zdaje się, nie szukacie. — Zrobił krok między nich, lecz zatarasowali mu przejście.

— Mamy niedokończone rachunki — powiedział ten z lewej, o gębie podobnej do rozdeptanego kartofla.

— Rachunki? Żeby jakieś rachunki mieć, to musielibyśmy się znać, a wy musielibyście umieć liczyć — zażartował Antoni.

Najwidoczniej jednak ci dwaj nie znali się na żartach, bo sięgnęli po swoje szable.

— Generał Treillard ostrzegał, że możesz wrócić. Na tego, co ci utnie rozgadany łeb, czeka nagroda — wyjaśnił ten z prawej, o fizjonomii upiękzonej kilkoma źle wygojonymi bliznami.

— Nie znam żadnego generała Treillarda — rzucił Antoni i zaatakował pierwszy. W walce wręcz nie miałby z nimi szans, ale otwarta przestrzeń i broń, którą, jak się przekonał w koszarach, potrafił doskonale władać, zwiększała jego szanse. Ci dwaj może i byli silni, ale raczej ociężali, i to nie tylko w ruchach.

— I już nie poznasz — wysapał Kartoflogęby, odskakując w bok.

— Mylicie mnie z kimś.

Antoni odparowywał kolejne ciosy atakujących żołnierzy, cofając się ku murom zamku. Wreszcie poczuł za sobą ścianę, a kiedy napastnicy unieśli szable i natarli, kucnął i dał nura między nich. Teraz mieli go za plecami, co wykorzystał, wymierzając rękojeścią szabli cios prosto w skroń tego ze szramami. Mężczyzna zatoczył się, ale nie upadł. Za to drugi zaatakował z wściekłością.

— Młócisz jak cepem. A kompan ma łeb twardy jak kamień — dowcipkował Antoni, chcąc doprowadzić przeciwnika do furii. Wtedy łatwiej o błąd.

W odpowiedzi Kartoflogęby natarł na niego z takim impetem, że Antoni musiał salwować się ucieczką. To dało mu chwilę oddechu, gdy tamten, zziębnięty, wywijał szablą. Niestety, Szrama szybko odzyskał sprawność i wrócił do walki.

— Bez łba nie będzie ci tak wesoło — wysyczał, przypierając Antoniego ponownie do muru. Gdyby nie ostrze, na którym zatrzymała się szabla Szrama, Podolski rzeczywiście straciłby głowę. Zmęczony, zdyszany, spocony, mimo wszystko czuł się jak ryba w wodzie. Walka sprawiła, że krew krążyła mu w żyłach jak szalona.

— Bez głowy nie znajdę lekarza dla żony generała — wysapał Antoni, bo zaczynało mu brakować tchu, tak mocno przygniatał go ten osiłek do ściany, podczas gdy Kartoflogęby dyszał ciężko, wsparty o kolana. — Ona umiera — dodał dla wzmocnienia efektu.

Nacisk zelżał. Antoni musiał kuć żelazo, póki gorące.

— Razem z nią umrze jej dziecko. — Robił przerwy pomiędzy zdaniami na złapanie oddechu. — Podobno generał nie puści tego płazem, a na kim się skupi jego gniew najpierw? Zarządca będzie chronił siebie i swoją rodzinę. Powie, że to wy naraziliście generałową na niebezpieczeństwo.

Szrama odsunął się od niego, lecz szablę wciąż trzymał w pogotowiu.

— Mógłbym was usiec, ale dla jej dobra powinniśmy działać razem — wydyszał Antoni. — Teraz musimy znaleźć lekarza. I to szybko. Potem możecie mnie nawet zabić. — Splunął w bok.

Zasapani żołnierze spojrzeli na siebie, choć w zimnym świetle księżycy niewiele mogli dojrzeć.

— Oddaj szablę.

Antoni postanowił zapamiętać, że to Kartoflogęby był mózgiem tego dwuosobowego oddziału.

Zaśmiał się głośno.

— Żartowniś z ciebie. — Pogroził palcem żołnierzowi. — Ja wam dam szablę, a głowę sami sobie weźmiecie. W przeciwieństwie do was robię z głowy użytek ... — nie dokończył, bo zaatakował go Szrama, który szarżował na niego z opuszczonym łysym łbem. Gdyby Kartofel w porę nie powstrzymał kompana, ten niechybnie powaliłby Antoniego.

— Dość gadania. Szabla — zarządził Kartofel.

Antoni cofnął się na bezpieczną odległość i niechętnie włożył broń do pochwy. Przez moment oceniał swoje szanse po oddaniu szabli. Wciąż był sprytny i szybki, więc mógł salwować się ucieczką, ale naprawdę potrzebował tych dwóch. Mało kto ośmieliłby się sam spacerować w tym mieście po zmroku. Kartofel i Szrama mogli być idealną obstawą. Odpiął szablę i rzucił ją na ziemię. Kartofel skinął Szramie i ten schylił się, żeby podnieść broń, a kiedy to zrobił, wyciągnął ją z pochwy i zamachnął się na Antoniego. Z płuc atakującego wydobył się pomruk przypominający odgłos niedźwiedzia.

Antoni miał wrażenie, że czas się zatrzymał, lecz on wszystko widzi jasno i klarownie. Połyskujące ostrze zbliżające się do jego głowy, sztylet, który wyciągnął z cholewy buta i który z łatwością wbił się w szyję Szramy, gorącą, buchającą na niego krew, a na koniec przerażenie pomieszane z wściekłością na gębie Kartofla. Antoni cofnął się, wyciągnąwszy sztylet z rany.

Reszta potoczyła się błyskawicznie. Szrama wypuścił z rąk jego szablę i opadł najpierw na kolana, a następnie przewrócił się na bok. Jednocześnie Kartofel wyciągnął z pochwy swoją broń i zamachnął się, ale Antoni czmychnął szybko, żeby uniknąć ostrza, a przy okazji pochwycić swoją szablę połyskującą obok drgającego ciała Szramy. Nie zdążył wstać, jedynie przetoczył się na plecy, kiedy broń Kartofla utknęła w ziemi tuż obok jego głowy, a on sam znieruchomiał nad Podolskim z wyrazem zdziwienia w wytrzeszczonych oczach. Potem z wolna zaczął się osuwać. Antoni wyszarpnął z ciała żołnierza szablę trzymaną w obydwu dłoniach i przetoczył się na bok, pozwalając Kartoflowi opaść na wilgotną ziemię obok kompana.

Dłuższą chwilę Antoni leżał na plecach, dysząc ciężko i usiłując uspokoić walące dziko serce. Patrzył w łypiący na niego złowrogo księżyc. Pomyślał, że miał dziś szczęście, a może tylko dość sprytu, by wyjść cało z opresji. Wilgoć bijąca od ziemi szybko ostudziła rozgorączkowaną głowę. Podniósł się i rozejrzał po okolicy. Nocny ptak zaskrzeczał w nadbrzeżnych zaroślach. Antoni nie czekał na kolejną zachętę. Chwycił pod pachy Szramę i zawlókł go w krzaki, co nie było łatwe, zważywszy na słuszny wzrost żołnierza. Kiedy poczuł, że grunt zaczyna mu mlaskać pod butami, zepchnął ciało do wody. Potem wrócił po Kartofla, który chyba żył jeszcze, bo z jego piersi wyrwało się krótkie warknięcie. Antoni wzdrygnął się i zrobił z mężczyzną to samo, co z jego kompanem. Za nimi cisnął do wody ich szable.

— Obstawę mam z głowy. Durne osiłki — wymamrotał, sapiąc ze zmęczenia. Długo dochodził do siebie. Z wysiłku drżały mu nogi. Czuł, że cały jest umazany krwią, a jej zapach unosi się w powietrzu i przyprawia o mdłości. Dopiero teraz zorientował się, że ma rozcięty mundur na prawym ramieniu i z płytkiej rany sączy mu się krew.

— Do stu diabłów. — Ból nie był dotkliwy, ale Podolski musiał zabezpieczyć ranę. Paradoks polegał na tym, że właśnie szukał lekarza. Obmył się więc tylko w jeziorze na tyle, na ile mógł, i na ile pozwalała lodowata wciąż woda, przygładził włosy i ruszył do miasta, przypasawszy z powrotem szablę. Zadumany księżyc oświetlał mu drogę.

II

Kiedy Antoni wrócił do zamku z nie do końca trzeźwym lekarzem, przy bramie czekał na niego Freiwald. Przesępował z nogi na nogę, jakby zaraz miał wybiec z krzykiem za bramę i zniknąć w jeziorze. W tym samym, na które z bojażnią zerknął Antoni, kiedy ciągnął za sobą bełkoczącego lekarza i w którym spoczęły chcące go zabić zbiry. Na szczęście teraz w zaroślach panował błogi spokój, a po wodzie niosły się odgłosy jakiejś odległej burdy, zapewne dochodzące z jednej ze spelun, gdzie bawili się żołnierze.

Straże nie wpuszczały nikogo na dziedziniec bez wyraźnego rozkazu, ale zarządca uprzedził, że czekają na lekarza potrzebnego dla generałowej, więc po zlustrowaniu nietrzeźwego, brzuchatego

osobnika z torbą w garści, wpuszczono ich na zamek.

— Jest już akuszerka. Posłała po nią moja żona — tłumaczył Freiwald przemierzający szybkim krokiem podwórze. — Mówi, że żona Treillarda musi urodzić, inaczej nie ma szans na przeżycie.

Antoni poczuł nerwowe ukłucie pod żebrami.

— Szybciej! — warknął i szturchnął sapiącego na schodach lekarza.

Z ciemnego korytarza weszli wprost do dusznego, oświetlonego świecami pokoju chorej, która leżała teraz nieruchomo, tylko jej klatka piersiowa falowała oddechem. W pomieszczeniu unosił się mdły zapach kojarzący się z trupem. Czoło leżącej lśniło od potu, a pozlepiane włosy oklapły na poduszkę. Starsza, ale czysto ubrana kobieta w jasnym czepku na głowie sypała jakieś zioła, sądząc po intensywnym zapachu, do kubka trzymanego przez młodą dziewczynę, która wcześniej rozmawiała z Antonim. Kobieta w czepku powiedziała coś po niemiecku, z pogardą patrząc na stojącego jak kukła lekarza. Zarządca jej odpowiedział. Antoni nawet nie pytał, o czym rozmawiali. Popchnął lekarza w stronę łóżka, a ten jakby obudził się ze snu.

— Ruszże się! Zbadaj ją.

Akuszerka odezwała się ponownie ze złością, chwytając doktora za rękę, kiedy usiadł na posłaniu i próbował unieść przykrycie, pod którym spoczywała pacjentka.

— Mówi, że nie powinniście patrzeć — przetłumaczyła asystująca akuszerce dziewczyna.

Antoni skinął i razem z Freiwaldem posłusznie opuścił pokój. Po chwili zza drzwi dobiegł ich rozdzierający jęk. W pierwszej chwili młodzieniec chciał otworzyć drzwi, ale zarządca go powstrzymał.

— Akuszerka odbierała niełatwy poród mojego syna. Ona wie, co robi.

Może bardziej niż ten lekarz — pomyślał Antoni, lecz nie powiedział tego głośno. Minuty mijały, jednak nie dobiegł ich żaden więcej dźwięk. Wreszcie drzwi otworzyły się z impetem i stanął w nich lekarz z podwinętymi do łokci niezbyt czystymi rękawami koszuli.

— Ona musi urodzić tej nocy. Inaczej zemrze — zawyrokował i odsunął się, żeby wpuścić ich do pomieszczenia. — Trzeba ciąć.

Akuszerka poila ledwie przytomną kobietę, przytrzymując jej głowę ramieniem. Kiedy odsunęła kubek od ust cierpiącej, ta opadła na poduszkę i popatrzyła na Antoniego. W oczach miała błaganie, ale najwidoczniej nie miała dość siły, żeby mówić. Za to akuszerka, wyraźnie poruszona, tłumaczyła coś zawzięcie Freiwaldowi, który kręcił głową, jakby nie mógł przystać na to, co ona mówi.

— O co chodzi? — zainteresował się Antoni.

Freiwald westchnął, popatrzył na grzebiącego w torbie lekarza i wyjaśnił:

— Ona mówi, że może wywołać poród. Albo raczej wycisnąć dziecko, chociaż twierdzi, że ono nie żyje. Za wcześniej na jego przyjście na świat, ale tylko tak uratuje życie matce.

— Sama nie urodzi. Ma gorączkę. Trzeba ciąć — odezwał się lekarz, patrząc na akuszerkę, jakby mogła zrozumieć, co powiedział. Dla pewności pokazał gestem na swój brzuch, żeby uświadomić jej, co zamierza zrobić.

Akuszerka pokręciła gwałtownie głową i znowu coś powiedziała, stanąwszy pomiędzy łóżkiem a lekarzem, który w dłoni dzierżył wyjęty z torby nóż. Jej słowa, twarde jak kamienie, padały szybko, w emocjach i nie trzeba było ich nawet tłumaczyć, bo na koniec splunęła w stronę lekarza, który postąpił w kierunku chorej.

— Berta twierdzi, że takiego zabiegu nie przeżyją i matka, i dziecko. Kobieta jest zbyt słaba, żeby ciąć brzuch — powiedział cicho Freiwald, zapewne łagodząc rzeczywiste znaczenie słów akuszerki.

Antoni wolno skinął głową. Nie musiał się długo zastanawiać nad podjęciem decyzji, której nikt nie chciał podejmować.

— Najpierw spróbuje akuszerka. Jeśli w ciągu godziny żona generała nie urodzi, wtedy zajmie się nią lekarz.

Freiwald przetłumaczył słowa Antoniego. Akuszerka popatrzyła na młodego żołnierza, pokiwała głową na znak zgody na postawione jej ultimatum i wciąż na niego patrząc, zadała pytanie, na które Freiwald szybko odpowiedział.

— Pytała, czy jest pan ojcem dziecka, bo potrzebuje pomocy, a tego tu... — zawahał się

zarządca — ...człowieka nie chce przy zabiegu. Powiedziałem, że nie...

— Zrobię, co będzie trzeba. — Antoni skinął kobiecie, a ona powiedziała coś do Freiwalda i lekarza, którzy musieli opuścić pokój.

Antoni zdjął płaszcz i mundur. Podwinął rękawy koszuli, gotowy do działania. Akuszerka badawczo przyjrzała się zabandażowanej przez lekarza ranie na jego przedramieniu, jednak nic nie powiedziała. Potem odsunęła dziewczynę w kąt pokoju, by ta nie patrzyła z bliska na jej zabiegi. Chora była spokojna, jej wzrok błędził po twarzy Antoniego, jakby go nie widziała. Kobieta wyjaśniła, że to po naparze, który podała rodzącej. Dzięki temu miała nie czuć bólu, ale powinna być na tyle przytomna, żeby pomóc przy zabiegu siłą swoich mięśni. Tak przynajmniej przetłumaczyła słowa odbierającej poród stojąca w kącie dziewczyna.

Kobieta kazała Antoniemu podciągać Émilie do pozycji siedzącej. Jego zadaniem miało być podtrzymywanie jej, kiedy akuszerka rozstawiła rodzącą ugięte w kolanach, opuchnięte nogi i usiłowała ułożyć płód we właściwej pozycji. Podolski objął wpół niemal bezwładne ciało, które parzyło przez jasną, wilgotną od potu koszulę, tak bardzo rozgrzała je gorączka. Czuł pod ramieniem miękkie piersi, zaś na barku ociążała głowę. Coś drgnęło w jego pamięci, ale nie miał czasu, żeby się nad tym zastanowić. Mocniej objął kobietę. Szeptala coś niewyraźnie, a on musiał się skupić na tym, czego oczekiwała akuszerka. Trzymał mocno, kiedy spocona z wysiłku Berta naciskała na brzuch generałowej, jednocześnie manipulując między jej nogami. Pacjentka wiła się w bólach, mimo że była ledwie przytomna.

— Wszystko będzie dobrze, Émilie — szeptał uspokajająco i obejmował ją z całej siły. Nie wiedział, kiedy zaczął się kołysać w tył i w przód, ale chyba to pomagało, bo rodząca uspokoiła się, a akuszerka nagle krzyknęła. Dziewczyna podeszła bliżej i popatrzyła pomiędzy nogi żony generała z ciekawością, której nawet nie starała się ukryć.

— Berta trzyma dziecko. Masz z całej siły ją zgiać — wskazała na Émilie — i nacisnąć na jej brzuch. Na znak akuszerki.

Odbierająca poród miała w oczach desperację, kiedy popatrzyła na Antoniego. W odpowiedzi skinął jej głową i pewnie objął umęczone bólem ciało.

— Zaraz będzie po wszystkim — szepnął do ucha rodzącej, która jęknęła cicho.

Wtedy akuszerka uniosła lewą rękę i krzyknęła, a Antoni całym sobą przygniótł brzuch Émilie, w którym coś ustąpiło. Towarzyszył temu jej jakby nagle ucięty krzyk. Bezwładne ciało osunęło się w ramiona Antoniego, który teraz dopiero zauważył, że odbierająca poród zawija coś w gałgany, czemu z fascynacją przygląda się dziewczyna.

— To chłopiec — powiedziała wolno. — Nie żyje.

Antoni oddychał szybko, jakby to on właśnie urodził to martwe dziecko. W głowie mu huczało, gdy z powrotem oparł na sobie wycieńczoną Émilie. Potem ułożył ją na poduszce i okrył rozrzucone nogi, starając się nie przyglądać ubrudzonym brunatną krwią udom.

— Co z nią będzie? — zwrócił się do akuszerki.

— Musi odpoczywać, a my musimy się modlić — przetłumaczyła dziewczyna. — Dziecko było martwe już wcześniej i to ono zatruło jej ciało. Jeśli gorączka spadnie do rana, to pani Treillard przeżyje. Nie krwawi, to dobry znak.

Akuszerka skinęła mu głową i odwróciła się, by umyć zakrwawione ręce w miednicy stojącej na stole, po czym podała zawiniątko Antoniemu. Wciąż siedział przy chorej.

— Ona mówi, że trzeba go pochować. Odmówi za niego modlitwę i radzi też odprawić mszę świętą w tej intencji, żeby dusza nie błąkała się po ziemi. — Dziewczyna przetłumaczyła słowa Berty.

Dziś nie tylko ta dusza miała nie znaleźć ukojenia. Młody żołnierz zdał sobie sprawę, że on sam też jest niespokojnym duchem, który wrócił z zaświatów i nie może zaznać spokoju, póki nie załatwi swoich spraw tu, na ziemi; póki nie dowie się, kim jest i dlaczego wtedy musiał umrzeć, żeby narodzić się na nowo. Co trzymało go na tym padole? Co kazało wracać tam, gdzie umierali ludzie?

Za dwóch spoczywających w jeziorze drabów też nikt nie tylko nie zmówi modlitwy, ale nawet ich nie wspomni. Obiecał sobie przy najbliższej okazji dać na mszę i za ich dusze. Przeżegnał się szybko, bo czekało na niego zadanie do wykonania. Ubrał się, wziął tobolek owinięty w pokrwawione

prześcierała i wyszedł z pokoju, rzucając ostatnie spojrzenie na spokojną teraz twarz Émilie. Wyglądała jak martwa. Dźgnął go strach, że jego wysiłki spełzły na niczym, ale w tej samej chwili generałowa poruszyła się. Jej dłoń przesunęła się po okryciu, a grymas wykrzywił twarz. Antoni odetchnął i wyszedł, ściskając ciepły jeszcze pakunek.

III

Ból i poczucie pustki rozlewało się po ociężałym ciele Émilie. Chciała podnieść powieki, ale brakowało jej siły. Ktoś mówił, jednak nie rozróżniała słów. Coś trzaskało jak płonące polana, pozornie było ciepło i bezpiecznie, aż zachciało jej się spać.

Może lepiej pozostać w stanie zawieszenia — pomyślała. — Nie otwierać oczu, nie patrzeć więcej na ten unurzany w okrucieństwie świat.

Odetchnęła głęboko i z ulgą podryfowała ku nieświadomości, lecz nie dane jej było całkowicie odpłynąć.

— Émilie...

Znała ten głos. Tylko skąd? Próbowała sobie przypomnieć człowieka, który ją wzywał, ale tylko się zmęczyła. Czy miała tu coś, co by ją zatrzymywało?

— *Maman*¹¹ — szeptał teraz dziecięcy głosik.

— Marie — zawołała, ale z jej ust wydobył się chrzęst, jakby miała buzię wypełnioną piachem. Pomyślała, że zakopano ją żywcem i dlatego całe ciało ma bezwładne. Powinna panikować, lecz poczuła jedynie wielką ulgę i odpłynęła.

Kiedy wreszcie otworzyła oczy, kosztowało ją to tyle wysiłku, że nie starczyło już sił, żeby coś powiedzieć. Do uszu docierało rytmiczne sapanie. Wytężyła słuch. W ciemnym pomieszczeniu, oświetlonym jedynie płomieniem świec, nie była sama. Dopiero po kilku minutach zorientowała się, że to ona tak ciężko oddycha. Z wielkim wysiłkiem przesunęła dłonią po przykryciu, pod którym leżała, i natrafiła na coś delikatnego. Włosy. Poglądziła głowę spoczywającą na łożku. Marie, jej córka. Zaraz jednak to złudzenie się rozwiało. Z podłogi podniósł się zaspany mężczyzna, który widać przysnął z głową obok jej ręki.

— Émilie, wróciła pani. — Mężczyzna patrzył na nią z troską w oczach. Znała to spojrzenie. Położył dłoń na jej czole i odetchnął z ulgą. Nie chciała, żeby zabierał rękę. Odruchowo wtuliła w nią twarz.

— Antoni... — wyszeptwała, choć nie była pewna, czy usłyszał jej głos, tak był słaby.

— Gorączka spadła, więc będziesz żyła, pani. — Pochylił się nad nią, a ona bardzo chciała, żeby ją pocałował. Choć zmęczony, z podkrążonymi oczami, z zarostem na twarzy poznaczonej bliznami, wciąż to był on. Antoni.

Zdała sobie nagle sprawę, że jej nie poznał, że nadal zwraca się do niej jak do obcej osoby. W oczach stanęły jej łzy. Co oni mu zrobili, że nie pamiętał? Przesunęła dłonią po pościeli, chcąc je unieść i dotknąć ukochanej twarzy, wciąż jednak była zbyt słaba. Zamarła, kiedy jej ręka trafiła na brzuch. Ciągłe odstający, ciągle krągły, ale pusty. Obrazy wracały jeden po drugim.

— Moje dziecko — jęknęła. — Coście zrobili z moim dzieckiem?

— Chłopiec zmarł, zanim przyszedł na świat. — Antoni usiadł obok niej i chwycił jej dłoń, której nie miała siły wyrwać spod jego palców. — Ważne, że ty, pani, przeżyłaś. Akuszerka uratowała ci życie. Gdyby nie ona...

— Moje dziecko! — zawodziła Émilie. Rozpacz z powodu utraty zagłuszyła strach o siebie, a nawet miłość do córki i do usiłującego pocieszyć ją Antoniego. Przed sobą Émilie miała otchłań, w której pragnęła się rozpląnąć. Słowa Podolskiego odbijały się od cierpiącej i nie trafiały do niej.

— Zabij mnie, Antoni. Jestem morderczynią... — łkała. Straciła najpierw Marie, a teraz to dziecko. Jak przez mgłę dotarły do niej słowa Podolskiego, że to był chłopiec. Sprowadzała nieszczęścia na wszystkich, którzy byli jej bliscy. — Nienawidzę siebie — jęknęła, bo nie miała sił na to, by powiedzieć coś więcej.

— Znasz mnie. Kim jestem? — Czarne oczy wpatrywały się w nią uważnie, jakby Antoni bał się, że coś przeoczy, jeśli ona choćby mrugnie.

— Nie powinno cię tu być. Musisz uciekać. — Zdała sobie sprawę z tego, że nie mówiąc mu całej prawdy, nie wspominając o ich związku, może mu ocalić życie. Skoro jej nie pamiętał, bez żalu odejdzie, a ona w ten sposób uratuje go przed zemstą Charles'a.

— Przed kim mam uciekać?

— Mój mąż. On chce cię zabić. Musisz stąd uciekać — powtórzyła. — Zanim on wróci.

— Dlaczego na mnie poluje?

— Ukradłeś listy cesarza. Jesteś zdrajcą i dezterterem. — Kłamstwa gładko spływały z jej ust.

Tylko tak mogła przekonać go do ucieczki.

Podolski wyprostował się i powiedział do siebie:

— To dlatego tych dwóch chciało mnie rozsiec. Polowali na mnie. Kto jeszcze wie, kim jestem?

— Mój mąż, generał Treillard. Poza mną nikt cię nie rozpozna. Ale on wróci, a wtedy... — Émilie odpływała. Ta rozmowa nadwerżyła jej i tak nadwątlone siły. Jednak Antoni nie ustępował. Chwytał ją za ramiona i potrząsał.

— Wiesz, jak się nazywam.

— Antoni Podolski. Pułkownik — wyszeptła i umilkła. Łzy bezszelestnie spływały jej po policzkach i ginęły w zagłębieniu poduszki. — Nie mogą się dowiedzieć, kim jesteś. Zabiją cię.

— Pułkownik Antoni Podolski — powtórzył jak echo. Jego wzrok ponownie spoczął na Émilie. — Pani strażnicy nie żyją. Napadli na mnie za murami zamku. Bronilem się. Teraz najważniejsze, że pani żyje. Dziecko pochowałem w poświęconej ziemi, choć nie ma grobu. Freiwald zadba o modlitwę za jego duszę.

— Mój synek. — Serce Émilie ścisnęło się z bólu. Przed oczami znowu pojawił się mrok rozpacz, ale głos Antoniego nie dał jej popaść w szaleństwo.

— Wydobrzeje pani. Nie zostawię pani samej.

— Nic nie rozumiesz. On mnie zabije. Jestem trupem jak mój syn. — Chwyliła go za ramię. Mgła ją otulała coraz szczelniej. — Musisz uciekać. Ratuj się, Antoni...

— Nie dam się zabić. — Jego głos dobiegał z oddali. Émilie wyczerpała wszystkie siły i pozwoliła, żeby czerń ją wchłonęła. Ulga — tylko to czuła.

IV

— Do kroćset! Co też ten błazen Poniatowski sobie wyobraża! — Napoleon miotał się po pomieszczeniu, trzymając się blisko kominka, który buchał gorącem. Zwykle na cesarskim obliczu malowało się skupienie, jakby nieustannie rozważał ważne kwestie, ale teraz twarz wykrzywił mu grymas wściekłości. Jego prawa ręka podskakiwała nerwowo w rytmie wyrzucanych przez niego słów, co przypominało dyrygowanie orkiestrą. Jednak zamiast muzyków stał przed nim wyłącznie Talleyrand wysłuchujący w spokoju tyrady wygłaszanej przez swego pana.

— Wydałem mu wyraźne polecenie. To był nakaz, a nie prośba. Do stu diabłów, jak śmiał mi odmówić i to w sposób tak bezczelny, tak... — Cesarz urwał i warknął tylko. Obrócił się do stojącego nieruchomo Talleyranda, który właśnie przybył z Warszawy, przywożąc ze sobą listy, w tym ten, który spowodował atak szału monarchy. — Ja mu grzecznie, żeby oddał dziecko, a on mi, że jest w posiadaniu mojej korespondencji. — Napoleon podszedł do stołu, na którym leżały rozpieczętowane listy, i podniósł jedną z kart ozdobioną przełamana pieczęcią. — Dzięki komu ma moją korespondencję? Dzięki nieudolności jednego z moich ludzi! Otaczają mnie niekompetentni durnie!

Milczący dotąd Talleyrand uniósł brew i chrząknął. Powinien poczuć się dotknięty, ale nie takie rzeczy o nim opowiadano. Gdyby się przejmował wszystkim, co mu zarzucano, a co w większości było prawdą, to musiałby do końca życia nosić wór pokutny i nie wychodzić z kościoła, od którego notabene uwolnił się bez specjalnego żalu¹². Nie miał problemów z łamaniem przysięg, ślubów czy jakichkolwiek obietnic, byle by pozwoliło mu to umocnić swoją pozycję przy aktualnie panującym władcy, o ile rzeczywiście ten rządził i nie zagrażało mu ścięcie. Zdecydowanie zbyt wielu rządzących przeżył, by myśleć o sobie jak o człowieku ograniczonym umysłowo. Dlatego zupełnie nie czuł się jednym z tych durniów, ale cesarz perorował dalej, nie zwracając uwagi na posłańca, który przyniósł owe fatalne wieści.

— Szantażuje mnie! Tak, to jest szantaż! Prymitywny i uwłaczający mojemu majestatowi

szantaż! — Napoleon zerknął na papier, choć Talleyrand był przekonany, że to tylko teatralny gest, bo cesarz znał ów nieszczęsny list na pamięć.

Jaki majestat, taki szacunek — pomyślał Talleyrand. Ostatecznie sam nie miał za grosz szacunku do tego Korsykanina, więc wcale nie dziwił się Poniatowskiemu, w którego żyłach płynęła arystokratyczna krew, a który w dodatku był królewskim bratankiem i podobno nawet naturalnym kandydatem do tronu, gdyby nie wymazano jego kraju z map. Szantaż nie leżał w naturze Talleyranda. Wolał bardziej wyrafinowane metody i dyplomację. Słowa miały dla niego większą moc niż szable, ale sam nie posunąłby się do postawienia sprawy wprost i sprzeciwienia się otwarcie cesarzowi. Musiał przyznać, że książe mu zaimponował.

— On chce, żebym wskrzesił tę ich nieszczęsną Rzeczypospolitą! W przeciwnym razie, uważasz, może upublicznić moje próby pertraktacji z carem! A najgorsze jest to, że siły wojskowe, którymi Poniatowski rozporządza, są nie do pogardzenia.

— I bez nich dalibyśmy radę Rosji, wasza cesarska wysokość — wtrącił przymilnie Talleyrand.

— Owszem. Jednak weź pod uwagę, że za plecami mamy teraz całą tę ich Rzeczypospolitą. Tak! Byłbym idiotą, gdybym robił sobie wrogów gotowych wbić mi nóż w plecy. I Poniatowski dobrze o tym wie.

— Nie byłby taki hardy, gdyby nie czuł za sobą narodu. W tym trzeba mu przyznać rację. Wielu go popiera.

Napoleon stanął przed Talleyrandem, założył rękę za mundur i wbił w swego rozmówcę przenikliwe spojrzenie.

— A ty co byś zrobił na moim miejscu, Talleyrand? Jak byś rozwiązał tę sprawę?

Minister odchrząknął. Owszem, miał plan. Własny, taki sam od lat — trzymać się blisko władzy i nie odsłaniać zbyt gwałtownie gardła, co by ktoś go nie przeciął.

— Wasza miłość ma rację — zaczął cicho, skromnie patrząc w bok — nie warto sobie robić wrogów, zwłaszcza jeśli można od nich coś skorzystać. A raczej ich wykorzystać. Polacy to naród bitny, zdolny do najwyższych poświęceń, czego wasza miłość ma dowody w liczbie werbowanych do armii ochotników. Są tacy, co własne pułki wystawiają, byle tylko im ten kraj albo jego namiastkę stworzyć. — Tu minister zrobił przerwę, licząc, że cesarz zorientuje się, co ma na myśli.

— Namiastkę, powiadasz... — Napoleon pokiwał głową zadumany. — Więc sądzisz, że wystarczy im dać coś, co będzie udawało kraj...

— Ma wasza miłość w tym doświadczenie. Wystarczy księstwko... — Talleyrand dobrze wiedział, że cesarz często praktykował tworzenie takich sztucznych tworów, którymi potem nagradzał swoich zauszników i najdzielniejszych generałów, robiąc z nich udzielnych władców, żeby ci puszyli się bez opamiętania. Minister nie pochwalał tego, ale tym razem mogło to zdać egzamin i zamknąć usta krnąbrnemu narodowi.

— Księstwko... — powtórzył jak echo Napoleon i Talleyrand wiedział, że jego słowa trafiły na podatny grunt.

— To naród żołnierzy, bohaterów, ale podzielony niesnaskami. Wszystko to nic nie daje, póki nie mają przywódcy, najlepiej innej narodowości. Sam niech wasza miłość zobaczy. Wystarczy nad nimi postawić francuskiego generała, a zaraz nowy duch w nich wstępuje i gotowi są życie oddać dla sprawy. Swojego króla nie umieli uszanować. Wolą, by rządili nimi obcy. Więc dajmy im obcego.

— Obcego... — Monarcha znowu pokiwał głową.

— Znajdzie się na pewno jakiś zależny od nas książe. Ktoś zbyt słaby, by ich poprowadzić przeciwko nam, ale wystarczająco silny, by być ich królem. Dostaną, czego żądają, tylko musimy wygrać tę wojnę.

— Tak! Czy my kiedykolwiek przegraliśmy, Talleyrand? — Napoleon wyglądał, jakby się przebudził z głębokiego snu.

— Nigdy, wasza cesarska wysokość. — Minister skłonił głowę, choć zbyt wielu widział niezwykniętych, na których w końcu też przyszedł kres. Problemem takich jak Korsykanin, zachłannych, zadufanych w sobie prostaków, było to, że stawali się pod wpływem władzy zbyt dumni, zbyt pyszni, by zatrzymać się, póki nie przegrali pierwszej bitwy, póki trwała ich dobra passa. Potem ich

głowy spadały tak samo lekko jak tych, których oni musieli zrzucić z piedestału, by dopaść tronu. Ale tego już cesarzowi nie powiedział.

Talleyrand miał bowiem tę rzadką umiejętność lawirowania w kręgach władzy i dostrzegania w porę objawów zbliżającej się katastrofy. Umiał też bezbłędnie wskazać tego, do kogo warto się przyłączyć; kto tylko czekał, by wskoczyć na miejsce swego poprzednika. Owszem, czasem musiał nieco pomóc, zmotywować biedaka, by wyciągnął rękę po to, czego pragnął, jednak nigdy przy tym nie narażał się nikomu. Śliski jak wąż, sprytny, czujny i przewidujący, niemal całe życie utrzymywał się niczym pijawka tam, gdzie wielu wytrzymało najwyżej kilka lat. Lubił o sobie myśleć jak o wiernym psie, którego jedynym panem jest władza. Wbrew temu, co sądzili rządzący, to on w swych dłoniach dzierżył ster okrętu zwanego Francją, którym przez większość życia kierował tam, dokąd pragnął. Tak będzie i tym razem.

V

Dzień był ciepły, pachnący wiosną i nadzieją, zwłaszcza dla Śniegockiego, który gnał do Warszawy na złamanie karku. Nie oglądał się na swoich ludzi, których zabrał ze sobą dla ochrony, bo życie mu teraz było drogie. Zresztą nigdy nie lubił ryzykować nadmiernie. No chyba że jakieś korzyści za tym szły. W sumie patent pułkownika trafił mu się dzięki temu, że Antoni wysforował się w walce i pognął ratować generała. Gdyby nie chęć pomocy przyjacielowi, Michał pewnie nie wsławiłby się zanadto. Bo tylko dla przyjaciół mógł zrobić wszystko, nawet życie poświęcić. A co dopiero dla ukochanej, słodkiej Krysi, której pocałunek wciąż czuł na swych wargach.

Rozpierało go szczęście tak potężne, tak wszechogarniające, że gdyby mógł, to oderwałby się od ziemi i pofrunął wysoko, najlepiej z powrotem do Podolan. Chociaż właściwie kierunek chwilowo był mu obojętny. Byle nie trwać w bezczynności, byle pędzić i wrzeszczeć na całe gardło o swym szczęściu, byle śmiać się do słońca, co zresztą robił w miejscach mniej uczęszczanych przez ludzi, w obawie, żeby mu piersi nie rozsądziło z emocji.

Krysią przyjęła go i obiecała na niego czekać. Czy w tej sytuacji nadal obowiązywały go śluby czystości? Śniegockiemu w jednym momencie odechciało się śpiewów i śmiechu. No bo z jednej strony dziewczyna ozdrowiała była, ale z drugiej przyrzekł jej... No właśnie. Niczego jej nie przyrzekał. Jak na złość przed oczami stanął mu obfity biust tej służebnej dziewczki ze dworu.

— O, do czarta! — warknął sam do siebie. — Diabeł nie śpi i daj no mu tylko sposobność, uchyl drzwiczki, a ten już cię ma w swoich szponach. Niedoczekanie! — Popatrzył w niebo i pospieszył konia do galopu, bo widać ten też zamyślił się jak i jego właściciel.

Kiedy Śniegocki dotarł do Warszawy, tak był wyczerpany, a gardło od krzyku tak miał zdarte, że ledwie mógł mówić. W mieście niewiele się zmieniło, choć z wiosną cieplejszy wiatr z zachodu przywiał nieco optymizmu i wiary może nie w jakieś wielkie zmiany, ale przynajmniej w lepsze jutro. Mimo że przez chwilę rezydował w mieście sam cesarz Napoleon, nadal uderzało w oczy ubóstwo objawiające się w opuszczonych domach na przedmieściach, w sypiących się kamienicach w centrum, które zamieszkiwało towarzystwo podejrzanego autoramentu, rzadko mówiące po polsku, w tonących w błocie, słabo oświetlonych wieczorami ulicach. Żaden entuzjizm ani nawet pozory przepychu, tak kochanego przez arystokrację, nie były w stanie przykryć upadku niegdysiejszej stolicy. Upadku nie tylko fizycznego, objawiającego się w powolnym, ale niepowstrzymanym popadaniu w ruinę niegdys pyszniące się ponad inne miasta zabudowy, ale przede wszystkim upadku moralnego.

Jak łatwo było tu się stoczyć, Śniegocki wiedział aż za dobrze. Za każdym zakrętem czekał przybytek, w którym można było zatracić się w rozpuście. Ba, nawet wydawałoby się, że szanowane rodziny nie stanowiły ostoi obyczajności. Na porządku dziennym były romanse, a kobiety same szukały towarzystwa takich jak on i Antoni kawalerów. Te z dobrych domów przynajmniej były zadbane, pachnące i nie wymagały płacenia za swe usługi.

Śniegocki zatrzymał konia przed kamienicą, w której mieszkał Antoni. Podejrzewał, że to byłoby zbyt łatwe, żeby przyjaciel wciąż tu pozostawał, ale zazwyczaj najciemniej jest pod latarnią. Dla formalności zapukał do drzwi mieszkania, a kiedy nikt mu nie otworzył, odbył krótką rozmowę z prowadzącym wynajem mężczyzną, który usiłował wyglądać na zamożniejszego, niż był

w rzeczywistości. Zdradzał go niezbyt modny i niezbyt czysty strój, ale też lisie spojrzenie, uważnie taksujące rozmówcę. Była w jego zachowaniu pewna służalczość charakterystyczna dla oszustów. Objawiała się ona ciągłym pozostawianiem jakby w ukłonie i nadmiernym, ugrzecznionym tytułowaniem. A do tego nieszczerym uśmiechem przyklepionym do wydatnych, nieogolonych policzków.

— Panicza Podolskiego nie było od czasu, gdy stąd wyjechał któregoś wieczora.

Z Antoniego taki był panicz jak z koziego zadu dzwon. Śniegocki zbył machnięciem ręki tę próbę przypodobania się. Interesowały go wyłącznie konkrety, które mogły przybliżyć go do odnalezienia przyjaciela.

— Czy bywał tu z kimś, zanim zniknął?

Mężczyzna cmoknął, a pomiędzy wargami pokazały się poczerńiałe zęby. Już sam jego lubieżny uśmiech wystarczył Michałowi za odpowiedź.

— Z pamięcią u mnie krucho. Zimno ostatnio, chorowałem dużo... — zaczął kręcić rozmówca.

Śniegocki szybko pojął aluzję i wyjął z cichym stęknięciem pieniądze, które był dostał od ojca Antoniego na wypadek wyniknięcia ewentualnych wydatków. Wysupłał kilka monet i wsunął je w tłustą dłoń mężczyzny, a ten odchrząknął i podrapał się po głowie.

— Była u niego piękna pani. Znać, że nie biedna, bo dobrze ubrana i niczego sobie — zarechotał.

— Ciemne włosy, wiotka i tego wzrostu? — Śniegocki dotknął dłonią swojego ucha, bo zapamiętał, że ta Francuzka, co ją zastali we dworze, była mniej więcej taka. — Smutna trochę jakby...

— To się zgadza — wszedł mu w słowo mężczyzna, marszcząc brwi. — Smutna, a raz nawet zapłakaną ją widziałem.

— W coś ty się wpakował, Antoni? — mruknął do siebie Śniegocki, niemal pewny, że kłopoty przyjaciela związane były z kobietą, którą Podolski miał dostarczyć do Warszawy. Widać w drodze musiało się stać coś, co ich ze sobą związało.

— Zostawała tu na noc? — drążył, by zebrać jak najwięcej informacji.

— O tak! Raz nawet chyba z jakowego balu panicz Antoni ją przywiózł był, bo wystrojona była jak księżniczka jaka.

— Od kiedy go odwiedzała?

— Noo, jak tylko pokazał się tutaj. Po tygodniu może.

— A on na noc zawsze wracał?

— Nieee. A potem zniknął na dobre.

— Potem, to znaczy kiedy?

— Będzie pod koniec stycznia.

Michał, dosiadając konia i kierując się do swego mieszkania, zastanawiał się, gdzie przez cały luty mieszkał Antoni. Rozkaz został podpisany w marcu, więc w tym czasie musiało się stać coś, co ściągnęło na niego gniew samego cesarza. Nadeszła pora, by odświeżyć swe kontakty i dowiedzieć się, co go ominęło, kiedy trwoniał czas na wygrzewanie się w Podolanach. Najpierw jednak pojechał do niezbyt sztywnego przybytku na obrzeżach miasta, który stanowił jego mieszkanie.

Nie bez nostalgii odstawił konia i wszedł do ponurego budynku. Będzie musiał opuścić ostatecznie to lokum, jak tylko pozalutnia tu wszystkie sprawy i znajdzie jakikolwiek trop wiodący do Podolskiego. Nie mógł tu przywieźć Krysi. Na nic lepszego nie było go dotąd stać, a i nigdy za bardzo nie trzymały się go pieniądze. Kiedy tylko jaki grosz był wpadł, Śniegocki lubił zadać sztyku. Ale bywało też tak, że żył na łasce bogatszego od niego Antoniego, za którym stał rodzinny majątek Podolskich. Michał miał tylko trochę ziemi i sypiący się dwór po rodzicach, którzy odumarli go młodo. Zbyt młodo, by zdążyć go wychować jako tako, ale wystarczająco późno, by zaszczerpić w nim wiarę w łaskawego Boga słuchającego próśb takich jak Śniegocki zbłąkanych duszyczek. Tej wierze i Bogu Michał przypisywał swoje niebywałe szczęście do kobiet i do pieniędzy, których nie miał, jednak ciągle żył i z głodu nie umierał.

Już w Podolanach umyślił to sobie tak, że przestanie trwonąć pieniądze. A kiedy skończy się ta cała wojna, wróci do Śniegowic i rozliczy hultaja zarządcę. Potem go wywali na zbity pysk, bo od dawna podejrzewał, że ten szczywany lisek go oszukuje, i na koniec weźmie się za porządki. Po cichu liczył też

na posag Krysi, choć wzięłby ją i bez posagu. No ale skoro już mógł co skorzystać, to głupotą byłoby udawać, że nie obchodzi go pieniądze. Wierzył ponadto, że stary Podolski nie dałby córki skrzywdzić, więc w razie potrzeby pożyczyc trochę grosza. Czasy ciężkie były. Nasłuchał się w Podolanach o ściąganych najpierw przez Prusaków podatkach, a potem o powinnościach, których Napoleon dokładał coraz więcej, by wykarmić swoją armię. Podobno księżę Poniatowski też wydał jakoweś dekrety, co wiązało się z dodatkowymi ciężarami.

Michał uśmiechnął się do siebie na samo wspomnienie Krysi. Czy to możliwe, że już za nią zatęsknił? Mógłby tylko patrzeć na nią i to by wystarczyło. Była jak Najświętsza Panienka — czysta i bez grzechu. Piękna, niewinna, nierzeczywista. A te jej usteczka tak słodkie, to jej ciało drobne...

— Śniegocki, jesteś waść świnia — sapnął sam do siebie, wspinając się po schodach niemal po omacku. Splunął ze złością i otworzył drzwi pokoju. Krysia nie zasługiwała na to, by w taki sposób o niej myśleć.

— Panicz Śniegocki wrócił do nas — rozległ się w mroku korytarza chrapliwy głos, w którym Michał rozpoznał tę starą, chciwą wiedźmę wynajmującą mu pokój.

— Czego się Marianka tak czai po kątach i ludzi straszy? — warknął, próbując się uspokoić. Serce mu dudniło z przestachu. Lękliwy nie był, jednakowoż Marianka i jej chłop, co go Giemza zwali, mogli w ciemnym zaułku o atak serca przyprowadzić z samego tylko wyglądu. Na szczęście woń, która znacznie ich wyprzedzała, nakazywała omijać ich szerokim łukiem, żeby nie omdleć.

Kobieta odpowiedziała mu rechosem, który przeszedł w suchy kaszel. Michał wzdrygnął się ze wstrętem, gdy odrzuciła flegmę i splunęła. Za chwilę wynurzyła się z ciemności jak zły duch i stanęła w słabym świetle padającym z otwartych drzwi zajmowanego przez niego pokoju. Wyglądała jeszcze gorzej niż ostatnio. Poszarzała twarz przeoraną zmarszczkami, w których zebrał się brud, wykrzywiła grymas chciwości.

— Cieszę się, że panicz w jednym kawałku wrócił, bo to tera czasy niepewne. A pokój by stał i człowiek by nic nie wiedział i piniądz tracił...

— Marianka krzywdy nie ma. Z góry było opłacone na dwa miesiące — rzucił Michał i już miał zamiar zatrzaskać wiedźmie drzwi przed nosem, kiedy ona postąpiła krok naprzód.

— Bogu dziękować, że opłacone było, bo kompan waszmości niezłego tu bałaganu narobił, a potem zniknął niewdzięcznik. My koszty ponieśli, pielęgnowali go...

Śniegocki zdębiał.

— Antoni Podolski tu był?

— A jakże. Przyprowadził kobitę, choć inaczej nazywa się takie — prychnęła Marianka, jakby sama była nieposzlakowanej opinii. — Potem się dziwić, że te zbiry tu wpadły, drzwi wyważyły i połamały wszystkie graty, jak ona od męża uciekła.

Śniegocki popatrzył na framugi z wyrwanymi zawiasami, które ktoś nieudolnie zamontował w nowym miejscu, i rozejrzał się po pokoju. Stół był równie niezdarnie naprawiony, a krzesło zastąpiono stołkiem. Z każdym słowem Marianki Michał miał w głowie coraz większy mętlik. Zazdrosny mąż? Zbiry? Jaki w tym wszystkim miała udział Francuzka? I dlaczego Antoni zebrał za to cięgi?

Marianka przestąpiła z nogi na nogę. Wyraźnie chciała mówić, a to oznaczało tylko jedno. Oczekiwała pieniędzy. Inaczej nie traciłaby czasu na stanie w korytarzu i snucie opowieści o tym, co wydarzyło się pod nieobecność Śniegockiego.

— Psiakrew — zaklął pod nosem Michał, niezbyt skory do rozstawiania się z groszem. — Niechże Marianka wejdzie i opowie mi wszystko, co tu się działo — powiedział.

Kobieta wyszczerzyła w uśmiechu zepsute zęby, a Śniegockiemu przypomniał się ostatni posiłek, domagający się powrotu z głębi wnętrzości.

— Słodki Jezu, zlituj się — pomodlił się krótko z obawy, coby nie stracić wzroku od patrzenia na tę babę albo od smrodu, który roztaczała z każdym gwałtowniejszym ruchem.

Kiedy wreszcie wycisnął z niej wszystkie informacje i z wielką ulgą zamknął za nią drzwi, poczochrał włosy i doszedł do wniosku, że jest gorzej, niż myślał. W izbie wciąż unosiła się ciężka woń niemytego ciała, jednak do niej przywykł na tyle, że nie było mu już niedobrze.

— No to jestem w czarnej dupie — warknął. — Nie dość, że dopadł go generał, nie dość, że

wydali na niego wyrok, to jeszcze stracił pamięć i szukaj wiatru w polu. Podolski, masz talent do wdeptywania w łajno. Przez ciebie i ja mam zasrane. Chyba że...

Michał pomyślał, że Antoni mógł symulować utratę pamięci. Inaczej nie wykręciłby się od zapłaty Mariance za opiekę. Tylko że wtedy dałby znać, gdzie się ukrywa. Chyba że wolał nie ryzykować i nie zdradzać nikomu, dokąd zmierza. Jeśli nie wiedział, kim jest, było tylko gorzej, bo nie miał świadomości, co mu grozi. Póki jednak nie spotkał kogoś, kto go rozpozna, była szansa na uratowanie go. Najistotniejsza informacja i tak wypłynęła na sam koniec rozmowy z babą. Marianka co prawda nie miała pojęcia, dokąd udał się Antoni, jednak podsłuchiwała Treillarda, bo z opisu wynikało, że to on przyjechał po niewierną żonę. Tym bardziej wszystko to było dziwne. Dlaczego ta Francuzka ukrywała swoją tożsamość, skoro była żoną generała? Mąż ją zabrał i, według Marianki, skierowali się do Pułtusza, a przynajmniej takie wydawał dyspozycje swoim ludziom. Jeżeli Antoniemu zależało na generałowej na tyle, by jej pomagać i się z nią ukrywać przed mężem, to najpewniej ruszył w tę samą stronę, gdy tylko doszedł do siebie.

Dlatego nie zastanawiając się dłużej, Śniegocki postanowił pojechać nazajutrz do Pułtusza.

ROZDZIAŁ VI

I

Ciało Émilie zdrowiało jakby bez udziału jej woli. Dbała o to nie tylko Charlotte Freiwald, ale i akuszerka, która pojawiła się dwa dni po porodzie, by sprawdzić, jak się czuje jej podopieczna. Nawet lekarz przyprawiony przez Podolskiego wreszcie wytrzeźwiał i też wtrącił swoje trzy grosze. Zalecił poić chorą winem i dobrze odżywiać. Jednak na życiu Émilie najbardziej zależało Antoniemu, a przynajmniej tak to wyglądało, bo odwiedzał ją codziennie. Wtedy wszystko w niej odżywało. Stała się dla niego źródłem wiedzy o tym, kim był. O rodzinie i Podolanach, o których opowiadała mu długo i chętnie, przedłużając tym samym chwile spędzane w jego towarzystwie. Zastanawiała się, co było gorsze. Tęsknić za nim, wiedząc, że nigdy go nie spotka? Czy może mieć go obok i nie móc nawet dotknąć?

Straciła go. Wiedziała o tym aż za dobrze. Obserwowała, jak wodzi wzrokiem za piękną Anną i nie mogła... Nie chciała nic zrobić. Straciła córkę, teraz syna i wreszcie jedynego mężczyznę, którego tak bardzo kochała, że gotowa była poświęcić swą miłość, byle go ratować. Gotowa była milczeć, byle wyjechał póki czas.

Jeśli mam patrzeć, jak zakochuje się w innej, niech i tak będzie. Byle stąd uszedł żywy — powtarzała w myślach i wpatrywała się w ukochaną twarz. Dotykała spojrzeniem nieco przydługich ciemnych włosów, zwichrzonych nad czołem, silnych dłoni o mocnych palcach, wpatrywała się w piękne czarne oczy, w których tlił się żar.

Dziś też przyszedł niby zapytać o jej zdrowie, ale widziała, że czeka na Annę, a ta jakby wyczuwała to zainteresowanie mężczyzny, bo zawsze pojawiała się po kilku minutach pod pozorem podania czegoś chorej. Jednak póki dziewczyna się nie zjawiała i byli tylko w towarzystwie niczego nierozumiejącej Charlotte, Émilie udawała sama przed sobą, że jest jak dawniej.

— Wygląda pani dziś o wiele lepiej — stwierdził Antoni, otaksowawszy wzrokiem jej ciało okryte pościelą, a ona spłonęła rumieńcem, jakby leżała przed nim naga.

— To dzięki dobrej opiece. Poza tym mogłam wreszcie wstać z łóżka. Kąpiel też potrafi czynić cuda. — Zarumieniła się znowu. Przecież był teraz obcym mężczyzną.

— Jeśli czego trzeba pani... — zaczął i urwał.

Czarne oczy zdawały się ją przewiercać na wylot. Tak chciała, by choć raz wypowiedział jej imię, by rozlało się w niej to znajome ciepło czułości. Antoni popatrzył jednak w bok i odchrząknął.

— Mogę z miasta przynieść co potrzeba.

— Monsieur Freiwald i jego rodzina dbają o mnie i niczego mi nie brakuje.

Poza tobą, najdroższy — dodała w myślach, za to na głos powiedziała coś zupełnie innego:

— Antoni, prosiłam, by pan uchodził. Mój mąż lada dzień wróci, a pan jest zbiegiem. Nierozpoznanym jeszcze, ale to się zmieni... — Kolejny raz próbowała przekonać go, jak wielkie niebezpieczeństwo mu grozi. — To szalenciec. Już raz zostawił pana prawie nieżywego. Proszę nie dać się zabić. Błagam... Czekają na pana rodzina w Podolanach. Siostra...

— Dość! — Antoni poderwał się z krzesła, aż siedząca dotąd w kącie Charlotte drgnęła nerwowo. — Mówiłem już pani, że nie obawiam się generała, choćby okazał się samym diablem.

— Niechże pan nie bluźni — szepnęła.

— Jestem żołnierzem. Stawię czoła temu, kto mnie oskarża o kradzież i dezercję. Wyjaśnię wszystko, a jeśli będzie trzeba, pójdę do samego cesarza...

— To cesarz wydał na pana wyrok — przerwała mu i wychyliła się w jego stronę, jakby chciała nim potrząsnąć. Chwyciła go za dłoń, czego natychmiast pożałowała. Chciała cofnąć rękę, ale przytrzymał jej palce. — Opowiedziałam panu wszystko, co wiem na temat pana rodziny. Nie ma już powodu, by ryzykować i pozostawać w Osterode.

— Myli się pani. Jest powód. — Patrzył na nią z góry i przez chwilę miała wrażenie, że zaraz powie, że ona jest jedynym powodem, że chwyci ją i już nie puści. — Zamierzam wyjaśnić, kto oskarżył mnie o kradzież korespondencji, a w dalszej kolejności wrócić do swoich podkomendnych —

powiedział i uwolnił jej palce. — Nie jestem żadnym dezterem. Nawet nie pamiętając, kim jestem, pierwsze kroki skierowałem do koszar. Mam na to świadków — zakończył dobitnie i zacisnął dłoń. Pociemniałe od gniewu oczy znowu patrzyły prosto na Émilie, która z rozpaczy zakryła twarz rękoma.

Łóżko obok niej ugięło się. Odsłoniła twarz i spojrzała na Antoniego. Przysiadł obok i westchnął ciężko.

— Nie zostawię pani samej. Mówiła pani, że boi się męża...

— Ja jestem stracona, ale pan... Pan może się uratować. Błagam...

— Straciła pani dziecko. Potrzebuje pani opieki, madame Treillard.

— I mam ją.

— Jeśli myśli pani o Freiwaldach, to nie liczyłbym na nich. — Zniżył głos, jakby Charlotte, wyszywająca w kącie, mogła cokolwiek zrozumieć. — Niewiele wskórają, gdy przyjdzie im stawić czoła francuskiemu generałowi.

Émilie opuściła wzrok na okrycie, które bezwiednie zaczęła szarpać za brzeg. Nie miała zamiaru od razu zdradzać Charles'owi, że straciła dziecko. Jej brzuch wciąż był dość duży i z powodzeniem oraz drobną pomocą Freiwaldów mogła udawać ciążę do czasu, aż nadarzy się sposobność, by uciec. O ile przed przyjazdem do Osterode straciła resztki nadziei na poprawę swego losu, o tyle teraz, kiedy została jej tylko Marie, musiała o nią zawalczyć. Choć było to okrutne, to śmierć jednego potomka mogła pomóc drugiemu. Émilie już nie była ociążała, już nie musiała uważać na siebie ani dziecko, a pozostając w zamku, ryzykowała życie. Charles zabije ją, co jej przecież obiecywał. W najlepszym razie zrobi wszystko, by cierpiała. Musiała jednak zyskać na czasie i wyzdrowieć. Pogodzić się ze stratą dziecka.

Nie wtajemniczyła Antoniego w swój plan. Nie mogła. Wiedziała, że najprościej byłoby uciec razem z nim. Zwłaszcza że jej strażnicy nie żyli. Ale naraziłaby życzliwych Freiwaldów na okrutną zemstę Charles'a, gdyby nie zastał jej po powrocie w zamku. Dość już trupów zostawiła na swojej drodze.

— Wciąż jestem jego żoną, a pan dezterem.

— Ile razy mam powtarzać...

Antoni nie dokończył, bo przerwało mu pukanie do drzwi. Zaraz potem do pomieszczenia weszła Anna i w oczach Antoniego na moment pojawił się ciepły błysk. Dziewczyna odstawiła tacę, na której przyniosła posiłek, i przywitała się, zgrabnie przy tym dygając i rumieniąc się uroczo. Émilie pociemniało przed oczami. Oparła się o poduszki i przymknęła powieki. Nie mogła patrzeć na ten taniec, który rozpoczynał się pomiędzy Antonim a tą dziewczyną. Na wymianę uśmiechów, grzeczności i komplementów. Podolski był w tym mistrzem. Potrafił oczarować każdą kobietę, a może tylko tak zdawało się szaleńczo zakochanej w nim Émilie. Z dwojga złego wołała, by oboje wyszli. Potrzebowała go teraz bardziej niż kiedykolwiek. Jego bezpiecznych ramion, które mogłyby ukoić ból po stracie dziecka. Dlatego patrzeć, jak mizdzy się do Anny, okazało się ponad jej siły.

— Madame Treillard wraca szybko do zdrowia — zaszcebiotała Anna.

— To zasługa dobrej opieki. — Antoni skłonił głowę. — Proszę podziękować siostrze i jej mężowi w moim imieniu.

Dziewczynie błyszczały oczy, ale nie zdążyła nic odpowiedzieć, bo drzwi uchyliły się i do wnętrza wśliznęła się mały Freiwald.

— Mutti... — pisnął i podbiegł do Charlotte, która przygarnęła go do siebie i z wyrzutem popatrzyła na Annę. Powiedziała coś do dziewczyny karcącym tonem, patrząc przy tym na Antoniego. Przekaz był nadto jasny. Nie trzeba było znać niemieckiego.

Być może Émilie powinna była poczuć satysfakcję, że Anna naraziła się siostrze, bo widać odpowiadała za opiekę nad chłopcem, jednak widok dziecka ufnie wtulonego w matczyne ciało obudził w generałowej jeszcze świeżą rozpacz. Wielkie, gorące łzy wypłynęły spod zaciśniętych powiek. Im mocniej próbowała się powstrzymać od płaczu, tym szybciej łzy skapywały na okrycie. Nie pomagało odpychanie myśli o tym, że ona nigdy nie utuli swego synka, nigdy nie otrze mu łez i nie będzie patrzeć, jak on rośnie. Przez moment cała była bólem. W uszach jej dudniło, brakowało tchu, tak mocno starała się stłumić szloch, ale w końcu wydostał się na powierzchnię.

— Co się dzieje, madame Treillard? — Głos Antoniego dobiegał jak zza ściany.

Émilie pokręciła tylko głową. Chciała mu odpowiedzieć, ale nie mogła wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Jej spojrzenie powędrowało ku Charlotte, która obejmowała syna. Podolski zerknął w tamtą stronę i umilkł. Przysiadł bliżej Émilie i tym razem to on chwycił jej dłoń. Ciepło palców mężczyzny wypełniło ją spokojem. Jeśli chciała przetrwać, musiała wziąć się w garść, ale stroskane spojrzenie Antoniego nie ułatwiało sprawy. Patrzyła mu więc w oczy i pozwalala łzom płynąć.

— Wszystko będzie dobrze, madame — szepnęła i dotknął jej wilgotnego policzka.

Przez jedną krótką chwilę miała wrażenie, że w pomieszczeniu są tylko oni dwoje, że rozmawia z dawnym Antonim, który ją zna, pamięta i kocha. Wtedy Anna odchrząknęła, palce mężczyzny ześlizgnęły się z mokrej twarzy Émilie, a jego wzrok powędrował do dziewczyny. Antoni wstał, żeby się pożegnać.

— Krótka była pańska wizyta. Proszę następnym razem zostać na obiedzie — zaszczebiotała Anna.

— Nie chcę sprawiać kłopotu. Już dość, że ciągle tu przychodzę. A i w koszarach nie chcę się zbyt narażać.

— Żaden to dla nas kłopot. Odprowadzę pana. Wracam do swoich obowiązków — powiedziała dziewczyna i dodała jeszcze coś po niemiecku, zwracając się tym razem do siostry. Zapewne tłumaczyła jej, dokąd idzie.

Charlotte nie była widać zadowolona, że Anna chce wyjść razem z żołnierzem, dlatego fuknęła, podniosła się i chwyciwszy syna za rękę, ruszyła do drzwi. Émilie otarła łzy i westchnęła.

— Proszę zjeść posiłek. — Anna, zanim wyszła, postawiła tacę z jedzeniem na kolanach Émilie.

Chora uśmiechnęła się do dziewczyny z wdzięcznością. Anna odpowiedziała jej lodowatym spojrzeniem, a zaciśnięte usta, choć nie wyrzekły słowa, wymownie świadczyły o tym, że dziewczyna zobaczyła w kobiecie rywalkę. Émilie w jednej chwili straciła apetyt.

II

Dni mijały szybciej, niż Antoni by sobie tego życzył. Zbyt wiele pytań jeszcze go dręczyło, lecz nie mógł ciągle przesiadywać w zamkowym pokoju, przy łóżku żony generała. Choć zasłona okrywająca jego przeszłość podniosła się odrobinę, to wciąż miał poczucie, że kryło się tam coś jeszcze. A może chodziło o kogoś? Od Émilie Treillard dowiedział się, że ma rodzinę i że bardzo kocha swoją siostrę, więc mogło chodzić o nią.

— Czy moja siostra ma błękitne oczy? — Tknięty nagłą myślą zwrócił się do Émilie w czasie jednej z wizyt na zamku.

— Niece — odparła z wahaniem. — Jej oczy są podobne do pana oczu, Antoni. Ciemne i głębokie, jakby sięgały dna duszy. Przypomina pan sobie kogoś? — Przyjrzała mu się z uwagą.

No właśnie. Nadal niczego nie pamiętał. Tylko te oczy błagalnie w niego wpatrzone, jakby chciały mu coś przekazać. Jednak kiedy Émilie opowiadała mu o Podolanach, niemal widział to miejsce i wydawało mu się, że lada moment mgła spowijająca jego myśli opadnie i wyłoni się z niej prawdziwy obraz domu, nie ten, który sobie wyobrażał.

Antoni za dnia spędzał czas w koszarach. Na szczęście popołudniami mógł się wymykać kompanom i chodzić do zamku. Tłumaczył sobie, że odwiedza Émilie, bo chce poznać każdy szczegół, który zapamiętała. Jednak mimo choroby, widocznego na jej twarzy smutku, lub może właśnie dlatego, wydawała mu się piękna i nierzeczywista z tą swoją bladą cerą, smutnym uśmiechem i ciemnymi lokami spletanymi w luźny warkocz, a przez to zbyt odległa.

Ciągnęło go do Émilie. Czuł się z nią związany od momentu, gdy spotkał ją przypadkiem na ulicy, a potem obejmował ją i pomagał jej rodzic. Przez chwilę zastanawiał się nawet, czy sam nie miał żony i czy to nie o niej snił. Jednak generałowa twierdziła, że wciąż był kawalerem. Nie miała powodów, by oszukiwać go w tej kwestii.

O wiele bardziej przystępna i najwyraźniej nim zainteresowana była Anna, bo tak się do niej zwracał zarządca zamku. Musiał się też zorientować, że jego podopieczna, gdyby tylko mogła, sama wskoczyłaby Antoniemu do łóżka. Freiwald robił więc wszystko, by młodzi nie spotkali się, kiedy Antoni przychodził do żony generała. Jednak sprytna dziewczyna umiała pod byle pretekstem pojawić

się w pokoju Francuzki. Anna była przeciwieństwem Émilie. Przyciągała Podolskiego świeżością, delikatną urodą oraz uroczym rumieńcem, który wykwitał na jej krągłych policzkach, ilekroć na nią spojrzał. Gdyby tak bardzo nie zaprzętała go przeszłość, mógłby zmienić swą przyszłość. Na to jednak przyjdzie jeszcze czas. Wiedział już, kim jest i nie wierzył, że mógł być zdrajcą. Pozostało mu tylko wyjaśnić rzecz z generałem Treillardem. Owszem, Émilie ostrzegała Antoniego przed swoim mężem, ale ostatecznie Podolski był jego podkomendnym. Przecież generał nie zabije go bez sądu, bez wyjaśnienia, w czym rzecz. Dlatego też ponownie odwiedził jego żonę. Widocznie czuła się dobrze, bo spacerowała po dziedzińcu. Ubrana była w ciepły kubrak, mimo że słońce całkiem przyjemnie grzało. Przywitała go swoim smutnym uśmiechem. Jej twarz nie była już niezdrowo opuchnięta, ale ciało pozostało lekko zaokrąglone.

— Nadal pan tu wraca, Antoni. — Objęła się ramionami, jakby chciała uciec przed spojrzeniem ślizgającym się po jej ciele.

— A pani wciąż chce, bym uciekał. Czy to nie kolejny dowód na to, że dezercja nie leży w mojej naturze? — Stał obok niej. Patrzyli obydwójce na krzątającą się po zamkowym podwórzu służbę oraz żołnierzy pilnujących cesarskiej kwatery. Któryś zaśmiał się głośno, co wzbudziło niepokój przemykających do kuchni służących. Z lękiem obejrzały się za siebie i przyspieszyły kroku, żeby czym prędzej zejść z oczu mężczyznom.

— Nie sądzę, by ktokolwiek z ludzi odkrył prawdę o samym sobie na tyle, by z całą stanowczością stwierdzać, co leży, a co nie leży w jego naturze. Poznajemy się wtedy, gdy przychodzi nam mierzyć się z przeciwnościami losu i doprawdy zdziwiłby się pan, do czego zdolny jest człowiek, gdy w grę wchodzi uczucia czy, nie daj Boże, zemsta.

— Czyżby mówiła pani o swoim mężu? Za co miałby się na mnie mścić? — zaczynała go intrygować. Może i oskarżono go o kradzież listów, ale czy z tego powodu Treillard miałby go osobiście ścigać?

— Mówię o każdym z nas — zbyła jego pytanie. — Póki nie stanimy twarzą w twarz z niebezpieczeństwem, ze stratą, z miłością... — głos jej ledwie wyczuwalnie zadrżał — ...nie dowiemy się, na co nas stać.

Antoni wyprostował się, popatrzył w oczy kobiety i zaniemówił. W blasku słońca ich błękit przypominał wiosenne niebo.

— Niech pan wyjedzie — powiedziała z błaganiem w głosie. Znał to proszące spojrzenie.

— To ty — wydusił z siebie Antoni i zrobił krok w jej stronę, ale ona wycofała się szybko.

— Nie wiem, o czym pan mówi... — próbowała się bronić.

Chwycił ją za ramiona.

— Ty jesteś kobietą z moich snów. Nie moja siostra, nie matka. To ty, Émilie. — W skroniach coś mu zgrzytnęło, a po chwili zaczęło rytmicznie łupać. Puścił ją i złapał się za głowę.

— Antoni, co się dzieje? — Głos kobiety dobiegał z daleka.

Obrazy bombardowały jego mózg, jakby wszystko chciało mu się przypomnieć w jednym momencie. Podolany, matka, kobiety, dużo kobiet, ale nade wszystko ta jedna z jego snów. Zaciśnął powieki, żeby powstrzymać ilość bodźców. Musiał się oprzeć o ścianę, bo ogarnęła go słabość. Zaczął szarpać mundur i chustkę pod szyją, serce przyspieszyło, a mimo to brakowało mu tchu.

— Antoni?

Ten głos tuż przy jego uchu, ciepłe, miękkie ciało, które objął, jakby było ostatnią deską ratunku, wszystko to znał. Wciąż zaciskając powieki, wtulił twarz we włosy kobiety i chłonął ich zapach.

— Émilie — szepnęła, przyciągając ją jeszcze mocniej do siebie. — Moja Émilie.

— Nie możesz, Antoni. Błagam cię. — Usiłowała się uwolnić z jego ramion, chociaż czuł, że wcale tego nie chciała. Pociągnęła go w załamanie muru. Skrzypnęły drzwi, za którymi znajdowały się schody wiodące na piętro. Mimo że stali w ciemnym korytarzu, ryzykowali zbyt wiele. Wiedział o tym, ale w tym momencie było mu to obojętne. Jeszcze nie wszystko sobie przypominał, lecz jednego był pewien. Dla kobiety, o której śnił, gotów był poświęcić jej i swoją reputację, a jeśli trzeba, nawet życie. Przez jedną krótką chwilę chciał ją mieć tylko dla siebie. Prawie mu się wymknęła, dlatego pocałunek tak ją zaskoczył, że znieruchomiała i przestała się wyrywać. Wykorzystał przewagę, chwycił ją mocniej.

Tak, to była ona. Choć umysł zapomniał, ciało pamiętało i reagowało ogniem na jej bliskość.

— Dość!

Odskoczyła od niego tak nagle, że nie zdążył zareagować. Oddychała ciężko. W półmroku widział jej błyszczące oczy, co świadczyło dobitnie o tym, że nie jest jej obojętny. Pasma włosów wymknęło się z upięcia i kołysało się przy policzku. Nie potrafił się powstrzymać. Wyciągnął rękę i delikatnie założył je za ucho, muskając przy tym skroń. Bezwiednie otarła się o jego dłoń jak kotka spragniona pieśczoły, ale oczy wciąż ciskały gromy.

— Nie możesz się tak zachowywać. Na litość boską, może nas ktoś zobaczyć — wycedziła przez zęby, z trudem ścisząc głos i oglądając się za siebie. Na szczęście byli sami w przejściu. Émilie zacisnęła dłonie w pięści i cofnęła się o krok, by zachować dystans, po czym chwyciła go za rękę i pociągnęła na schody. Kiedy drzwi jej pokoju zamknęły się za nimi, odezwał się pierwszy:

— Dlatego nie powiedziałaś mi, kim dla mnie byłaś? Kim nadal jesteś?

Stała na środku pomieszczenia, zachowując od Antoniego bezpieczną odległość. Z satysfakcją dostrzegł, jak na jej twarzy maluje się zaskoczenie.

— W co ty ze mną chciałaś grać, Émilie?

Jeszcze nie wszystko sobie przypomniał, ale z minuty na minutę miał wrażenie, że zasłona unosi się coraz wyżej, a on niekoniecznie jest zadowolony z tego, co się za nią kryło.

— Chciałam cię chronić.

— Chronić? Chyba żartujesz? Wmawiając mi, że jestem zdrajcą i dezterem? — Zrobił krok w jej stronę. Opanowała go furia i miał ochotę wyładować się na kobiecie, która zrobiła z niego złoczyńcę. — Jestem polskim szlachcicem, nie byle żołnierzem, którym można manipulować, moja droga. Przyznaj, co chciałaś ugrać tym razem na swoich kłamstwach, Émilie? — Kolejny krok w jej stronę i dzika radość, bo w jej oczach błysnęła panika.

— Cięży na tobie wyrok, i to nie ja cię oczerniłam. To Charles.

— A czemu niby miałby mnie oskarżać o cokolwiek? Odzyskał ciebie, mnie prawie pozbawił życia. Nie jestem dla niego zagrożeniem...

— Jesteś. Znasz prawdę. Wiesz, kto ukradł korespondencję i mapy. — Teraz to ona zrobiła krok w jego stronę i chwyciła go za poły munduru. — Nawet gdybyś nie przeżył, spełniłbyś rolę kozła ofiarnego. Nie rozumiesz, że w ten sposób on chciał się odegrać na mnie?

— I postanowiłaś mi nie mówić prawdy o nas, żeby mnie chronić?

— Nie przypuszczałam, że kiedykolwiek jeszcze się spotkamy. Że trafisz tutaj. — Łzy lśniące w jej oczach odrobinę złagodziły jego gniew. Zaraz jednak uświadomił sobie, że to nie jest odpowiedź na jego pytanie.

— Dlaczego mnie okłamałaś?

— Nie kłamałam. Nie powiedziałam ci całej prawdy.

— Czy to, do diaska, nie to samo?

— Powinieneś był się trzymać z daleka od zamku, ode mnie. Nie rozumiesz, że nie chcę, żeby Charles cię skrzywdził? — Odepchnęła go od siebie, a łzy stoczyły się po jej policzkach. — Już raz patrzyłam, jak prawie zginąłeś na moich oczach i nie mogłam nic zrobić. Nic! Antoni, zbyt wiele osób cierpiało przeze mnie. Uciekaj, póki ten potwór nie wróci. Nie pokazuj się tu więcej. Nikt cię tu nie zna.

— Ty mnie znasz. Skoro mnie znasz, to wiesz, że cię nie zostawię. Jeśli mam stąd uciekać, to tylko z tobą.

Zaśmiała się, ale w tym śmiechu nie było wesołości, jedynie gorycz i rezygnacja.

— I dokąd pójdziemy, najdroższy? Do Podolan? Przecież najpierw właśnie tam będą nas szukać. Ty nie znasz Charles'a. Zresztą sam widziałeś. On jest jak pies myśliwski. Wywęszy nas wszędzie.

— W takim razie zostanę tu. — Podszedł do krzesła i rozsiadł się wygodnie, zaplatając ramiona na piersiach. — Poczekam na generała Treillarda i sobie z nim porozmawiam.

Émilie zbladła i zaniemówiła na moment. Wpatrywała się w ukochanego okrągłymi z przerażenia oczami. Nagle jakby się zbudziła.

— Antoni, ja cię błagam — wyszeptała. — On cię zabije.

— Już raz próbował i mu się nie udało. Tym razem szanse są wyrównane. Nie ma już swoich

cerberów, którzy go obronią. — Sam nie wiedział dokładnie czemu, ale czuł się jak po wygranej bitwie. Być może euforia wzięła się z nagłego przypomnienia sobie, kim jest dla niego Émilie. Teraz rozumiał, dlaczego nie potrafił trzymać się od niej z daleka.

— On się otacza takimi jak tych dwóch. Na pewno już znalazł sobie kolejnych, równie silnych i bezrozumnych. Antoni, zaklinam cię na życie mojej córki. Nie możesz tu zostać. — Ukłękła przy krześle, na którym siedział. — Jeśli Charles pozwoli ci żyć, to tylko po to, żebym mogła patrzeć, jak cierpisz.

Podolski pochylił się i chwycił jej twarz w dłonie. Ich czoła niemal się stykały, czuł jej oddech na policzkach i miał ogromną ochotę ją pocałować. Zamiast tego powiedział prosto w jej usta:

— Wyjadę, jeśli ty wyjedziesz ze mną.

Szarpnęła się nerwowo, ale jej nie puścił.

— Nie mogę. To niemożliwe.

Nie spodziewał się innej odpowiedzi. Uwolnił ją, lecz wciąż się jej przyglądał. Kochał ją. Tego był pewien. Z każdą chwilą przybywało wspomnień, chociaż jeszcze sporo niewiadomych kryło się w przeszłości.

— Dlaczego niemożliwe? Co cię powstrzymuje? Sama powiedziałaś, że mąż ci nie daruje utraty dziecka.

Wstał z krzesła, ale nie pomógł jej się podnieść. Wciąż klęczała, gdy zrobił kilka kroków w stronę okna. Założył ręce za plecami i obrócił się. Dopiero teraz podniosła się, wspierając się na siedzisku.

— Zanim twój mąż przerwał nam naszą ostatnią rozmowę, powiedziałaś, że mnie kochasz — powiedział i czekał na jej reakcję, na jakikolwiek gest, który zdradziłby jej prawdziwe uczucia i intencje, ale ona tylko stała tam pobladała, milcząca, piękna i patrzyła na niego, wykręcając sobie palce. Podszedł więc do niej. — Jeśli mówiłaś prawdę, dlaczego nie chcesz wyjechać stąd ze mną?

Obserwował, jak walczy ze sobą, jak stara się zapanować nad zbierającymi się w kącikach oczu łzami, jak powstrzymuje drżenie brody.

— Nie kocham cię, Antoni — wyszeptwała. — Byłeś tylko środkiem do osiągnięcia celu, ale teraz nie jesteś mi już potrzebny. — Łzy płynęły jej po policzkach, a mimo to mówiła dalej: — Nie chcę tylko mieć cię na sumieniu, bo polubiłam twoją siostrę. Wiem, co znaczy stracić kogoś bliskiego. Dlatego nie oglądaj się na mnie, Antoni. Trzymaj się z daleka ode mnie, od zamku. Bądź dalej Niewiadomskim, póki się to wszystko, ta cała wojna nie przewali.

Chwilę się zastanawiał nad jej słowami. Może i byłby jej uwierzył, może nawet wyjechałby, gdyby nie stała przed nim teraz na wyciągnięcie ręki. Jej słowa miały ranić, ale nie cofnęła się, nie odepchnęła go. Pozwalała łzom płynąć, jednak nie odwróciła od niego wzroku. Właśnie takie błagalne spojrzenie zapamiętał, to ono wryło mu się w pamięć, bo było ostatnim, co widział, zanim stracił przytomność. Zrozumiał, co ma zrobić. Pochylił się i pocałował ją, przygarniając mocno do siebie. Z początku nie odwzajemniła pocałunku, lecz kiedy oderwał usta od jej ust i spojrzał jej w oczy, wiedział, że wygrał. Zarzuciła mu ręce na szyję i przywarła do niego, namiętnie całując. Wodząc dłońmi po jej ciele, przypominał sobie wszystko, czego razem doświadczyli. Spędzone razem noce, gorączkową miłość, rozmowy i jej miękkie ciało. Oderwał się od niej.

— Nie okłamuj mnie, Émilie. Nigdy. Bo twoje ciało zawsze cię zdradzi.

Wtuliła się w niego, a on trzymał ją w ramionach, choć najchętniej kochałby się z nią tu i teraz. Ogień buzował mu w żyłach, jednak ani to czas, ani miejsce na ulżenie swoim chuciom. Mieli przed sobą lata. Wiele lat. Bo Antoni nie miał zamiaru wypuścić jej z rąk. Ani teraz, ani nigdy. Jeszcze nie wiedział jak, ale zamierzał pozbyć się tego łotra Treillarda.

III

Antoni nie słuchał. Uparł się, że bez niej nie rusza się z miasta. Miała wrażenie, że po tym, jak odzyskał pamięć, coś jednak nie do końca było z nim w porządku. Wyglądał Charles'a z utęsknieniem i wręcz nie mógł się doczekać, gdy stanie z nim twarzą w twarz, a Émilie nie mogła przez to spać nocami. Po części dlatego, że kręcąc się w pustym łóżku, tęskniła za Antonim, choć tłumaczyła sobie, że to uczucie nie może przetrwać, a jedyną szansą na uratowanie ukochanego jest ucieczka również od niego.

Bezskutecznie próbowała go od siebie odepchnąć, ale im bardziej go przekonywała, im mocniej się starała, tym bardziej on upierał się przy swoim.

Od kiedy Antoni zaczął sobie przypominać, kim jest, robił wszystko, byle tylko się z nią spotkać, najlepiej na osobności. Straże znały go i bez sprzeciwu wpuszczały za mury. W końcu sam zarządca zamku zaaprobował jego obecność tutaj, co potwierdził dowódca straży zamkowej, więc żołnierze nie dyskutowali, gdy zjawiał się pod bramą.

Obydwoje usprawiedliwiali się tym, że Antoni usiłuje odzyskać pamięć. Jednak na zamku nigdy nie zostawali sami, a jeśli nawet, były to krótkie chwile ukradzione w przelocie, zanim obok pojawiła się Charlotte lub Anna, rzadziej sam Freiwald. Zresztą im częściej Antoni odciągał Émilie na bok, kradnąc jej całusy, tym bardziej ona starała się unikać pozostawiania z nim na osobności. Podolski potrafił wykorzystać moment, w którym Charlotte odwróciła się do nich plecami i chwycić dłoń Émilie albo dotknąć jej twarzy, czasem musnąć ustami kark. Wystarczyła sekunda, by przyciągnął ukochaną do siebie i obsypał pieścizotami, po których jeszcze trudniej było jej wrócić do równowagi i wmawiać sobie, że musi z tym skończyć. Wbrew swoim postanowieniom za każdym razem ulegała mu z taką samą łatwością, jakby zamiast mózgu miała papkę. Przestała sobie w końcu to nawet wyrzucać. Musiała przeczekać.

Już i tak rodzina Freiwaldów przyglądała im się podejrzliwie, choć przecież nie mogli głośno wyrazić swoich podejrzeń co do łączących Émilie i żołnierza relacji. W końcu Antoni umyślił sobie, że powinni się spotkać poza zamkiem, by nikt im nie przeszkadzał. Tłumaczyła mu, że do niczego między nimi nie może dojść, bo wciąż krwawi, ale to go nie przekonało, i w końcu mu uległa. Wykorzystując zamieszanie przy dostawie żywności, wymknęła się za zamkowe mury w męskim ubraniu, tym samym, które pożyczył jej Freiwald. Problemem były tylko włosy, które musiała starannie upchnąć pod zbyt ciepłą jak na tę porę roku sukienką czapką obramowaną kożuszką. Miała niewiele czasu, bo tylko do przyjazdu kurierów pocztowych. Ich pojawienie się mogło odwrócić uwagę od przemykającej z powrotem Émilie.

Podolski wynajął niewielki pokoik w szemranym przybytku, gdzie zapewne oficerowie spotykali się na godziny z przedsiębiorczymi paniami. Nie wnikała, czy obskurny budynek jest zamtuzem, czy rodzajem kwatery dla wyższych rangą oficerów. Starła się nie patrzeć nikomu w oczy i nie zwracać na siebie uwagi.

Podolski czekał na nią przy zamku z błyszczącymi oczyma. Chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą. Ledwie zamknęły się za nimi drzwi pokoju, a chwycił ją w ramiona i całował bez końca, strącając na podłogę czapkę i nie zważając na rozsypujące się na ramionach włosy. Émilie nie protestowała, choć miliony rozsądnych myśli próbowały dostać się do jej świadomości odurzonej bliskością kochanego mężczyzny.

Niedługo potem odpłynęła w płytki sen na niezbyt wygodnym pościu, za to w ramionach Antoniego. Tak łatwo było jej zapomnieć o całym świecie, kiedy miała Podolskiego obok siebie. Jakby mogła wreszcie odetchnąć, przestać uciekać. Jakby wróciła do bezpiecznego domu.

Dom. To słowo dawno przestało mieć dla niej jakiegokolwiek znaczenie. Najpierw oddała dziecko na wychowanie obcym ludziom, więc pozbawiła je domu i rozbiła namiastkę rodziny. Potem pozwoliła sobie to dziecko wyrwać z rąk, a dla Treillarda nigdy domu nie stworzyła. Dom to miejsce, w którym można się schronić, złapać oddech, odczekać, aż zabliznią się rany, aż wrócą siły. Ona tylko uciekała, wciąż gnana tęsknotą za Marie i za azylem, w którym mogłaby ją wychować. Czy Podolany mogłyby być taką spokojną przystanią? Im dłużej znała Antoniego, tym mocniej przekonywała się, że to jedyna osoba, na której mogłaby polegać. Tyle że w Podolanach mieszkała jego rodzina, zapewne niezbyt zachwycona taką potencjalną synową. Mocniej objęła drzemiącego u jej boku mężczyznę, tknięta złym przeczuciem. Nie chciała już nigdy więcej go stracić. Najpierw jednak musiała odzyskać Marie, a dopiero potem mogła zacząć budować dla niej nową rodzinę i dom. Jedno dziecko straciła, ale drugiego nie pozwoli sobie odebrać. Nie miała też zamiaru pozwolić, by Charles zgładził Antoniego.

— Musisz stąd wyjechać — szepnęła mu prosto do ucha. Patrzyła na jego profil, na zamknięte oczy, wokół których rysowały się drobne zmarszczki pogłębiające się, gdy się śmiał, na mocny nos, nieogolony policzek i wyraźnie wykrojone usta, które jeszcze chwilę temu zostawiały na jej skórze

gorące ślady. — Spotkamy się gdzieś daleko od tego miejsca. Ucieknę, ale dopiero kiedy będę pewna, że Freiwaldom nic nie grozi. — Trąciła nosem jego szczękę, żeby złagodzić grymas malujący się na jego obliczu.

— Nie zostawię cię z nim, Émilie — powtarzał, obejmując ją mocno. Obrócił twarz w jej stronę. Czarne oczy czujnie ją obserwowały. — Zresztą niebawem zdezerteruję kolejny raz.

— Jak to? — Podparła się na łokciu.

Antoni założył rękę za głowę i wzruszył ramionami zupełnie beztrzesko, jakby rozmawiali o niedzielnym obiadku.

— Tak to, że mamy zgodnie z rozkazem przemieścić się z oddziałem dalej na północ. Nastała wiosna i Napoleon szykuje się do dalszej walki. Tę wojnę trzeba zakończyć. To długo nie potrwa, bo nasi odnoszą zwycięstwo za zwycięstwem. Podobno Gdańsk niedługo padnie, choć bronią się dzielnie.

— Więc jedź ze swoim oddziałem. — Wstąpiła w nią nowa nadzieja. Z dwojga złego wołała, by Antoni znalazł się na polu bitwy, niż stanął oko w oko z nieobliczalnym, wściekłym Charles'em. — Ja poczekam, aż stąd wyjedziemy, a wtedy...

— Do tego czasu on cię zamęczy, Émilie. — Czule pogłaskał jej policzek. — Nie pozwolę, żeby to bydlę choćby cię dotknęło.

W oczach Podolskiego błysnęła nienawiść.

— On cię zabije...

— Nie, moja słodka. — Zamknął jej usta krótkim pocałunkiem. — Ucieczka nic nie da, a ja nie mam zamiaru dać się zabić. Jeśli będzie trzeba, stanę z nim twarzą w twarz i pokonam go w walce.

— I wtedy zostaniesz nie tylko dezserterem i zdrajcą, ale też mordercą. Antoni, co ty wygadujesz, na litość boską! — Wyrwała mu się i strzepnęła z siebie jego natarczywe dłonie próbujące ją ponownie objąć.

Zaśmiał się i przyciągnął ją do siebie.

— Nie ja będę mordercą, a Antoni Niewiadomski, moja pani.

Chciała zaprotestować, ostrzec go, że Charles nie jest byle chłystkiem. Ten potwór kochał walczyć, wręcz uwielbiał bitewny kurz, a krew i cierpienia wywoływały w nim podniecenie. Jednak nie dane jej było dojść do słowa, bowiem Antoni wycisnął na jej ustach pocałunek. Jeden z wielu, którymi obsypywał ją przy każdej sposobności. Nie umiała zaprotestować, odepchnąć go i coraz ciężiej jej było myśleć o ich nieuniknionym rozstaniu. Mógł wygadywać, co chciał. Ona wiedziała swoje. Żeby go ratować, musiała na jakiś czas zniknąć mu z pola widzenia. Czas uciekał, Treillard mógł lada dzień wrócić.

— Skoro ten jeden raz mamy okazję pobyć ze sobą na osobności, to nie rozmawiajmy o twoim mężu. Ustalmy lepiej, co zrobimy, gdy on zniknie z naszego życia. Albo wykorzystajmy ten czas na coś przyjemniejszego. — Antoni uśmiechnął się i znów przyciągnął ją do siebie.

Kiedy udało im się wreszcie rozstać, na zamkowym dziedzińcu zaroilo się od ludzi i zrobiło się gwarno. Serce Émilie przyspieszyło, bo oznaczać to mogło, że na zamek wrócił Charles. Jego pojawienie się zazwyczaj wywoływało popłoch i przestrasz. Odruchowo nasunęła czapkę mocniej na uszy. Na szczęście tym razem na zamek przybyli tylko kurierzy z pocztą. Ich zmęczone, zziębnięte od szybkiej jazdy konie właśnie zabierano do stajni, zaś oni sami, zakurzeni i spoceni, przekazali skórzane sakwy z listami oficerom i udali się na spoczynek. Émilie mogła odetchnąć i niezauważona wrócić do swojego pokoju.

Przy wejściu natknęła się na Annę, która obrzuciła ją zagadkowym spojrzeniem. Émilie nie potrafiła jej rozgryźć, a od kiedy Antoni odzyskał pamięć, dziewczyna wydawała się na Francuzkę obrażona. Owszem, Antoni wciąż był miły dla panny Sawatzki. Czasem na złość Émilie zagadywał do niej, jakby chciał wzbudzić zazdrość ukochanej. Nigdy przy Annie nie dotknęli się nawet, zawsze zwracali się do siebie tak, by nikt nie zorientował się, jak wielka zażyłość ich łączy.

— Listy od pani męża przyszły. — W oczach dziewczyny, w tonie jej głosu było coś takiego, co kazało się Émilie cofnąć, gdy ta zastąpiła jej drogę. Jakby ostrzeżenie lub satysfakcja.

— Dziękuję ci, Anno. Oczekuję, że mój mąż niebawem pojawi się tu osobiście.

— Z pewnością nie byłby zadowolony, widząc panią w tym stroju. — Dziewczyna szepnęła ze złośliwym uśmieszkiem.

Émilie zamurowało. Nie spodziewała się takiej impertynencji.

— Mój mąż zna mnie dłużej niż ty i wie, że chadzam w męskim stroju. Żadne to dla niego zaskoczenie.

Anna odpowiedziała jej pogardliwym uśmiechem i wzruszeniem ramion. Odwróciwszy się na pięcie, ruszyła z furkotem sukni i wysoko podniesioną głową do pomieszczeń zajmowanych przez Freiwaldów.

Émilie jeszcze przez chwilę stała przy drzwiach, nie mogąc wyjść z szoku, jaki wywołało to bezczelne zachowanie. Dotąd wydawało się, że dziewczyna zaakceptowała jej obecność, współczuła jej po stracie dziecka, być może nawet była wdzięczna za pomoc, jakiej Émilie udzieliła mieszkańcom miasta, pertraktując z Napoleonem. Teraz Francuzka nie była już taka pewna sympatii Anny. Rozważania te przerwał szambelan cesarza, Constant, który handryczył się z kimś, stanąwszy w otwartych drzwiach prowadzących na krużganek. Émilie skryła się czym prędzej w korytarzu, zanim ktokolwiek poza panną Sawatzki rozpoznał w niej żonę generała.

IV

Kiedy ma się osiemnaście lat i żadnych widoków na poznanie odpowiedniego kawalera, pojawienie się młodego, przystojnego, choć nieco oszpeconego bliznami żołnierza, niechby nawet szeregowego, staje się szansą na wyrwanie się z obłązonego miasta, w którym poza gwałtem, ewentualnie śmiercią z nudów, nic dobrego dziewczyny spotkać nie może. Anna, wbrew staraniom siostry oraz jej sztywnego i strachliwego męża, nie miała zamiaru kryć się po kątach tego zimnego, znieawidzonego zamczyska, a w kontaktach z mężczyznami udawać niewiniątka.

Marzył jej się gorący romans. Taki, o jakich czytała w zabronionych francuskich książkach, z tą różnicą, że nie była wzdychającą do ukochanego panienką, która skromnie patrzy w podłogę i płoni się pod spojrzeniem mężczyzny. Doprowadzały ją do furii takie bezwolne bohaterki. Ona zamierzała wziąć sprawy we własne ręce, jak tylko pojawi się odpowiedni kandydat na męża albo ktokolwiek, kto mógłby wprowadzić ją w dorosłość. Od dawna bowiem jej ciało domagało się tego, co podpatrzyła kiedyś w stajniach, gdy szukała szwagra. Widok koniuszego i jednej z dziewczek kuchennych splecionych w miłosnym uścisku wrył się jej w pamięć i nie dawał spokojnie spać.

Pojawienie się Antoniego było jak wysłuchanie modlitw. Pierwszy raz zobaczyła go, kiedy niósł na rękach Francuzkę. Nie znosiła tej kobiety od początku. Była całkowitym przeciwieństwem Anny. Emanowało z niej dostojeństwo, smutek i dobroć. Udawała świętą, tylko oprawić ją w ramy i na ołtarze, ale Anna wiedziała, że wcale taka idealna nie jest. Za to Antoni urósł w jej oczach do rangi szlachetnego rycerza, który pomaga kobietom w potrzebie.

Z początku wodził za Anną wzrokiem, a ta prowokowała go i grała niewinną łanię, ale w rzeczywistości marzyła, by wreszcie żołnierz zabrał się do rzeczy. Ułatwiała mu sprawę, jak tylko mogła. Zeszła za nim, kiedy wybierał się na poszukiwania lekarza. Nie była naiwna i widziała, że jest nią zainteresowany. Widywała już takie spojrzenia, lecz dotąd nie chciała mieć nic wspólnego z tymi żalonymi, brudnymi żołdakami, którzy ślinili się na jej widok.

Annie wydawało się, że już tylko krok dzieli ją od sukcesu. Oczywiście Charlotte robiła wszystko, byle nie dopuścić do pozostawienia siostry sam na sam z wojakiem, ale Anna nie była głupia. Udało jej się wymknąć za nim, kiedy kolejny raz, pod pozorem zobaczenia jej, odwiedził Émilie. Ciemne, zamkowe korytarze w końcu okazały się sprzymierzeńcami. Niby przypadkiem potknęła się i wpadła na Antoniego, a ten, zgodnie z jej przewidywaniami, objął ją, ratując przed symulowanym upadkiem.

— Przepraszam — szepnęła i oparła się o niego całym ciałem.

Mężczyzna nie odepchnął jej. W półmroku ledwie widziała jego czarne, lśniąco oczy.

— Niech panienka uważa, bo szkoda byłoby rozkwasić taki piękny nosek — powiedział niskim głosem, który przyprawił ją o przyjemne ciarki. Drgnął, chcąc odsunąć ją od siebie, musiała więc działać szybko. Chlipnęła żałośnie, a lzy jak na zamówienie popłynęły jej po policzkach.

— Co się dzieje? Czy powiedziałem co złego? — Antoni odsunął ją od siebie na odległość ramion, ale w półmroku i tak niewiele widział.

— To nie pan. Najpierw ten straszny najazd na miasto, potem generał, który nas zastraszył i kazał

pilnować żony. A teraz ona straciła dziecko... Co z nami będzie, kiedy on wróci? — Szczerze mówiąc, nie bardzo się martwiła Treillardem. To było zmartwienie jej szwagra, bo ona miała zamiar do tego czasu uwieść Antoniego i zniknąć z tego posępnego zamczyska.

Rozszlochała się na dobre. Może nawet za bardzo, ale najważniejsze, że osiągnęła właściwy skutek i ramiona mężczyzny oplotły ją szczelnie. Wdychała przyjemny męski zapach Antoniego, ale nie miała zamiaru lkać zbyt długo, żeby nie zasmarkać się i nie stracić powabu. Dlatego podniosła wilgotną od łez twarz, niby przypadkiem muskając ustami szczękę mężczyzny. Czuła, jak jego ciało napina się i twardnieje. Miała ochotę śmiać się na cały głos, ale to jeszcze nie był pełen sukces. Ponieważ Antoni zmarł, stanęła na palcach i rozchyliwszy usta, pocałowała go. Zaskoczony nie protestował, a po chwili oddał pocałunek, więc zarzuciła mu ręce na szyję i jęknęła cicho. Przycisnął ją do ściany w niewielkim zagłębieniu muru. Jego dłoń ześlizgnęła się po jej piersi, talii, udzie i wylądowała na pośladku.

— Antoni... — szepnęła, lecz nie zdążyła dodać nic więcej, bo mężczyzna odskoczył od niej, jakby się sparzył. W ciemnych oczach lśniła panika, a może pożądanie. Żołnierz potargał dłońmi włosy i popatrzył na nią badawczo.

— Niech panienka więcej tego nie robi — wycelował w nią palec.

— Dlaczego? — wyrwało jej się. Powinna przeprosić, udać zawstydzoną, ale serce wciąż waliło jej jak oszalałe, zaś ciało domagało się więcej pieszczot. Przynęła się do niego. — Nie podobam się panu? Myślałam, że...

— Nie w tym rzecz — warknął. — Więcej proszę tego nie robić.

Nie miała wyjścia. Łzy same stanęły jej w oczach, nawet nie musiała się bardzo starać, żeby odegrać kolejną scenę płaczu.

— Przepraszam. Nie chciałam pana zdenerwować.

Antoni westchnął ciężko.

— Nie zdenerwowała mnie panienka. — Jego gniew osłabł. Mówił miękko, jak do dziecka. — Po prostu nie wiem, kim jestem, a póki sobie nie przypomnę, póki nie wyjaśni się, skąd się wziąłem w Warszawie, nie chcę ścierać na niczyją głowę kłopotów. Zwłaszcza na panienki głowę. — Dotknął jej mokrego od łez policzka i otarł go delikatnie.

Niestety, nadejście tego wstrętnego szambelana przerwało ich rozmowę. Dworak zbyt prychnięciem to, że Antoni odskoczył od niej i ruszył korytarzem do wyjścia. Anna została sama ze swoimi pragnieniami i planami oraz z satysfakcją. Nie była obojętna żołnierzowi, a to rokowało na przyszłość.

I wszystko byłoby dobrze, gdyby ta francuska kokota nie owinęła go sobie wokół palca. Najgorsze było to, że Anna ich pilnowała, a jeśli nie ona, to Charlotte towarzyszyła im w czasie jego wizyt, starając się być cały czas w pobliżu. Mimo to nie wiadomo, w którym momencie to się stało. Bo coś się musiało wydarzyć między nimi, coś, co spowodowało, że tak zbliżyli się do siebie. Owszem, zachowywali pozory, jednak nie dało się nie zauważyć tych spojrzeń, gestów, tej niewidzialnej nici porozumienia, która istnieje między dwojgiem ludzi połączonych uczuciem. Czasem wyglądali, jakby rozmawiali bez słów. Jedno drgnięcie brwi, ledwie widoczny grymas i Anna czuła, że jest oszukiwana, że za jej plecami odbywa się inna rozmowa, jakby ona sama była w osobnym pomieszczeniu, do którego nie dochodzą dźwięki, i tylko z gestów oraz mimiki może się domyślać jej właściwej treści.

Anna czuła się zdradzona i poprzysięgła tym dwojgu zemstę. Jeszcze nie do końca wiedziała, jak odegra się na żonie generała, ale z całą pewnością istniał sposób, by zniszczyć Antoniego. Nie na darmo słuchała ich rozmów. Dzięki znajomości francuskiego docierało do niej więcej informacji, niż mogłyby przypuszczać ktokolwiek z mieszkańców zamku. Jej szwagier też lubił dużo gadać i relacjonował wszystko Charlotte, która nigdy nie uczyła się zbyt pilnie francuskiego. Pojedyncze słowa może i rozumiała, ale nie potrafiła się tym językiem płynnie posługiwać. Część rozmów siostry i szwagra nie była przeznaczona dla uszu Anny, ale w niczym jej to nie przeszkadzało. Bez skrupułów podsłuchiwała, tym bardziej że musiała dzielić pokój z małym Eduardem. Wystarczyło nie domknąć drzwi, przyciąć się blisko nich i słuchać.

— Nie wiem, czy to dobrze Charlotte, że on tu przychodzi — szeptał Ludwigo do żony. — Ta Francuzka twierdzi, że jest poszukiwany i grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo. Oskarżają go o zdradę

i dezercję z armii. Sam Napoleon wydał na niego rozkaz, a tymczasem on paraduje po zamku jakby nigdy nic.

— Widać nikt go nie rozpoznał — odparła Charlotte. — A nawet jakby rozpoznał, to nic nam do tego.

— Naiwna jesteś, moja droga. Obwinia nas za to, żeśmy go tu wpuscili, a potem powiedzą, że jesteśmy z nim w zмовie albo jeszcze co gorszego.

Łóżko zatrzeszczało, kiedy Ludwig przekręcił się na bok. Anna wstrzymała oddech. Teraz wiedziała, czemu ciągle żona generała każe Antoniemu uciekać. W każdej chwili mógł zostać schwytany. Gdyby Anna go wydała, nikt by się z nim nie patyczkował. W dodatku mogłaby przy okazji wynegocjować jakąś nagrodę. Swoją drogą szwagier był jednak głupcem, skoro dotąd nie wykorzystał tej wiedzy. Trzymał z Francuzką, jakby ona mogła co dobrego dla nich zrobić. Tymczasem poza petycją do Napoleona, która i tak nic nie dała, ta cała Émilie niczego dobrego nie zrobiła, a jeszcze ściągnąć na nich mogła zemstę nieźrównoważonego generała.

— Więc co mamy robić, Ludwig? — Siostra Anny była wyjątkowo głupią gęsią. Wyszła za Freiwalda, bo tak kazali rodzice. Zawsze kogoś słuchała. Najpierw rodziców, potem męża. A sama nie miała posłuchu nawet u syna.

— Co my możemy zrobić? Modlić się, żeby generał nigdy nie wrócił. A jeśli już wróci, to modlić się, żeby jego żona odciągnęła go od nas na bezpieczną odległość, zanim on się dowie, że nie urodzi mu już syna. Że w ogóle żadnych dzieci mu nie urodzi.

— Biedna kobieta — jęknęła Charlotte.

— Berta powiedziała, że generałowa miała dużo szczęścia. Mogła nie przeżyć, ale akuszerka zabroniła jej o tym wspominać. To w końcu Francuzi, najeźdźcy i wrogowie. Berta też się boi, żeby nie rzucili winy na nią, choć podobno dzieciak był nie do przeżycia.

Anna aż kucnęła z wrażenia. Asystowała akuszerce i tłumaczyła każde jej słowo, ale widocznie Berta, która odbierała większość porodów w tym mieście, musiała w tajemnicy przekazać Ludwigowi, że Émilie nie będzie mogła mieć więcej dzieci.

No to się pan generał ucieszy — pomyślała Anna i uśmiechnęła się do siebie. Miała wystarczająco dużo informacji, żeby pogrzyźć Antoniego i jego ukochaną Émilie. Na palcach wróciła do łóżka, bo szwagier nakazał żonie spać i ta posłusznie umilkła, choć jeszcze chciała się poużalać nad ich ciężkim losem. Kiedy już Anna wsunęła się pod pościel obok ciepłego dziecięcego ciała Eduarda, przysła jej do głowy ciekawa myśl. Dobrze jest wiedzieć różne rzeczy, ale kiedy się je wykorzystają, to tak, jakby z daleka cisnąć sztyletem w przeciwnika. Przeciwnik leży, ale nóż przepadł. Lepiej więc chyba wciąż dzierżyć sztylet w garści i tylko nim grozić. Z tym przeświadczeniem Anna zapadła w spokojny sen.

V

Nie było nic piękniejszego i bardziej radującego duszę niż wiosna wybuchająca raptem w ciągu kilku dni z siłą armatniego pocisku. Nic nie zakłócało tej eksplozji, bo wojna przewalała się gdzieś dalej na północ, a wszyscy odetchnęli i powrócili do swoich stałych zajęć. Żołnierze wciąż kręcili się po Podolanach, a z czasem stali się po prostu stałym elementem życia folwarcznego. Z nudów pomagali w gospodarstwie, zwłaszcza że część z nich była synami prostych chłopów, zwerbowanymi pod mniejszym lub większym przymusem do udziału w wojnie zwanej szumnie „polską”. W rzeczywistości większość z nich pojęcia nie miała ani o wojnie, ani o Rzeczypospolitej, a już najmniej o tym, że tę ojczyznę trzeba ratować i dla niej walczyć. Oderwani siłą od swych domostw i gospodarstw, robili, co trzeba, a przy każdej nadarzającej się okazji dezertowali, choć Antoni i Michał starali się, jak mogli, by przekonać swoich podkomendnych do pozostania w szeregach armii. Kiedy jednak młody Podolski zniknął bez wieści, zaś Śniegocki ruszył na poszukiwania przyjaciela, szyki oddziału mocno się przerzedziły.

Krysia słyszała często, jak ojciec dzielił się z Ignacym uwagami o zbiegach. Narzekał na ich nieokrzesanie i prostą naturę oraz ograniczenie umysłowe niepozwalające dostrzec spraw państwowych. Dziewczyna zastanawiała się, jakim cudem chłop, nieumiejący pisać ani czytać, który ma na głowie

powinności względem pana i mozolne staranie o to, by przetrwać jakoś na przednówku, mógł zajmować się niepodległością i skąd miałyby czerpać wiedzę o tym, co dzieje się w kraju i poza nim, skoro nie miał żadnego dostępu do prasy czy książek.

Oczywiście nikomu nie zwierzała się z tych przemyśleń. Nawet Leosi, bo ta zazwyczaj wiosną odpływała do krainy swoich marzeń. Właśnie wiosną zginął jej narzeczony i to, od kiedy Krysia pamiętała, napawało ją melancholią objawiającą się znikaniem na całe dni w ich wspólnym pokoju, gdzie zaciągała zasłony i leżała niczym martwa na otomanie. Tymczasem Krysia, jak zawsze niewidzialna, niemal znikająca w tle dworskiego życia, z łatwością obserwowowała i analizowała to, co działo się wokół niej, a dzięki niedyspozycji Leosi miała więcej czasu na przemykanie przez pokoje we dworze i spacerowanie wokół niego. Uwielbiała ławkę obok rabaty obrośniętej krzewami bzu, które właśnie zaczynały się nieśmiało zielenić, dlatego stanowiły miejsce spotkań oszalałego z radości ptactwa.

Właśnie skradała się wzdłuż ściany domu, żeby nie spłoszyć nawołującej sójki, kiedy z otwartego na oścież okna ojcowskiego pokoju dobiegł ją podniesiony głos matki. W pierwszym odruchu zamarła z sercem bijącym tak głośno, że szum krwi w uszach zagłuszył słowa rodzicielki. Powinna była wycofać się niezauważona, bo to nieładnie i niegrzecznie podsłuchiwać, lecz w tym samym momencie, gdy się odwracała od okna, padło nazwisko Michała i nogi Krysi wrosły w ziemię.

— ...chyba nie myślisz, że to odpowiedni kandydat — perorowała matka i Krysia niemal mogła sobie ją wyobrazić, jak gestykułuje przy tym i w charakterystyczny sposób zaciska usta.

— Marianno, przypominam ci, że imć pan Śniegocki ma znaleźć twojego syna i pomóc mu bezpiecznie wrócić do domu, zanim stanie się najgorsze i ktoś go zdradzi. — Ojciec przemawiał spokojnie, ale w jego głosie pobrzmiwało zmęczenie.

— A niechże go szuka. W końcu twierdzi, że to jego najlepszy przyjaciel. Przypominam ci, że ten cały Śniegocki wiele zawdzięcza naszemu Antoniemu. Gdyby nie nasz syn, ten znajda zginąłby z głodu. Przyczepił się do Antoniego i żeruje na jego naiwności i dobroci. — Matka nie ustępowała, a Krysi nogi ugięły się pod wpływem nienawiści, która aż kipiała z wypowiedzi rodzicielki. Nie słyszała już ptaków harcujących w krzakach, nie zauważyła, kiedy sójka znalazła swego towarzysza i odleciała wraz z nim w kierunku stawu. Skamieniała z przerażenia, bo знаła swoją matkę i wiedziała, że każde jej słowo, każda obelga pod adresem Śniegockiego ma swój cel. I choć domyślała się, co za chwilę usłyszy, wciąż stała i słuchała, niezdolna do żadnej reakcji.

— Obiecaliśmy mu coś, Marianno. Jeśli on dotrzyma umowy i my będziemy musieli...

— Umowa umową. Wincenty, przecież wiesz, że obiecałabym temu człowiekowi wszystko, byle Antoniego sprowadził do domu. Jeśliby nie usłyszał z naszych ust tego, co spodziewał się być usłyszeć, nie pomógłby nam. Wiesz, że tylko jemu na tyle zależało na naszym synu, by go ratować i nas nie oszukać. Teraz zależy mu podwójnie, ale kiedy zrobi to, za co dostał pieniądze, niech idzie precz. — Ostatnie słowa Marianna Podolska wysyczała przez zęby, a serce Krysi przestało bić.

Ojciec milczał i dziewczyna z każdą sekundą traciła wiarę w to, że się sprzeciwi. Wreszcie odezwał się, ale jego głos był tak zrezygowany i cichy, że ledwie Krysia mogła wyłapać sens wypowiedzi.

— Powiedział wyraźnie, że nawet bez naszej zgody na ślub z Krysią i tak pomógłby Antoniemu, zaś bez jej zgody nie śmiałyby nawet...

— Więc po co te ceregiele? Dziewucha młoda jest i głupia jeszcze. Co wie o życiu i majątku? Jej się wydaje, że zadurzenie wystarczy, żeby przeżyć życie. Tymczasem ten Śniegocki liczy na posag, który roztrwoni jako żywo, a ona trafi na poniewierkę. Czy tego chcemy, Wincenty? Zmarnować dziecko? — Matka uderzyła w sentymentalną nutę, co było gorsze niż dotychczasowe ataki na Michała. Krysia nadal stała w bezruchu, ale gorące łzy zaczęły płynąć po jej pobladłych policzkach.

— Ostatnie, czego bym chciał, to oddać Krysię na zmarnowanie. Poza tym to dziecko jeszcze, choć zdadne do żeniaczki. Śniegocki obiecał czekać, nie naznaczył konkretnej daty. Wojna teraz, czasy niespokojne. Może chłopak nie przeżyje i sprawa sama znajdzie szczęśliwe dla nas zakończenie — rozważał głośno Podolski.

— Wojna wojną. Co będzie, jeśli po powrocie zażąda ślubu, żeby mu dziewczyna nie umknęła? Ty się ciesz, że nie chciał przed wyjazdem związać jej ze sobą. Dopiero wtedy kłopot by był. Ale widać

za głupi ci on na takie przebiegłe działania.

— Mówisz o szlachcicu i żołnierzu, Marianno — ostrzegł ojciec, lecz widać ostre słowa mimo wszystko trafiły do niego bardziej, niż chciał to przyznać, bo jego głos nie brzmiał już stanowczo. — Obiecał zapewnić Krysi godne życie i odbudować majątek...

— Za nasze pieniądze, Wincenty. — Matka weszła mu w słowo. — Te, które dostanie Krysia w posagu.

Dziewczyna oparła się plecami o ścianę domu i zsunęła się po niej na ziemię. W uszach jej dudniło, w ustach pojawiła się suchość zwiastująca omdlenie. Nawet gdyby niczego nie czuła do Michała, wstyd by jej było w tak okropny, niehonorowy sposób wywieść go w pole. Tymczasem matka nie miała żadnych skrupułów. Krysia zastanawiała się, ile w takim postępowaniu jest autentycznej troski o nią i jej los, a ile chciwości i źle pojętego interesu rodziny. Może z nienawiści do córki, która nigdy nie była dla niej zbyt ważna, matka pragnęła odegrać się na niej, bo rozczarowała rodzinę już przy urodzeniu? W końcu nie była synem, ale córką, która nie dość, że nie przyniesie rodzinie chwały, to jeszcze uszczupli majątek z powodu posagu należnego przyszłemu małżonkowi. Najprościej było pozostawić ją w staropanieństwie lub jeszcze łatwiej pozbyć się jej, czyli doprowadzić do ostateczności i samobójczej śmierci.

Krysia otworzyła załzawione oczy i popatrzyła w niebo widoczne pomiędzy ledwie pozieleniałymi gałęziami. Jeśli nie pozwolą jej na małżeństwo z Michałem, jeśli okryją ją hańbą, każąc złamać dane słowo, nie pozostanie jej nic innego, jak tylko skończyć ze sobą.

Matka dalej przekonywała ojca do swoich racji, jednak Krysia nie chciała już słuchać tego, co rodzicielka miała do powiedzenia. Zakryła uszy dłońmi i skulona wypłakiwała swój żal, aż za ścianą rozległ się rumor. Dziewczyna znów nadstawiła uszu i wstrzymała oddech.

— Dość tych bredni, Marianno! — Ojciec podniósł głos i podkreślił wypowiedź uderzeniem dłoni o blat. Krysia wyraźnie słyszała jego kroki. Musiał wstać i przechadzać się, by uspokoić nerwy. Z reguły był opanowany i łagodził wszelkie niesnaski swoim autorytetem oraz rzeczową argumentacją. Był głową rodu i do niego należało ostatnie słowo, więc matka tym razem musiała doprowadzić go do ostateczności. — Dałem słowo szlachcica, a to ważniejsze niż jakiegokolwiek pieniądze. Czasy mamy takie, że honor to jedyne, co nam zostało.

Iskierka nadziei, że ojciec pozwoli jej jednak wyjść za Michała, błysnęła bladym płomykiem na dnie Krysiniego serca.

— I ty słowa dotrzymasz, ale nikt nie mówił, że musi go dotrzymać Krysia. Zanim imć Śniegocki wróci, będzie po wszystkim. — Matka nie ustępowała.

— Co masz na myśli? — Kroki ucichły, więc ojciec musiał się zatrzymać.

Krysia poczuła zimne dreszcze wędrujące wzdłuż kręgosłupa aż do pięt, a iskierka nadziei zgasła równie szybko, jak błysnęła. W głowie jej się kręciło i choć pragnęła uciec jak najdalej od tego, co planowała matka, to nie była w stanie się poruszyć. To nie mogła być prawda. Nie mogli jej tego zrobić, nie mogli jej zmusić...

— Działać powinniśmy póki czas — kontynuowała Podolska. — Trzeba znaleźć odpowiedniego kandydata na męża dla Krysi i ją za niego wydać. Śniegockiemu się powie, że dziewczynę zbałamucił i wyjścia nie było. Twoje słowo nie straci na wartości, a ten gołodupiec odejdzie z kwitkiem.

Krysia miała wrażenie, że zaraz rozpadnie się na kawałeczki, obróci w pył i już nigdy nie wróci do swego dawnego kształtu. Ból, żal, niedowierzanie, strach, tęsknota i poczucie beznadziei zalewały ją falami, a ona chciała się im poddać, zatonać, przestać istnieć. Skulona pod ścianą dworu, nie czuła chłodu ani bólu zdrętwiałych od kucania nóg i dłoni, w które wbijała paznokcie, by nie zacząć krzyczeć. Nie bardzo też wiedziała, jakim cudem wstała i raptem znalazła się na drodze prowadzącej do wsi. Słońce grzało jej plecy w geście pocieszenia, a wiatr miłosiernie osuszał łzy. Krysia po prostu szła. Przed siebie. Tam, gdzie ostatni raz widziała Michała wyjeżdżającego z Podolan.

Nie mogła do niego napisać, bo nie bardzo wiedziała, dokąd się udał. Nie mogła ostrzec przed tym, co planowali jej rodzice, nie mogła zapewnić o swych uczuciach. Pozostawało jej modlić się, by Michał czym prędzej wrócił razem z Antonim, zanim matka wprowadzi swój szatański plan w życie.

Krysia skrzyła w stronę dworskiego sadu, za którym rozciągał się las. Wiedziała jedno: nie

wyjdzie za nikogo innego, a jeśli spróbują ją wydać za mąż siłą, skończy ze sobą. Ta myśl, o dziwo, pokrzepiła ją i pozwoliła się uspokoić. Pierwszy raz poczuła, że ma dość sił, by przeciwstawić się woli matki, by zdecydować o sobie, dlatego do dworu wróciła ze spokojem i delikatnym uśmiechem na ustach.

ROZDZIAŁ VII

I

Charles wiedział, co zrobić, by pognać swą żonę, by podciąć jej skrzydła i sprawić, żeby całe dobro, jakie wydarzyło się w jej życiu, w mgnieniu oka straciło na ważności. Émilie bezwiednie gniotła w dłoni list od męża i wbrew sobie wracała wspomnieniami do ich ostatniej rozmowy.

...dlatego mam nadzieję, żeś nie zapomniała, com ci obiecał, w razie gdyby do tej ślicznej, acz pustej główki przyszedł ci pomysł, by spróbować jakowychś sztuczek. Jesteś teraz nie tylko nosicielką mego dziedzica, ale też mych nadziei na przedłużenie rodu. Miej to na uwadze...

W dalszej części listu następowały groźby i opisy wymyślnych tortur, jakim Charles miał zamiar ją poddać. Émilie przyszło do głowy, że chyba już samo wyobrażanie sobie, w jaki sposób może ją odrzec z godności, sprawia temu łajdakowi chorą przyjemność. Wzdrygnęła się z obrzydzeniem. Im dłużej znała Antoniego, im mocniej i bliżej z nim była związana, z tym większym trudem przychodziło jej wracać do męża. Położyła dłoń na pustym brzuchu. Nie miała nic do stracenia, nic poza własnym życiem, które i tak było mało warte, ale trzymała się go, by odebrać córkę Poniatowskiemu.

...dlatego dołączysz do mnie wkrótce, a tam będziesz już pilnowana jak najcenniejszy klejnot koronny...

Charles wymyślił, że żona pojedzie do Finckenstein, gdzie według informacji z listu miał się przenieść Napoleon razem ze sztabem. Émilie upatrywała w tej podróży szanse na ucieczkę. Tylko tak mogła oddalić niebezpieczeństwo zemsty od Freiwaldów oraz widmo starcia z Charles'em od Antoniego. Musiała się tylko upewnić, że w drodze do nowej siedziby Napoleona będą musieli zatrzymać się na nocleg. Nocą najłatwiej byłoby się wymknąć i zawrócić ku Warszawie. Nawet jeśli ten plan nie wypali, miała zamiar odłączyć się od orszaku. Wszak posiadała już męski strój, tak jak poprzednio. Zanim jednak przemyślała szczegóły ucieczki, do pokoju zapukał Constant.

Émilie zaskoczyła ta wizyta. Kamerdyner dotąd albo ignorował jej obecność na zamku, albo ewentualnie ograniczał się do prychnania z wyższością na jej widok. Nie mógł jej darować tego, że podstępem wdarła się do pokoju cesarza, a potem ponownie sprowadziła tam przedstawicieli uciśnionego miasta. Émilie odpowiedziała na powitanie. Zarejestrowała, że mężczyźnie nie w smak była ta wizyta i to ją zaintrygowało. Odmówił skorzystania z krzesła i, założywszy ręce do tyłu, przekazał jej informację, która wywołała jeszcze większe zdziwienie Émilie niż wizyta Constanta.

— Jego cesarska wysokość życzy sobie widzieć się z panią, pani Treillard.

— Czym sobie zasłużyłam na ten zaszczyt, monsieur Constant? — Przechyliła zalotnie głowę na bok. Miała ochotę się roześmiać, bo kamerdyner podrygiwał nerwowo i mogła się domyślać, że nie podobało mu się cesarskie życzenie, ale musiał je spełnić, czy chciał, czy nie. Bawił ją ten człowiek, stworzony wręcz do służby, jaka mu przypadła. Uniżony w obecności pana, a władczy i obcesowy w stosunku do tych, którzy chcieli się widzieć z cesarzem. Był jak kłoda, jak zbyt wysoki próg w drodze do imperatora, o który potknąć się musiał każdy, bez względu na stan posiadania czy zajmowane stanowisko.

— Jego cesarska wysokość ma plany związane z osobą szanownej pani. — Skłonił się jej, ale wymuszenie, nieszczerze.

— Plany? W czymże moja skromna osoba mogłaby się przydać imperatorowi? — Zanim stanie przed obliczem Napoleona, chciała się dowiedzieć, na co ma się szykować, jednak kamerdyner nie ułatwiał jej sprawy.

— Jego cesarska wysokość sam pani wyłuszczy swoją prośbę. — Ostatnie słowo niemal wypłynął z obrzydzeniem. — Jest ona natury delikatnej i wymaga dyskrecji, więc proszę zachować się z wyczuciem, madame. Mam nadzieję, że rozumie też pani, iż cesarzowi nie wypada odmówić. O cokolwiek by poprosił.

Przytyk był celny. Émilie zrozumiała aluzję. Widać nie przypisywał jej zbytnej bystrości i delikatności. Niemniej sam fakt, że Napoleon chciał ją o coś prosić, a w rzeczywistości pewnie wydać rozkaz, obudziło w niej nadzieję na ponowne, tym razem pomyślnie załatwienie sprawy Marie. Dlatego

bez zwłoki udała się przed oblicze cesarza, zapominając na chwilę o wiszących nad nią groźbach Charles'a.

Podczas tego spotkania nie musiała uciekać się do podstępów, a nadąsany Constant sam ją zaanonsował i wprowadził do pokoju, w którym rezydował Napoleon, po czym zniknął za drzwiami.

Bonaparte wyglądał na zrelaksowanego i zadowolonego z siebie. Rozsiadł się wygodnie w fotelu i wskazał Émilie krzesło, na brzegu którego spoczęła. Władca tymczasem stukał palcami o podłokietnik i przypatrywał się w milczeniu żonie generała, która starała się zachować spokój mimo natarczywości cesarskiego spojrzenia. W jednej chwili rozsypały się w pył jej plany. Czegóż mógł chcieć władca? Ostatecznie był mężczyzną, ale chyba nie byłby aż tak...

— Pani Treillard... — przerwał jej myśli tak gwałtownie, że drgnęła wystraszona. — Kazałem wezwać panią w związku z pewną... — zawahał się — ...wrażliwą kwestią. Tak! Bardzo wrażliwą nawet.

Émilie poczuła na plecach zimny dreszcz, kiedy cesarz pochylił się w jej kierunku. Zesztywniała jeszcze bardziej i ciałniej spłotła dłonie spoczywające na kolanach.

— Co tylko wasza cesarska wysokość rozkaże — powiedziała słabym głosem, starając się nie dawać po sobie poznać, jak bardzo jest spięta.

— Dobrze. Tym lepiej. Potrzebna też jest dyskrecja. Tak! — Cesarz położył palec na ustach i znowu zamarł ze wzrokiem utkwionym w twarzy Émilie, która zamiast tego wołałaby chyba, żeby Charles przypiekał ją na wolnym ogniu. — Za kilka dni wyjeżdżamy z całym sztabem do Finckenstein. Jak pani wie, droga pani Treillard, zamek w Osterode to dość... — zapewne szukał słowa, które by oddało obrzydzenie, jakim napawało go to miejsce — ...to odstręczające miejsce. Mąż pani znalazł ponoć kwatery godną cesarza Francuzów. — Nie dało się nie słyszeć swady w ostatnim zdaniu. Napoleon wstał i swoim zwyczajem założył prawą rękę za poły munduru. Podeszedł do okna, przez które mógł obserwować spokojne wody rzeki, zaraz jednak odwrócił się w stronę rozmówczyni. — Znalazłszy odpowiednią siedzibę, mogę bez wstydu i narażania na niewygody wojenne zaprosić w odwiedziny drogą moją przyjaciółkę, hrabinę Walewską — wyrzucił na jednym oddechu. Ręka zatknięta za poły munduru podrygiwała niespokojnie.

Émilie zdębiała. Dawno nie była tak zaskoczona, ale opanowała się, by nie dać poznać po sobie zdziwienia. Więc jednak uwiódł młodą kobietę, z którą tańczył na balu u Talleyranda w Warszawie, a teraz postanowił sprowadzić ją do siebie, by umiała mu noce w czasie pobytu w tej zimnej i niegościnniej części Europy.

— Jakaż byłaby moja rola w tym wszystkim? — odważyła się odezwać.

— Pani rola... Tak! Cóż, chciałbym, aby pani towarzyszyła hrabinie Walewskiej, jako że jest pani osobą wykształconą, obytą w świecie i, z tego, co mi wiadomo, wysoko urodzoną. Mogłaby pani umilić czas pobytu hrabiny w Finckenstein, ponieważ ja nie zawsze będę mógł zabawiać ją rozmową. Zbyt wiele ciąży na mnie obowiązków wagi państwowej. Jak wiadomo, prowadzimy wojnę, która wymaga skupienia i nieustannego działania.

— Wedle życzenia waszej cesarskiej wysokości... — Émilie chciała jeszcze zapytać, co konkretnie zajmuje hrabinę Walewską, by móc dostosować się do jej oczekiwań, jednak cesarz jej przerwał.

— Pamiętam pani prośbę. Tak! I poczyniłem w tej sprawie stosowne kroki. Jednakowoż ksiązę Poniatowski odmówił wydania dziecka. Niestety.

Émilie zaniemówiła. Zaskoczył ją tym. A więc jednak, mimo że się wzbraniał, postanowił użyć swego autorytetu, by odzyskać Marie. Émilie domyślała się, dlaczego Poniatowski mógł odmówić i nie przejmować się konsekwencjami. Poniekąd miał cesarza w garści. Ona sama dała księciu broń, którą wymierzył przeciwko Napoleonowi, a teraz oberwała rykoszetem.

— Dziękuję, wasza cesarska wysokość — bąknęła.

Mógł jej też tylko tak powiedzieć, żeby przekonać ją do bycia miłą dla Walewskiej, która z przyczyn oczywistych będzie musiała kryć się przed wścibskimi spojrzeniami żołnierzy tworzących sztab cesarski. Większość z nich za pozwoleniem cesarskim już w Warszawie miała kochanki, ale zapewne żaden nie wziął kobiety ze sobą. Tym bardziej że każda z tych pań miała męża, podobnie jak

hrabina Walewska, o której romansie już następnego dnia po balu było głośno w nie tak znowu dużym mieście, jakim była Warszawa.

— Oczywiście nie muszę pani mówić, że wszystko powinno pozostać w sekrecie. Moja droga przyjaciółka, madame Walewska, naraża dla mnie swą reputację, dlatego winienem jej pełną dyskrecję. Tak! — Cesarz podkreślił wagę słów nerwowym drgnięciem ręki, która wyrwała się zza poły munduru.

— Naturalnie, wasza cesarska wysokość. — Émilie skłoniła głowę, aby ukryć, że gorączkowo zastanawia się, jak poprosić cesarza, by nie rezygnował z prób odzyskania jej dziecka. Już miała otworzyć usta, kiedy władca rzekł:

— Mamy wojnę, więc proszę zrozumieć, że sprawa pani córki musi zejść na plan dalszy. Tak! Teraz najważniejsze jest odepchnięcie Rosjan na wschód i potrzeba nam każdego, powtarzam, każdego żołnierza, a Polacy to nie byle jaka siła, z którą musimy się liczyć.

Émilie nie była pewna, czy w ten sposób Napoleon usiłuje wytłumaczyć pobyt Walewskiej w Finckenstein, czy też to, że nie ma zamiaru narażać się więcej na odmowy ze strony Poniatowskiego, które uwłaczały zajmowanej przez niego pozycji. Mogła sobie wyobrazić, jak ten zwykły, prosty żołnierz jest przeczulony na punkcie swej wspaniałości. Zaś każde zakwestionowanie absolutnej władzy, zwłaszcza gdy niesfornego buntownika nie można było natychmiast ukarać, musiało boleśnie dźgać egoistyczną naturę autokraty. Jednego była pewna. Dostała się pomiędzy tryby maszyny wojennej i była zdana na siebie. Dlatego też zaświtał jej w głowie pewien pomysł. O ile wcześniej chciała uciec w drodze do nowej kwatery cesarskiej, o tyle teraz postanowiła dotrzeć do miejsca przeznaczenia, bo na tym mogła zyskać więcej, niż komukolwiek mogło się snić.

— Rozumiem, wasza cesarska wysokość. — Wstała ze swego miejsca, bo cesarz stuknął w niewielki dzwoneczek stojący na stole służącym za biurko, kończąc tym rozmowę i przywołując kamerdynera, żeby odprowadził gościa. — Dziękuję za okazane mi zaufanie oraz za interwencję, wasza cesarska wysokość. — Dygnęła i ruszyła w stronę drzwi, w których stanął właśnie Constant z tą samą kwaśną miną, co wcześniej.

— Madame Treillard...

Émilie posłusznie odwróciła się w stronę władcy, który wskazał ręką na jej brzuch. Nie musiał nic mówić, bo wiedziała, co usłyszy.

— Niebawem urodzi pani dziecko, co złagodzi pani tęsknotę za córką. Tak! Jeśli to będzie syn, to tym większa będzie pani i generała radość. Powinna pani zapomnieć przynajmniej na jakiś czas o córce. Książę jej nie wyrządzi krzywdy. Proszę pamiętać, że są matki, które straciły w tej wojnie swoje dzieci bezpowrotnie. Pani dziecko żyje.

— Żyje, ale z dala ode mnie. Nie mogę jej chronić, wasza cesarska wysokość, ani zapewnić jej należytych warunków do życia, co sprawia ból równie wielki, jak ten spowodowany śmiercią dziecka. — W oczach monarchy nie zobaczyła zrozumienia. Sam dzieci nie miał, a nawet jeśli, to nie zajmował się ich wychowaniem i nie przyznawał się do nich. Za to ze swobodą decydował o losach tysięcy ludzi, którzy byli czyjimiś dziećmi. Za którymi ktoś płakał, tęsknił i ich wyczekiwał. Wielu rodziców nigdy nie miało się dowiedzieć, w jakiej ziemi spoczęli ich ukochani synowie. Czy ten, przez kogo ginęli ludzie, zdolny był współczuć kobiecie rozłączonej z córką?

Émilie zrobiła krok w stronę Napoleona. Constant natychmiast zareagował i ponaglił ją cichym *madame*, ale ona zignorowała kamerdynera.

— Tylko matka, którą skazano na rozłąkę z dzieckiem, może zrozumieć drugą matkę — powiedziała, po czym dygnęła i wyszła tak szybko, jak tylko zdołała, niemal potrącając osłupiałego kamerdynera. Nie czekała na odpowiedź cesarza i szczerze mówiąc, nie chciała jej znać. Dla Bonapartego liczyła się tylko wojna, a to, że pochłaniała ona setki ofiar i była winna łez wielu rodzin, nie miało najmniejszego znaczenia. To utwierdziło Émilie w jej wcześniejszym postanowieniu, by wykorzystać pobyt w Finckenstein i znajomość z Walewską na swój sposób i do swoich celów.

II

W powietrzu rozgrzanym przez słońce unosił się zapach miodu i dojrzałych pól, na których lada moment miały się zacząć żniwa. Leżąca na kocu w cieniu rozłożystej lipy Émilie otworzyła oczy

i popatrzyła w stronę stawu. Na jego brzegu Marie w białej sukience, z rozwianymi włosami zbierała łąkowe kwiaty. Dziewczynka jakby poczuła to czujne spojrzenie matki i podniosła na nią wzrok, a potem pomachała rączką.

— Daj jej spokój. Jest tu bezpieczna, Émilie. — Antoni przeciągnął się obok niej i uniósł na łokciu.

Jego surdut leżał na trawie. Antoni, w białej koszuli i ze zmierzwionymi włosami, w których zaplątało się źdźbło trawy, wyglądał jak niesforny chłopak. I choć chciała mu przyznać rację, to czuła niepokój, bo miała wrażenie, że za jej plecami czai się coś złego. Obróciła się gwałtownie na kocu, ale na tle dworu w Podolanach, ukrytego malowniczo między drzewami, nikogo nie dostrzegła. Mimo to przecucie, że wisi nad nimi coś okropnego, że ktoś ich obserwuje, nie opuszczało jej.

— Zimno ci, najdroższa? Taki upał, a ty masz dreszcze.

Émilie chciała odpowiedzieć, lecz nagle poczuła dotyk lodowato zimnych palców na przegubie ręki. Chciała krzyknąć, jednak jej usta nawet się nie otworzyły. Nie mogła nabrać powietrza. Zrobiło jej się ciemno przed oczami. Zamrugowała gwałtownie, ale nic nie widziała. Czuła zimne palce zakrywające jej usta.

— Tylko mi tu nie wrzeszcz — rozległ się głos tuż przy jej uchu. — I nie wrywaj się. Nie spodziewałem się radości z mojego powrotu, ale doprawdy przesadzasz.

Émilie znieruchomiała. Podolany, Antoni i Marie na łące to tylko sen, tylko marzenie, które nigdy miało się nie spełnić, a ona leżała w łóżku w zimnym zamczysku. Była noc. Znała dotyk i głos nocnego gościa. Nie musiała patrzeć, by widzieć błysk satysfakcji w zimnych oczach męża. Wrócił do Osterode. Jej serce zamarło z przerażenia. Nie o siebie się bała, ale o Antoniego i Freiwaldów, bo jej nie mógł już zrobić nic, czego by się nie spodziewała.

— Wróciłem, żoneczko, żeby mi cię tu jaki żołnierz nie zbałamucił — wysapał, po czym jego dłoń wylądowała na jej brzuchu i lekko go ucisnęła.

Émilie wstrzymała oddech. Do tej pory łatwo było ukryć stratę dziecka przed mieszkańcami zamku. Wystarczyło nosić luźniejsze rzeczy, a pod spodem grubszą bieliznę. Jednak czy jest to możliwe przed Charles'em? Czy uda jej się go zwieść i dalej udawać, że jest w ciąży? Nie potrzebowała wiele czasu, chociaż każdy dzień, a teraz każda godzina były na wagę złota. Byle znaleźć się dalej od Osterode. Dłoń męża błędziła po jej krągłym brzuchu jeszcze chwilę, po czym cofnęła się, a on sam nieznacznie odsunął się od żony.

— Zrób mi miejsce, bom zmęczony okrutnie. Pokonałem drogę z Finckenstein jednego dnia. — Odpiął pas i zabrał się za zdejmowanie kurtki munduru, a następnie butów. W końcu bezceremonialnie ułożył się obok niej. — Nie wiem, gdzie podziało się tych dwóch imbecyli, ale policzę się z nimi jutro. *Merde!*¹³ To tak wypełniają moje rozkazy. Pewno bab im się zachciało, ale teraz ja tu jestem i zostanę z tobą — mamrotał jeszcze, aż zapadł w sen, o czym świadczyło głośnie chrapanie, które rozległo się po kilku minutach.

Émilie został ledwie skrawek łóżka, ale nawet gdyby mogła się wygodnie rozłożyć, nie zmrużyłaby oka. Najwyraźniej Charles zamierzał zostać tutaj razem z nią. Nie wiedział jeszcze, że z woli Napoleona miała wyjechać razem z całym sztabem do Finckenstein. Dobry Bóg chyba nad nią czuwał, zsyłając na Napoleona natchnienie, kiedy jej proponował zabawianie hrabiny Walewskiej. Gdyby nie to, wszyscy byliby zgubieni.

Nazajutrz, wymęczona, niewyspana i przerażona, wstała bladym świtem, zanim Treillard otworzył oczy. Ubrała się po cichu i wymknęła z pokoju. Przemknęła do pokoi zajmowanych przez zarządcę i jego rodzinę. Na szczęście Freiwald już nie spał. Kiedy zapukała do drzwi, mężczyzna sam je otworzył, wyglądając przy tym na korytarz.

— Monsieur Freiwald, mój mąż tu jest — wyszeptwała bez wstępów, choć nikt ich nie podsłuchiwał.

Niewielkie okna najniższej kondygnacji nie wpuszczały zbyt wiele światła, jednak w szarości poranka, ledwie rozjaśnionego zapowiedzią słońca wylaniającego się zza horyzontu, dostrzegła, że zarządca poblądł i wstrzymał oddech.

— Co mam robić? Chyba tylko iść na zatracenie... — jęknął.

Émilie położyła dłoń na jego przedramieniu, chcąc dodać mu otuchy.

— Nie wydam was. Nie zorientował się, że straciłam ciążę. Ta sprawa musi pozostać tajemnicą, tak jak to ustaliliśmy, przynajmniej do czasu, aż oddalę się stąd na bezpieczną odległość razem z moim mężem.

— Boże miłosierny, a co będzie z panią, jeśli on się dowie, madame Treillard? — Freiwald miał w oczach troskę, co wzruszyło Émilie, bo poza Antonim mało kogo obchodził jej los.

Na pewno i Poniatowski, i Napoleon nie dbali o to, by nie stała jej się krzywda. Jeden i drugi chciał ją wykorzystać do swoich celów. Widać taka to przywara wielkich, że maluczkich traktują instrumentalnie. Uśmiechnęła się smutno do stojącego przed nią mężczyzny.

— Mną się proszę nie przejmować. Mój mąż wiele razy mi groził i jak dotąd żyję. Ale was nie chcę narażać na jego zemstę. Mam więc prośbę, monsieur Freiwald.

— Co tylko pani każe, madame. — Zarządca wciąż szeptał, z lękiem zerkając na drzwi wejściowe.

— Kiedy pojawi się tu Antoni Niewiadomski, proszę go pożegnać ode mnie i życzyć mu szczęścia w życiu, a także prosić, by mnie nie szukał. — Głos jej zadrżał, ale szybko się opanowała. Nie miała czasu, żeby napisać list do kochanka, więc ta wiadomość musiała wystarczyć za wszystko, co chciała mu przekazać.

— Jak pani każe, madame.

Jakiś stłumiony dźwięk, jakby coś spadło, sprawił, że obydwójce umilkli i z przestraszeniem odskoczyli od siebie, żeby nasłuchiwać, czy nikt nie nadejdzie. Na zamku znów nastała cisza.

— Ale co będzie, jeśli on się tu pojawi przed waszym wyjazdem? — zapytał jeszcze ciszej niż dotąd Freiwald.

— Proszę się modlić, jak ja się modłę, żeby nie przyszedł do naszego wyjazdu. A jeśli nawet, to proszę go odprawić, żelgać, że już wyjechałam. — Ścisnęła przedramię Freiwalda. — Niech pan mi powie cokolwiek, co go uchroni przed spotkaniem z Charles'em. Oni nie mogą się spotkać, monsieur Freiwald. Antoni nie może się dowiedzieć, że mój mąż tu jest. Z tego, co mi wiadomo, to jutro wyjeżdżamy, więc może nam się uda.

— Oby tak było, jak pani mówi, madame Treillard. W przeciwnym razie grozi nam wszystkim niebezpieczeństwo.

Émilie potaknęła, choć miała ochotę dodać, że to jest śmiertelne niebezpieczeństwo. Charles mógł ich wszystkich zamordować, nie zważając nawet na obecność cesarza, i to byłaby doprawdy łagodna zemsta. O wiele bardziej prawdopodobne było jednak to, że będzie się nad nimi kolejno pastwił, aż będą błagać o śmierć. Żeby więc nie narażać niepotrzebnie Freiwaldów, pożegnała się pośpiesznie z Ludwigiem i wróciła do swojego pokoju. Kiedy Charles się obudził, najspokojniej jak tylko potrafiła, pakowała swoje rzeczy do podróznego kufra.

Generał musiał być bardzo utrudzony, bo nie słyszał początkowo jej nerwowej krzątaniny. Dopiero pukanie do drzwi służącej, która o zwykłej, wcale nie tak wczesnej porze, przyniosła śniadanie do pokoju Émilie, wyrwało go ze snu.

— Widzę, że szykujesz się do drogi. — Ziewnął i przeciągnął się. Usiadł na łóżku, opuszczając nogi na podłogę. Podrapał się po zmierzwionych włosach i wstał. — Niepotrzebnie. Pozostaniemy w Osterode. Cesarz nadal potrzebuje tutaj zaufanych ludzi...

— Nie mogę tu zostać — przerwała mu, nie mogąc znieść jego pewności siebie i planów, które kompletnie jej nie obchodziły. Może i bała się Charles'a, ale choć raz mogła mu się sprzeciwić, bo miała za sobą wolę i autorytet samego imperatora.

Treillard zmrużył oczy i podszedł do niej. Nie cofnęła się, choć cuchnął koźmi i potem. Oczy lśniły mu jak w gorączce, a zniekształcona blizną i nienawiścią twarz przypominała gargulca, jakich wiele Émilie widywała na kościołach w Paryżu. Być może Charles mógłby uchodzić za przystojnego, gdyby nie wywoływał strachu i nie był okrutnikiem. Zachował silne, umięśnione ciało, a jego zbyt długie włosy i bokobrody dopiero co zaczęły siwieć. Rozchełstana koszula odsłaniała bliznę na barku ciągnącą się przez pół klatki piersiowej, jednak nawet to nie wywołało u Émilie żadnych cieplejszych uczuć. Nienawidziła go tak bardzo, jak bardzo kochała Antoniego.

— Jak to nie możesz tu zostać? Co ty za brednie...

— Cesarz chce, żebym towarzyszyła mu w drodze do Finckenstein. — Z satysfakcją obserwowała, jak twarz męża wykrzywia gniew. Zapewne pomyślał, że Napoleon zrobił z niej swoją kolejną kochankę.

— Jak to? Po co? — Zacisnął dłonie tak mocno, aż usłyszała, jak strzelają w nich stawy, a kiedy nic nie odpowiedziała, delektując się jego bezsilnością, chwycił ją za ramię tak mocno, że skrzywiła się z bólu.

— Chce, bym umiliła pobyt w Finckenstein pewnej hrabinie. — Wciąż patrzyła mu prosto w oczy.

Charles puścił ją i zaczął się śmiać, co zachwiało jej świeżą i chwilową pewnością siebie.

— Ty w roli przyzwoitki. — Ledwie mógł mówić. — Tylko pogratulować cesarzowi wyboru. — Spoważniał tak samo nagle, jak zaczął się śmiać. Ponownie wbił palce w jej ramię i wysapał tuż przy jej twarzy:

— Nie wie, że jesteś pospolitą dziwką parzącą się z kim popadnie, kiedy tylko zniknę z pola widzenia. Ale się dowie.

Émilie miała nadzieję, że nie dostrzegł strachu malującego się w jej oczach. Nie obchodziło jej, co pomyśli cesarz, ale przez Charles'a mógł on zrezygnować z jej usług. Nie mogła do tego dopuścić.

— Może i jestem dziwką, ale też jestem jedyną francuską szlachcianką mogącą zapewnić towarzystwo hrabinie Walewskiej. Cesarz nie może się wręcz doczekać, by się z nią zobaczyć. Jak myślisz, dlaczego kazał ci szukać siedziby godnej królów? Wiesz, że sam nie dba o wygody. Dlatego nie radzę ci mówić mu, że kobieta, dla której wreszcie znalazł odpowiednią oprawę, będzie się tam nudziła, bo tobie to nie odpowiada. — Oddychała ciężko, jakby właśnie zsiadła z galopującego rumaka, mimo to starała się zachować spokój. Obserwowała, jak Treillard walczy ze sobą, aż wreszcie warknął i zaklął. Wygrała. Mogła odetchnąć z ulgą, bo postawiła na swoim.

— Nie myśl, że puszczę cię tam samą. Będę cię pilnował i pojedę razem z tobą — wyszczał, celując w nią palcem. — Niech to jasny szlag! *Merde!* — Obiema dłońmi zaczesał włosy do tyłu. Jeszcze dobrych kilka minut miotał się po pokoju, kiedy Émilie stała w bezruchu, pozwalając, by emocje opadły. Nie dane jej było złapać oddechu, bo rozległo się pukanie.

— Wejść! — wrzasnął Charles.

W drzwiach stanęła Anna Sawatzki. Dygnęła skromnie, co zdziwiło Émilie i wypełniło jak najgorszymi przeczuciami.

— Kim jesteś i jak śmiesz tu wchodzić?! — warknął generał.

— To siostra żony zarządcy zamku, Anna Sawatzki — przedstawiała ją Émilie, zanim nieświadoma niebezpieczeństwa dziewczyna zdążyła się odezwać. — Mój mąż przyjechał w nocy — zwróciła się do Anny, zrobiwszy w jej stronę kilka kroków, tak by zasłonić ją przed wzrokiem Charles'a. Chwyciła ją za ramię i ledwie zauważalnie pchnęła w stronę drzwi, ale dziewczyna nie dała się ruszyć z miejsca. — Chcemy porozmawiać. Poślę po ciebie, kiedy skończymy śniadanie. — Émilie usiłowała dać znać mimiką, że Anna powinna opuścić pokój, jednak jej nerwowe gesty nic nie zmieniły.

Charles podszedł do nich i Francuzka straciła nadzieję na pozbycie się gościa z pomieszczenia. Ogarnęła ją panika. Generał odsunął żonę na bok i zmierzył Annę zagadkowym spojrzeniem, a ta śmiało popatrzyła mu w oczy, aż się roześmiał. Émilie przyszło do głowy, że tych dwoje ma więcej ze sobą wspólnego, niż mogłoby się wydawać. Zaraz jednak otrząsnęła się z tej niedorzecznej myśli. Anna była młodzieńca i naiwna, a może przez to nieco zbyt butna, dlatego Émilie musiała ją chronić.

— Widzę, że nasz gospodarz głęboko schował najcenniejsze skarby.

— Spotkaliśmy się już, panie generale — odparowała śmiało Anna.

— Tak? Chyba musiałem być chwilowo niepoczytalny, żem takiego klejnociku nie zauważył.

Dziewczyna pokraśniała z zadowolenia, zaś Émilie z każdym jego słowem ogarniała coraz większą trwoga.

— Daj spokój, Charles, to jeszcze dziecko. Wracaj do swoich zajęć, Anno. My musimy się przygotować do wyjazdu. — Usiłowała pozbyć się dziewczyny za wszelką cenę, ale ta wciąż stała przed nimi i nie miała zamiaru się ruszyć.

— Ależ żono. — Charles nie spojrział nawet na Émilie, choć to do niej się zwracał. Jego spojrzenie było utkwione w Annie. — Świetnie się składa, że odwiedziła nas urocza panna Sawatzki. Będzie nam mogła zdać relację z tego, co pod moją nieobecność działo się z moją żoną. — Charles zrobił szeroki gest ręką, zapraszając dziewczynę, by zajęła miejsce na krześle przy niewielkim stoliku. Anna skwapliwie skorzystała z zaproszenia i usiadła, rzucając przy tym przerażonej Émilie wzgardliwe spojrzenie.

— Cóż ciekawego nam powie panna Sawatzki? — zagaił Charles.

— Życie na zamku, panie generale, do najłatwiejszych nie należy, ale pańska małżonka wykazała się niezwykłym hartem ducha i znosiła wszelkie niewygody bez narzekań — powiedziała pewnym głosem Anna, kładąc nacisk na słowo niewygody.

Émilie odetchnęła z ulgą. Cieszyła się, że uwaga męża skupiła się na dziewczynie, bo nie mógł dostrzec, jak bardzo ona sama bała się tego, co powie Anna.

— Moja żona to doprawdy dzielna niewiasta i nie cofnie się przed niczym, jeśli coś sobie postanowi. Nie ugnie się, nawet mając w perspektywie karę. — Tym razem Charles popatrzył na żonę, która z bladym uśmiechem mu przytaknęła.

I Anna, i Charles nie mówili wprost, ale obydwójce zwracali się do Émilie z intencją zastraszenia jej, nie wiedząc o tym wzajemnie.

— Wiesz, moja droga żono, właśnie przyszła mi do głowy wyśmienita myśl. — Charles był tak z siebie zadowolony, że kolejny zimny dreszcz przebiegł po plecach Émilie. — Zabierzmy ze sobą pannę Sawatzki.

— Nie sądzę, by oderwanie jej od bliskich... — Próbowwała ratować sytuację, ale Charles nie dał jej dokończyć, zaś w oczach dziewczyny błysnęła radość. Zupełnie jakby tylko na taką propozycję czekała.

— O co chodzi, moja droga? — Mąż podszedł do Émilie i próbował dotknąć jej twarzy, ale uchyliła się. — Powinnaś się cieszyć. Będziesz miała towarzystwo i opiekę, zwłaszcza że do rozwiązania możesz potrzebować pomocy, a potem będzie ci potrzebny ktoś do opieki nad dzieckiem. — Wymownie popatrzył na jej brzuch, na co ona odruchowo się cofnęła.

— Przypominam ci, że to ja mam stanowić towarzystwo i rozrywkę. Poza tym o pozwolenie na zabranie ze sobą panny Sawatzki powinniśmy zapytać jej opiekuna...

Kolejny raz Charles jej przerwał, tym razem głośnym śmiechem.

— Ależ moja droga, czy ty uważasz, że Napoleon pytał kogokolwiek o pozwolenie na wkroczenie do tego miasta? Że jakikolwiek żołnierz pyta w podbitym kraju o pozwolenie na cokolwiek? — Podszedł do Anny i chwycił prawą dłoń jej twarzy. Ta nieświadoma niebezpieczeństwa wpatrywała się teraz już z zachwytem w twarz Treillarda. — Najeźdźca bierze prawem zwycięzcy, a podbity oddaje prawem pokonanego. — Charles pochylił się i wycisnął na ustach dziewczyny szybki, mocny pocałunek. Zaraz potem puścił ją i odwrócił się do Émilie. W oczach Anny pojawił się błysk satysfakcji.

— Ona pojedzie z nami.

Zabranie ze sobą Anny było jak wydanie na nią wyroku, jednak Émilie wiedziała, że dalsze przekonywanie Charles'a może zaowocować tylko wywołaniem napadu wściekłości.

— Dziękuję, panie generale. — Anna wstała i dygnęła przed mężczyzną. — Obiecuję zająć się madame Treillard i jej dzieckiem najlepiej jak potrafię, bo dość już się nadenerwowała, czekając na pana powrót. — Złośliwość, z jaką to powiedziała, zaskoczyła Émilie, która zrozumiała, że znająca jej sekrety dziewczyna może w każdej chwili je ujawnić. Była więc zagrożeniem, bronią gotową wypalić w najmniej oczekiwanym momencie. Dlatego generałowa z ulgą patrzyła, jak Anna opuszcza pokój, odprowadzana pożądanym spojrzeniem Charles'a.

III

Antoni nie mógł spać całą noc. Przewracał się z boku na bok w marnym łóżku zbitym z desek naprędce tak samo jak wojskowy barak, który stanowił jego mieszkanie przez czas pobytu w mieście. W końcu koledzy zaczęli marudzić, że nie daje odpocząć po wyczerpującym dniu, kiedy odbywali

musztrę przed rychłym wyjazdem na północ. Zmęczony, niedospany i stęskniony za Émilie, ledwo zwał się bladym świtem na poranne ćwiczenia. Nie mógł się doczekać wieczoru, kiedy będzie mógł wymknąć się z obozu i spotkać z ukochaną. Jednak szybko okazało się, że nie uda mu się z nią zobaczyć, bo przyszedł rozkaz i mieli ruszyć w stronę obleganego od tygodni Gdańska, by wzmocnić siły marszałka Lefebvre'a. Dzień zapowiadał się pogodny. Słońce dopiero rodziło się w niewielkim jeziorze, nad brzegiem którego stacjonowali, ale już czuć było w powietrzu ciepło, więc dowódca nie miał zamiaru czekać na upał. Zamiast musztry dał żołnierzom czas na zebranie swojego nędznego dobytku. Patrząc na Podolskiego, zakazał pożegnania kokot pozostawionych w mieście, co pułk przyjął chichotem wydobywającym się z wielu gardeł, aż dowódca musiał zgromić rozluźnione zanadto towarzystwo ostrym słowem.

Antoni cieszył się względami dowódcy i mianowany ordynansem, czasem wykonywał jego drobne rozkazy, a dzięki temu mógł się wymykać poza obóz. Jednak tym razem nie było o tym mowy. Podolski zebrał swój tobołek i przygotował konia, ale cały czas czuł niepokój i rozglądał się, czy aby na pewno nie uda mu się wymknąć choć na chwilę, by uprzedzić Émilie o wyjeździe. Nic jednak na to nie wskazywało.

Wreszcie po zaledwie godzinie od wschodu słońca uformowali szyk i ruszyli ku wyjazdowi z obozu. Podolski miał wrażenie, że ciało mu płonie. Czuł się jak rak gotowany żywcem w garze. Jego koń podrygiwał pod nim niespokojnie, wyczuwając niepokój i wzburzenie jeźdźca. Przekraczali właśnie granicę obozu w pyle unoszącym się znad piaszczystej drogi, wśród rytmicznego stukotu kopyt oraz pobrzękiwania uzbrojenia. Razem z nimi ciągnęło na północ jeszcze kilka oddziałów. Byli to nie tylko Polacy zwerbowani w wyniku wysiłków generała Dąbrowskiego czy księcia Poniatowskiego, ale też Francuzi przybyli ze swojej ojczyzny, w większości jeszcze bardzo młodzi. Pułk Antoniego odcinał się od granatowych mundurów, bo ich ubranie stanowiły mundury w kolorze zielonym. Mieli żółte wyłogi przy kurtach i lampasy na spodniach. Poza tym byli szaserami, a więc mieli konie, dlatego droga nie powinna ich tak wycieńczyć jak piechurów.

Wreszcie Antoni nie wytrzymał, wysforował się z szeregu i zbliżył do dowódcy.

— Panie pułkowniku, za pozwoleniem, muszę zawrócić do miasta — zawołał, przekrzykując rumor, jaki robiło wojsko.

Dowódca zaśmiał się basowo i zerknął porozumiewawczo na towarzyszącego mu oficera.

— Oj, Niewiadomski, za skórę ci zalazła ta kokota. Bo pewnikiem chcesz ją pożegnać, ale na twoim miejscu dałbym sobie spokój, bo i tak z tej wojny cało nie wrócim, więc po co jej nadzieję robić.

— Panie pułkowniku, nie godzi się tak postąpić. Jakbym uciekał, a ona...

— Jak kocha, to poczeka, Niewiadomski. — Tym razem i pułkownik, i drugi oficer zaśmiali się jednocześnie. — Wracaj do szeregu, pókim dobry.

— Tak jest, panie pułkowniku — odrzekł markotny Podolski i zawrócił konia, ale kiedy spojrzał na wyłaniające się z porannej mgły miasto, na widoczny z daleka kościół i bryłę zamku, a potem wspomniawszy Émilie, nachylił się w siodle, dźgnął konia piętami i puścił się galopem wzdłuż szeregów wojska.

— Niewiadomski! Wracaj! — Dobięło do jego uszu wściekłe wołanie pułkownika, lecz szybko zagłuszył je pęd wiatru.

— Dogonię pułk! — odkrzyknął, choć nie miał pewności, czy ktokolwiek go usłyszał.

Liczyła się tylko ona. Gnał ile sił w nogach, obawiając się, że pułkownik kazał go ścigać. Potrzebował tylko kilku minut, krótkiej rozmowy, spojrzenia jej błękitnych oczu. Potem mógł wojować nawet na drugim końcu świata, żeby wreszcie wrócić i ją odnaleźć. Ale musiała wiedzieć, gdzie się spotkają, gdzie będzie na nią czekał. Wpadł do miasta i pokonywał uliczki, nie wyhamowując konia, który kilka razy o mało nie stratował ludzi. Dopadł wreszcie zamkowej bramy, zeskoczył ze zgrzanego wierzchowca i zdyszany, spocony, zażądał spotkania z zarządcą zamku. Jakoż Freiwald pojawił się zaraz u bram, ale widok jego pobladłej twarzy wywołał w Antonim złe przecucia.

— Madame Treillard już tu nie ma — zaczął Freiwald, a pod Podolskim nogi się ugięły. — Cesarz przeniósł się wraz z całym dworem do Finckenstein, a ona pojechała z orszakiem.

— Kiedy? — wykrztusił Antoni. W ferworze nie zwrócił uwagi na nie tak liczne jak zawsze

warty i zdecydowanie mniejszą liczbę ludzi kręcących się po zamkowym dziedzińcu.

— Wczorajszego dnia, ruszyli bladym świtem.

— Nie wiedziała wcześniej? Nie mogła posłać kogo? Dlaczego? — rzucał pytaniami, choć dobrze wiedział, jaką odpowiedź usłyszy. Émilie była uparta i zrobiłaby wszystko, by go chronić. Czuła się za niego odpowiedzialna, tak jak matka czuje się odpowiedzialna za niesforne dziecko. Wściekłość paliła mu wnętrzności. Zacisnął zęby i chwycił Freiwalda za ubranie.

— Dlaczego, pytam?

— Zabroniła o tym mówić. Zeszłej nocy przyjechał tu jej mąż.

— Treillard tu był? — Antoni spiął się i jeszcze mocniej zacisnął palce na ubraniu zarządcy.

— Tak — wystękał mężczyzna. — Madame uratowała nas wszystkich, odciągając generała od Osterode, ale on kazał naszej Annie z nimi jechać. — W oczach Freiwalda błysnęły łzy, jednak Antoni pozostał obojętny.

— Mówiła coś o mnie? — Potrząsnął rozmówcą.

— Kazała pana pożegnać i życzyć mu szczęścia w życiu, a także prosić, żeby pan jej nie szukał.

Antoni puścił mężczyznę i zapadł się w sobie. Uciekła od niego. Definitywnie uciekła, zerwała znajomość, bo jak inaczej miał to sobie wytłumaczyć. Ukrył twarz w dłoniach. Słyszał, jak zrozpaczony zarządca pociąga nosem.

— Gdzie jest to Finckenstein?

— Trzeba jechać na Eylau, a potem na Rosenberg. — Freiwald pokazał ręką na zachód. — Tam powiedzą, gdzie pałac Finckenstein.

Podolski wcisnął mocniej czapkę na głowę, chwycił cugle i dosiadł konia, który obrócił się w miejscu.

— Oby nasze drogi nigdy już z powodu wojny się nie skrzyżowały, monsieur Freiwald. Żegnaj! — rzucił do zarządcy, spiął konia i ruszył w drogę.

IV

Finckenstein przywitało orszak Napoleona lśniącymi w kwietniowym słońcu czerwonymi dachami i zaróżowioną wstydliwie elewacją, od której odcinały się białe gzymsy i obramowania okien. Cesarz swoim zwyczajem przemierzał podbite ziemie na grzbiecie własnego rumaka. Przed wszystkim był żołnierzem nienawykłym do wygod i zbytków, a potem dopiero władcą, który też nie zawsze chciał i potrafił korzystać z przywilejów zajmowanej pozycji. Zobaczywszy rozległą rezydencję, do której prowadziła kuta brama ograniczona dwoma słupami, uniósł się w siodle i wykrzyknął rozentuzjzmowany:

— Nareszcie pałac!

Émilie na ten okrzyk wychyliła się z powozu. Zaciekawiona Anna zerknęła zza jej pleców na wspaniałą rezydencję okalającą dziedzińiec w kształcie podkowy, do którego prowadził długi podjazd z sadzawkami rozciągającymi się dookoła symetrycznych trawników po obu stronach. Zdecydowanie była to siedziba godna cesarza, a Émilie pierwszy raz od momentu, kiedy przyszło jej podróżować przez Prusy, stwierdziła, że tutaj można żyć równie wygodnie jak we Francji. Pierwszy raz od dawna odetchnęła też pełną piersią. Ulga, którą odczuwała, była związana z tym, że zarówno Antoni, jak i Freiwaldowie znaleźli się z dala od niej i nie groziło im niebezpieczeństwo. Miała nadzieję, że Podolski nie będzie na tyle szalony, by zignorować rozkazy i podążyć za nią. Modliła się, by nie ucierpiał w czasie walk, w które zostanie rzucony jego oddział, bo przecież rolą żołnierza było staczać bitwy, nie gnuśnieć w obozie, a dla Napoleona nawet pokój był tylko przerwą pomiędzy wojnami. Teraz, kiedy miał odpowiednią siedzibę i pogoda sprzyjała, było kwestią czasu, kiedy zwycięska *Grande Armée* ruszy dalej na wschód.

Senior rodu, jak się szybko okazało, przebywał u boku króla pruskiego, natomiast pałac zostawił pod opieką swego syna, Alexandra zu Dohna, mężczyzny o wyglądzie dobrze odkarmionego wieprzka o gładko uczesanych, niezbyt bujnych i zupełnie prostych włosach, które układano mu tak, by nie ujawniały sporych zakoli i łysiny.

Émilie przydzielono pokój w jednej z piętrowych oficyn stojących po obydwu stronach

dziedzińca, gdzie były pomieszczenia dla mniej znamienitych gości i gdzie ulokowano dumnych właścicieli rezydencji. W pokojach pałacowych umieszczono bowiem towarzyszących cesarzowi marszałków: Bessièresa, Murata i Berthiera oraz ministra Talleyranda, który dołączył ze swymi ludźmi do cesarskiego orszaku nie wiadomo kiedy. Anna zamieszkała w niewielkim pokoiku obok pokoju żony generała. Na szczęście w czasie podróży do Finckenstein nie miała zbyt wiele okazji do rozmów z Charles'em, ale Émilie czujnie ją obserwowała. Była przekonana, że jej mąż stanowi zagrożenie dla dziewczyny, a ta, nawet wbrew sobie, może zdradzić sekrety Émilie.

Nie musiała czekać długo, bo Treillard jeszcze tego samego wieczoru znalazł okazję po kolacji w towarzystwie właściciela, jego rodziny oraz kilku oficjeli, którzy zjawili się w zamku, by spotkać się z cesarzem, podejść do Anny. Lada moment do tej zbieraniny powinni dołączyć marszałkowie i wszyscy oni mieli zdecydować o dalszych losach tłącej się nieprzerwanie od miesięcy wojennej zawieruchy.

Émilie zauważyła, że w zamieszaniu wywołanym rozejściem się uczestników kolacji Charles odciągnął Annę na bok, za fragment muru, na którym wyrzeźbiono fantazyjnie tynk tak, że przypominało to podpiętą kotarę. Dziewczyna uśmiechała się, rzucając Émilie prowokacyjne spojrzenia, jakby chciała powiedzieć:

— Twój mąż woli mnie.

W jej wzroku czaiła się też niewypowiedziana groźba. Generałowa nie była pewna, ile jeszcze czasu jej pozostało i kiedy Anna zdecyduje się wyśpiewać Charles'owi całą prawdę. Te obawy i niepewność odsuwały od Émilie tęsknotę za Antonim, ale nocami myślała o ich ostatnim spotkaniu, które było bodaj najpiękniejszym, czego kiedykolwiek doświadczyła za sprawą drugiego człowieka.

Na szczęście wkrótce Émilie została wezwana na piętro północnego skrzydła, gdzie w niewielkim, acz urządzone z przepychem pokoiku została umieszczona hrabina Walewska, której miała umilać czas pobytu w Finckenstein. Francuzka postanowiła też od razu zacząć działać i wtajemniczyć tę młodą kobietę w swoją misję. Zakładała, że Walewska może mieć duży wpływ na cesarza. Na szczęście Anna nie mogła przebywać z Émilie w pokojach głównego budynku. Żonę generała prowadził sługa, który dyskretnie oddalił się, gdy wykonał powierzoną mu misję.

Émilie dygnęła przed Walewską, a ta poderwała się z niewielkiej sofy, jak tylko zobaczyła gościa. Hrabina była niższa od Francuzki. Miała pięknie ułożone, jasne włosy. Jej postawa, atlasowa błękitna suknia i delikatne klejnoty świadczyły o wysokiej pozycji, jednak wciąż ta na oko dwudziestolatka bardziej przypominała przestraszone dziewczę niż metresę cesarza Francuzów.

— Pani hrabino, nazywam się Émilie Treillard i będę pani towarzyszyć w czasie pobytu w Finckenstein.

— Tak się cieszę, że nie będę tu sama. — Walewska podeszła do niej. — To najlepsze i zarazem najgorsze, co spotkało mnie w życiu, madame Treillard. Nie zniosłabym tego w pojedynkę.

Émilie mogła zrozumieć zagubienie i niepewność kobiety, a także poczucie osamotnienia, bo wiadomo było, że im mniej osób dowie się o jej pobycie tutaj, tym lepiej. Stała się więźniem i cóż, że w złotej klatce? Zamiast jednak powiedzieć, co myśli, Francuzka uśmiechnęła się ciepło i ze współczuciem do Walewskiej.

— Postaram się być na ten czas pani wsparciem i jeśli tylko pani zechce, także przyjaciółką.

Jakoż kilka dni i kilka spacerów później, pod osłoną wieczornych cieni rzucanych przez drzewa w pięknym parku wiodącym wprost nad brzeg urokliwego jeziora, Émilie osiągnęła swój cel i zdobyła zaufanie Marii, która zorientowawszy się, że ma równą swojej pozycji osobę, zaproponowała jej mówienie do siebie po imieniu.

— Cesarz uprzedził mnie, że będę miała kogoś do towarzystwa, ale nie przypuszczałam, że to będzie tak wspaniała kobieta, w której znajdę powierniczkę i pocieszycielkę, droga moja Émilie. Gdyby nie ty, nie wolno by mi było nawet wyjść do parku. Owszem, jadamy z cesarzem wspólnie śniadania, ale on połyka swoje, nim zdążę wziąć choćby kęs, a potem jedyną moją rozrywką jest przypatrywanie się przez okno, jak prowadzi niekończącą się musztrę swoich oddziałów, jak gna wzdłuż szeregów na swoim koniu. Większość czasu i tak spędza ze swymi doradcami, marszałkami, dyplomatami. A wtedy ja tęsknię do mojego synka...

— Więc masz syna? — Émilie ucieszyła ta informacja jak nic innego. Matka odsunięta od

dziecka mogła najłatwiej zrozumieć inną matkę.

Był ciepły jak na kwiecień wieczór i kobiety skryły się w pawilonie wyłożonym z zewnątrz i wewnątrz skorupami ostryg, gdzie woda kaskadami spływała w specjalnych niszach, w których ustawiono posągi. Jej szmer uspokajał i zagłuszał rozmowę na tyle, że nawet nie było możliwości, by ktoś mógł cokolwiek podsłuchać. Od jeziora bił niezbyt przyjemny chłód, mimo to żadna z kobiet nie chciała jeszcze wracać do pałacu.

— Tak. Ma dwa latka, na imię mu Antoni — Maria uśmiechnęła się smutno i otuliła szczelniej ciepłym szalem.

Na dźwięk tego imienia Émilie zabiło żywiej serce, jakby los robił jej wyrzuty z powodu porzucenia ukochanego. Tymczasem Walewska mówiła dalej:

— Czasem zastanawiam się, po co ja tu przyjechałam? Ale czy mogłam odmówić cesarzowi? Czy wypadało odmówić ojczyźnie?

— Jak to ojczyźnie? — zdziwiła się Émilie i wskazała rozmówczyni niewielką kamienną ławkę, na której służba ułożyła ciepły pled, gdyż wiedziała, że kobiety chętnie tu zaglądają.

Walewska przysiadła obok Émilie i westchnęła ciężko.

— Nie jest tajemnicą, że mam męża starszego ode mnie o pół wieku, za którego wydano mnie wbrew mojej woli. Zainteresowanie cesarza moją osobą sprawiło, że nawet on, a nie tylko stronnictwa patriotyczne, zaczął mnie nakłaniać, bym uległa Napoleonowi, upatrując w tym nadziei na odzyskanie tego, cośmy utracili w wichurze dziejowej. — Walewska znowu odetchnęła głęboko i jakby zapadła się w sobie.

Émilie zrozumiała, że Marię przytłoczył ciężar odpowiedzialności, jaką na nią nałożono. Oto miała się poświęcić dla kraju, dla sprawy, dla idei, którą uroiła sobie grupa mężczyzn.

— Kochasz go, Mario? — zapytała cicho.

— Nie wiem. Znamy się tak krótko. Podoba mi się jego siła i stanowczość, ale czasem jest taki... nieokrzesany. Jednak potrafi być też delikatny. Zajmuje go tylko wojna i nic więcej, a teraz, kiedy odbudował siłę armii, o niczym innym nie mówi.

— Więc znowu wojna — szepnęła Émilie. — Gdzie tym razem uderzy cesarz?

— Cóż, dotąd trwa oblężenie Gdańska, ale właściwe siły rozciągnięte są na obszarze od morza aż do Warszawy. Nie bardzo chce o tym ze mną rozmawiać, jednak domyślam się, że niebawem wyruszą na wschód, bo tam ponoć wycofał się Bennigsen po porażce pod Preußisch Eylau.

— A co z waszym państwem? Czy twoje poświęcenie nie pójdzie na marne?

Maria uśmiechnęła się smutno.

— Czasem mam wrażenie, że jestem natrętna jak mucha i z tego mojego uporu coś dobrego dla nas może wyniknąć. Częściej jednak widzę, że Talleyrand ma większy wpływ na cesarza niż ja. Nie wiem, cóż ten człowiek ma w sobie takiego, że potrafi przekonać każdego do wszystkiego, co sobie umyśli. Dlatego mam wrażenie, że to z Talleyrandem powinnam częściej rozmawiać, ale tego nie mogę robić. Jestem tu incognito i w zasadzie niczego mi nie wolno. Może poza byciem zabawką i rozrywką cesarza, kiedy znudzi go galopowanie na koniu i polowanie.

Umilkły obydwie i wsłuchiwały się w szum wody oraz obserwowały, jak wieczór bierze w posiadanie park i wkrada się do groty oświetlonej słabym światłem świec.

— A ty, Émilie, masz dzieci? Bo wydaje mi się... Wybacz to, co powiem, żeś przy nadziei. — W półmroku oczy Walewskiej lśniły ciekawością.

Żona generała uśmiechnęła się smutno. Choć jej ciało wygoiło się niemal całkowicie, to w duszy pozostała rana. Wciąż nieznacznie odstający brzuch pomagał ukrywać poronienie. Nauczyła się, że nikomu nie wolno ufać, więc Walewskiej też nie miała zamiaru mówić wszystkiego.

— Bystra z ciebie obserwatorka, Mario. Spodziewam się dziecka... — Nie przypuszczała, że tak łatwo przyjdzie jej kłamać.

— Kiedyż rozwiązanie? — Walewska chwyciła ją za rękę i uściśnęła z uczuciem. — Chciałabym móc być matką chrzestną twojego dziecka, Émilie.

— Najpewniej w lipcu, ale do tego czasu obydwie możemy być daleko stąd.

— Mąż nie powinien cię odesłać do Francji, żebyś tam w spokoju mogła urodzić?

— Mój mąż mi nie ufa, Mario. Mam jeszcze córkę. Jej ojciec zginął w Egipcie. Tęsknię za nią i bez niej nie mogę się stąd ruszyć, a ona przebywa w Warszawie.

Oczy Walewskiej rozszerzyły się ze zdziwienia i Émilie uznała, że to idealny moment, by wtajemniczyć Marię w tę przygnębiającą historię, która stała się jej udziałem. Oczywiście nie mogła jej wyjawić romansu z Antonim, ale zdradzenie całej reszty mogło pomóc w uwolnieniu się z tego miejsca, zanim Charles zrozumie, że nie będzie żadnego potomka.

— Nie wierzę! — zakrzyknęła Walewska na wieść, że Poniatowski odmówił samemu cesarzowi i nie miał zamiaru uwolnić Marie. — Książę Pepi nie byłby do czegoś takiego zdolny!

— A jednak, droga Mario.

— Czy nic się nie da zrobić? Poproszę cesarza, żeby...

— Obawiam się, że to niczego nie zmieni. Jestem podejrzana o zabójstwo.

— Ale to nie ty zamordowałaś tego człowieka, który cię szantażował, Émilie.

— Owszem, jednak kogo to obchodzi?

Walewska opadła na ławkę, ale widać wciąż w myślach obracała wszystkie zasłyszane od Émilie fakty, usiłując znaleźć jakieś wyjście.

— Jest coś, co mogłoby mi pomóc odzyskać dziecko i oczyścić się z zarzutów, a przynajmniej odkupić moje domniemane winy — powiedziała cicho Émilie, chcąc kuć żelazo, póki gorące.

— Mów!

— Jestem w posiadaniu listu człowieka, który stał za porwaniem Marie i na zlecenie którego działał mój prześladowca. Nie miałam okazji, by dostarczyć go księciu, ale gdybym mogła wrócić do Warszawy, gdybym mogła...

— Cóż stoi na przeszkodzie?! Pomogę ci, na ile będę mogła... A twój mąż...

— Mario, on mi nie pozwoli, bo o niczym nie wie. Gdyby wiedział, ostatecznie przekreśliłby wszelkie moje nadzieje na odzyskanie córki. Marie go nie obchodzi. Odebrałby mi list, spaliłby go albo zaniósł cesarzowi. To człowiek nieobliczalny. — Na samą myśl, co się stanie, gdy Charles odkryje prawdę, Émilie wzdrygnęła się i ciaśniej owinęła szalem. Czas uciekał.

Walewska intensywnie myślała, na co wskazywała głęboka zmarszczka na jej gładkim dotąd czole.

— Jest pewien sposób... — powiedziała w końcu z namysłem. — Uproszę cesarza o pozwolenie na wyjazd i spotkanie z moim synkiem. Antoni przebywa w Warszawie. Zabiorę cię ze sobą, byś mi towarzyszyła w drodze. Kiedy znajdziemy się już w mieście, udam się razem z tobą do księcia Józefa. Nie będzie mógł odmówić kobiecie, która ma wybłagać u cesarza odrodzenie kraju — wypowiadając ostatnie słowa, Maria wyprostowała się i uniosła brodę wysoko.

Émilie wpatrywała się w nią w oszołomieniu. Plan był genialny w swej prostocie, jednak jego powodzenie zależało od zgody cesarza i od tego, czy Treillard nie zechce towarzyszyć im w czasie podróży, tłumacząc to bezpieczeństwem. Podzieliła się swymi obawami z Marią.

— Więc uprzedzę cesarza, że chcemy się wybrać same, pod eskortą jego straży oczywiście, jednak bez twego męża. Imperator może przecież wydać rozkaz generałowi, a ten musi go bezwzględnie wypełnić. — Walewska wzruszyła ramionami. Wyglądała jak mała dziewczynka, której udało się właśnie obmyślić kolejną psotę. — Co ty na to?

Émilie wpatrywała się w jej twarz, na której igrały cienie i blaski świec płonących w grocie. Jeśli w tym kraju-idei, kraju-marzeniu, który nie istniał na mapach, wszyscy ludzie byli tacy jak Antoni i Maria, to być może było to miejsce, gdzie powinna była zostać z Marie.

— Nie jestem pewna, Mario... — Émilie wciąż się wahała.

Walewska położyła jasną dłoń na jej ręce i uściśniła ją.

— Pozwól mi działać. Jutro przy śniadaniu porozmawiam z cesarzem, a kiedy się spotkamy, zdam ci relację z tej rozmowy i powiem, co wskórałam. Coś mi mówi, że wszystko dobrze się skończy.

— Będę twoją dłużniczką — szepnęła Émilie i z uczuciem popatrzyła w oczy rozmówczyni. — Wracajmy do pałacu, zanim cesarz pomyśli, że uciekłyśmy. Późno i zimno się robi.

Śniegocki zgodnie z planem udał się do Pułtuska, ale nie zastał tam Treillarda ani jego żony. Bez trudu znalazł kamienicę, w której mieszkali, jednak według jej właściciela para wyjechała kilka tygodni wcześniej. Michał słusznie domniemywał, że najprędzej znajdzie Treillardów tam, gdzie rezydował cesarz, a ten podobno osiadł w Osterode. Dlatego spędził cały dzień na wypytywaniu o Antoniego, lecz nikt go w mieście nie widział. Mogło być też tak, że przyjaciel ukrywał się i celowo unikał spotkań z ludźmi. Rad nierad Michał wyruszył w stronę Osterode, ale że wyszło mu, iż będzie przejeżdżał blisko Podolan, to postanowił odwiedzić Krysię. Gnał więc bez tchu do ukochanej.

Pierwszym, co zobaczył po zjechaniu na żwirową drogę prowadzącą do dworu, oświetloną czerwonym światłem ostatnich promieni zachodzącego słońca, była spacerująca aleją wzdłuż stawu drobna postać. Zatrzymał konia na wzniesieniu, z którego miał widok na leżący w dole staw i lekko muśnięty świeżą zielenią park, ukrywający dworskie zabudowania rozłożone na przeciwległym wzniesieniu. Upewniwszy się, że tajemnicza postać to Krysia, dźgnął konia piętami po bokach i pogalopował w jej stronę, przeskakując krzewy i klomby wyrastające mu na drodze. Dziewczyna stała na żwirowej ścieżce z uniesioną do oczu dłonią, ale widać musiała i ona rozpoznać jeźdźca, bo zaczęła biec w jego stronę. Śniegocki osadził wierzchowca w miejscu i zeskoczył z niego, a potem ruszył w stronę dziewczyny, żeby ją chwycić w pól i obrócić się z nią wokół własnej osi.

— Krysieńko... — wykrztusił z siebie tylko, bo emocje odebrały mu głos. Przecież nie widzieli się ledwie kilka dni, a już stęsknił się za nią niemożliwie.

To powitanie przerwała im oczywiście Leosia, pojawiwszy się nie wiadomo skąd, zniesmaczona i skrzywiona z powodu tego wybuchu uczuć.

— Szybko pan wrócił do nas — rzuciła zgryźliwie. — I zaraz zgorzenia narobił.

Śniegocki mocniej objął Krysię, która wtulała w jego mundur zapłakaną twarz.

— Zawsze może pani zamknąć oczy, coby nie widzieć mnie i tego zgorzenia — odpowiedział niezbyt grzecznie, ale zaraz się opamiętał. Puściwszy Krysię, chwycił dłonie Leosi i dodał błagalnie:

— Niech pani da nam chwilę pocieszyć się sobą, zanim zjawi się tu kto ze dworu. Nie będę na cześć panienki Krysi nastawał, tylko rozmówić się muszę.

Leosia parsknęła pogardliwie i wyrwała ręce z uścisku męskich dłoni. Na jej twarz wypełzł rumieniec.

— Niech panu będzie. Widziałam we śnie, że nie dane wam będzie żyć w szczęściu. Za dużo przeszkód, za wielu wrogów... — Leosia minę miała upiorną, a jej wzrok błędził gdzieś daleko, jakby się zapadła do wnętrza. Śniegockim wstrząsnął zimny dreszcz, zaś Krysia chlipnęła. Tymczasem Leosia oprzytomniała. — Cieszcie się chwilami, które macie, bo niewiele ich zostało.

Odwrociła się w stronę sadu i odeszła odprowadzana wzrokiem przez Michała, ale jej postać wciąż majaczyła między drzewami, kiedy Śniegocki pociągnął zapłakaną Krysię w stronę obrośniętej pnączem ławeczki. Obrócił dziewczynę do siebie i wycisnął na jej ustach pospieszny pocałunek.

— Niech już Krysieńka nie płacze. Jestem tu tylko na mgnienie, ale gdybym wiedział, że wywołam łzy zamiast radości, to chyba bym nie przyjeżdżał. — Otarł policzki dziewczyny, a ona pokręciła głową, jednak odezwała się dopiero po chwili.

— Nie dlatego ja płaczę, że cię zobaczyła, ale że nam nie dane będzie wspólne życie.

Śniegockiego zamurowało. Odsunął dziewczynę na odległość ramion.

— Co też za bajdy Krysieńka opowiada? Chyba się czego razem z Leosią nawdychały obie...

— Rodzice moi nie pozwolą na małżeństwo. Uradzili tak między sobą — weszła mu w słowo. Teraz dopiero dostrzegł, że zmizerniała, pobladła, a powieki miała opuchnięte, jakby długo płakała.

— A skąd Krysi wiedzieć, co uradzali? Nadto dali mi słowo, że Krysi rękę oddadzą...

— Chcą mnie wydać za tego tam szlachetkę z Olszanicy — jęknęła dziewczyna i łzy ponownie zalśniły w jej oczach. Opowiedziała Śniegockiemu, co udało jej się podsłuchać. Kiedy skończyła, on warknął tylko:

— Niedoczekanie!

— Błagam, mimo to szukaj Antoniego. Pomóż mu oczyścić imię. Bez względu na wszystko nie pójde za innego, choćby mi przyszło skończyć życie.

Michał chwycił dziewczynę za ramiona.

— Ani mi się waż takich desperacji się dopuszczać. Zabraniam! Antoniego znajdę. Potem dopiero rozmówię się z twymi wiarołomnymi rodzicami. Antoni stanie za nami. Musi nam pomóc — powtórzył Michał z mocą i przycisnął do siebie dziewczynę. Potem ucałował ją delikatnie jak najcenniejszy klejnot i nakazał wracać do dworu. — Zajrzę jeszcze do naszego oddziału i zniknę, nim mnie ktokolwiek zobaczy, bo nie mogę spojrzeć w twarz ludziom, którzy poważyc się chcą na taki despekt jak złamanie słowa. — Cmoknął Krysię w czoło. — A tej całej Leosi — wyrysował palcem kółko na czole — zakaż wspominać o mojej wizycie.

— Nie ma tu twoich ludzi. Wymaszerowali dziś o poranku.

Śniegocki drugi raz tego wieczoru zdębiał.

— Przyszedł rozkaz. Ojciec rozmawiał o tym z Ignacym. Cesarz zbiera wojsko i będą ruszać na Moskali.

— Święci pańscy. Jak ich dogonię... — wymamrotał do siebie Michał.

— Ruszyli na Mławę, na główny trakt — wyszeptła Krysia.

— Mój skarb — odpowiedział Śniegocki, z zachwytem wpatrując się w zaróżowioną z zażenowania dziewczynę.

Ucałował jeszcze raz jej słodkie, drobne usteczka i chwycił konia pasącego się swobodnie w sadzie. Zapadał zmrok, a słońce już prawie skryło się za horyzontem, kiedy ruszył w kierunku wskazanym przez Krysię. Oddział nie mógł dotrzeć zbyt daleko i o tej porze pewnie zatrzymał się na popas. On też będzie musiał szukać noclegu, ale szacował, że najdalej za dwa dni połączy się ze swoimi ludźmi, którzy zdążyli tam, gdzie i jego wiodły poszukiwania Antoniego i Treillardów.

Jakoż wcale się nie pomylił, bo dnia następnego minął Soldau¹⁴, a zanim dotarł do Löbau¹⁵, udało mu się dostrzec nie tylko swój oddział, ale i kilka innych, które zdążyły, jak się okazało, w kierunku nowej kwatery cesarza w Finckenstein. Oddziały łączyły się, bo po lasach pono grasowały hordy Moskali i Prusaków z oddziałów rozbitych w kilku drobniejszych potyczkach.

Michał rozpoczął od porządnego wymusztrowania podkomendnego, którego zarządził wymarsz z Podolan bez wyższych oficerów, czyli Podolskiego i Śniegockiego. Nie było czasu na postój, więc łajał chłopaka w trakcie jazdy.

— Bałamutniki jedne, bez rozumu, żeby samopas...

— Z rozkazu cesarza... — wymamrotał chłopak z czerwoną ze wstydu twarzą i głową opuszczoną tak nisko, że prawie nią dotykał łęku siodła.

Śniegocki ściągnął cugle wierzchowca i osadził go w miejscu tak, że podkomendny ledwie co zdążył przed nim wyhamować.

— Milczeć mi! Jak oficer gada, to cisza ma być! Zrozumiał? Dowódca z Koziej Wólki, myśli, że oddział to jego folwark, a ułani pospolite barany, co gdzie popędzisz, tam pójda!

Podkomendny w milczeniu zniósł resztę niesłusznej reprimendy, bo Michał doskonale wiedział, że nie powinien był opuszczać ludzi i zdawać dowództwa temu młodzikowi z delikatnym wąsikiem nad górną wargą, co ledwie chyba od matczynej piersi oderwana. Ale on jeden się nadawał, a to, że zarządził wymarsz, świadczyło o jego dojrzałości i bystrości. Rozkaz trzeba było bowiem wypełnić, tym bardziej że młody służbista uratował samowolą tyłek oficerów, a zwłaszcza Michała, który ganiał po Warszawach, zamiast pilnować ludzi. W ten sposób Śniegocki po prostu wyrzucił buzujące w nim po spotkaniu z Krysią emocje i złość na zamierzających go wykorzystać i oszukać Podolskich. Cokolwiek by się wydarzyło, postanowił tak łatwo nie dać się wyprowadzić w pole. Najpierw jednak musiał odnaleźć tego bałamutnika Antoniego. Spiał konia i popędził ludzi.

ROZDZIAŁ VIII

I

Następnego dnia po rozmowie z Marią w ogrodowej grocie Émilie o zwykłej porze, czyli po śniadaniu, udała się do jej pokoju, gdzie miały spędzić większość dnia. Obiady cesarz jadał w towarzystwie dostojników rezydujących w pałacu, a podobno na dniach miało się pojawić poselstwo perskie, więc Walewska z pewnością czuła się zaniedbana i samotna. Émilie z ulgą przyjmowała konieczność zabawiania hrabiny, bo im mniej czasu miał okazję obserwować ją Charles, tym dłużej mogła udawać ciężarną.

Za to Anna czuła się coraz pewniej i coraz mniej ukrywała się z uwielbieniem, którym niewątpliwie darzyła generała. Zresztą on też nie krył się z powodami, dla których zabrał ją z zamku i bez zbędnych ceregieli uwodził Annę, co go najwidoczniej bawiło, zaś dziewczynie imponowało. Na nic zdały się rozmowy Émilie z niedoświadczoną młodą kobietą i ostrzeżenie, by uważała na Treillarda.

— Nie obawiaj się. Nie odbiorę ci męża — parsknęła upominana. — Daję mu to, czego ty pani skąpisz z powodu domniemanej ciąży.

Żonę generała zatkało z oburzenia. Dziewczyna robiła się z dnia na dzień coraz bardziej bezczelna, ale Émilie nie miała o to do niej żalu. Raczej paraliżował ją strach, że Treillard w końcu pokaże swe prawdziwe oblicze i że Anna ją zdradzi.

— Anno, błagam cię, bądź ostrożna. Charles jest niebezpieczny. Im rzadziej cię widzi, im mniej zwracasz na siebie jego uwagę...

— Za późno, pani Treillard. Proszę raczej uważać na siebie — warknęła dziewczyna i dygnawszy, odeszła bez pozwolenia.

Émilie zrobiło się słabo. Nie pierwszy raz Anna jej groziła. Na szczęście zaraz przyszedł lokaj, który odprowadził żonę generała do pokoju Marii. Walewska doskoczyła do niej, jak tylko drzwi za mężczyzną się zamknęły.

— Och, Émilie, mam ci tyle do przekazania! — Chwyciła kobietę za ramię i pociągnęła na sofę, która poza łóżkiem, stolikiem oraz komodą z dwoma fotelami o jasnych, drewnianych podłokietnikach, stanowiła wyposażenie niewielkiej sypialni. — Rozmawiałam z cesarzem. Na początku nie bardzo chciał przystać na nasz plan, jednak dotąd utyskiwałam, dotąd popłakiwałam, aż zgodził się na naszą wycieczkę do Warszawy. — Maria klasnęła w dłonie wielce uszczęśliwiona. Cała promieniała, nie wiadomo, czy dlatego, że miała się spotkać z synem, czy może z powodu tego małego kobiecego zwycięstwa odniesionego nad mężczyzną, który trząśł w posiadach całą Europą, ale ulegał kochance.

— Kiedy możemy wyjechać? — Émilie niezmiernie ucieszyła się na tę wiadomość. Wreszcie mogła działać i planować.

— To jest właśnie najlepsze, że już jutro rano.

— Jutro? O mój Boże! Trzeba nam się więc szykować do drogi. — Z podniecenia serce Émilie biło jak szalone, a dłonie miała wilgotne. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, może już za kilka dni będzie mogła tulić w ramionach córkę. Zaraz jednak posmutniała i zeszywniała. — Charles... — wyszeptwała.

— Co z nim? Przecież jedziesz ze mną zgodnie z wolą cesarza, nie może cię zatrzymać. Uprzedziłam Napoleona, że chcę cię ze sobą zabrać. Będzie nam towarzyszył oddział straży na wypadek, gdyby kto nas chciał zatrzymać. Ponoć roi się w lasach od podejrzanych typów. Poza tym wyruszamy incognito. Pamiętaj, że prawie nikt nie wie, że tu jestem, a jeszcze mniej osób wie, że jutro wyjeżdżamy.

— Nie wiesz, do czego on jest zdolny, Mario. — Popatrzyła żałośnie na Walewską, ale nie miała zamiaru wyjawiać jej szczegółów ze swego życia. Nie zależało jej na współczuciu, a wątpiła, aby ta młoda kobieta doświadczyła kiedyś przemocy, by poznała coś więcej niż wygodne dworskie życie. Była nieskalana okrucieństwem, słodko naiwna i wierzyła w swój urok osobisty, zaś romans z najważniejszą mężczyzną w Europie tylko ją w tym utwierdził.

— Zaufaj mi — powiedziała pewnie Walewska i uściśnęła dłoń Émilie, która przez chwilę miała nadzieję, że wszystko jeszcze może się dla niej dobrze skończyć.

Jednak kiedy po obiedzie zjedzonym w towarzystwie Marii wróciła do swego pokoju, czekał tam

na nią Charles. Jego mina nie wróżyła nic dobrego. W dłoni trzymał szpicrutę, którą rytmicznie uderzał w cholewę wysokiego buta do konnej jazdy. Stał na tle okna w aureoli słonecznego blasku i gdyby nie szrama biegnąca w poprzek twarzy i grymas złości, wyglądałby jak marzenie niejednej kobiety. Émilie, przełamując strach, który ścisnął jej gardło i zatamował oddech, spytała:

— Cóż cię do mnie sprowadza? Myślałam, że przebywasz razem ze swoim oddziałem na musztrze. — Starła się zachować spokój i pohamować drżenie głosu. Jednocześnie przesunęła się bliżej fotela, który stanowił marną zasłonę, jednak odgradzał ją od Charles'a.

Ukradkiem rozejrzała się po pokoju. Wysłała wcześniej służbę, by wydał dyspozycje dotyczące spakowania najpotrzebniejszego bagażu, ale nie dostrzegła nigdzie podróznego kufra, a jej ubrania leżały w nieładzie na łóżku.

— Moi żołnierze i beze mnie wiedzą, jak trzymać się w szeregu, za to moja żona wymaga przypomnienia, czyją jest własnością. — Podeszedł do niej i odsunął na bok fotel. Nogi przesuwane się po drewnianej podłodze przypominały szuranie o wieko trumny, przynajmniej tak ten dudniący dźwięk skojarzył się pobludłej ze strachu Émilie. Charles jeszcze jej nie tknął, ale ona już czuła ból całego ciała i paniczny lęk przed tym, co dopiero przeczuwała, że się stanie, a co wydawało się nieuchronne. Serce waliło jej jak szalone, kolana miała jak z waty. Jakimś ostatkiem woli usiłowała sobie wmówić, że mąż nic jej nie może zrobić, lecz irracjonalne przeczucie odsuwało na bok zdrowy rozsądek.

— Dlaczego nie powiedziałaś mi, że chcesz jechać do Warszawy?

Szpicruta strzeliła o cholewę. Émilie podskoczyła, jakby smagnięcie dotknęło jej skóry.

— Nie sądzisz, że powinnaś zapytać o pozwolenie?

— Wyjazd nie był moim pomysłem. Hrabina Walewska ma tam syna, ja mam jej tylko towarzyszyć w podróży.

— Syna, powiadasz. Ja też miałem syna — wysyczał Charles z twarzą przy jej twarzy.

Szpicruta przecięła powietrze i ponownie uderzyła w skórę buta, ale tym razem Émilie nawet nie drgnęła.

— Będziesz go miał — odparła słabo.

Pierwszy cios był tak silny, że zgięła się w pół i upadła na podłogę, bo trafił prosto w brzuch.

— Przestań kłamać, suko! — Szarpnął ją za włosy i zaciągnął na środek pokoju.

Usiłowała chwycić jego dłoń i podciągnąć się na nogi, ale nie miała szans.

— Pozbyłaś się mojego syna, dziwko.

Szpicruta spadała na jej ciało w rytm słów, tnąc ubranie i skórę.

— Obiecywałem ci, że tego nie przeżyjesz. A wiesz, że ja zawsze dotrzymuję słowa. Brzydzę się tobą, bo gdyby nie to...

— Proszę cię, Charles! Przestań! Ja nie chciałam... — Starła się zasłaniać twarz i głowę.

— Wiem, że go nie chciałaś. Jesteś gorsza od suki, bo ta dba o miot!

Émilie próbowała wstać, ale tym razem kopnął ją, bo widać zmęczył się machaniem szpicrutą. Dyszał ciężko, kiedy znowu chwycił ją za włosy i podciągnął ku górze tak, że musiała mu patrzeć w twarz. Czuła, że po policzkach płyną jej łzy, może krew. Piekła ją skroń i skóra na głowie, bolało obite biodro i brzuch.

Bywało gorzej — pomyślała z satysfakcją i gdyby nie Marie, zupełnie nie dbałaby o to, czy jej nie zabije. Ale musiała odzyskać córkę. Musiała przeżyć.

— Chciałam je urodzić — wybełkotała niewyraźnie, bo zaczynała jej puchnąć warga. — Ono umarło jeszcze we mnie.

— Szmata! — Razem z obelgą spadł na jej głowę cios, od którego zadzwoniły jej zęby i pociemniało w oczach. Nie słyszała, co oprawca do niej mówił, a w oczach miała mgłę. Kolejne uderzenia odbierała, jakby były przytępione, jakby nie docierało do niej, że zaczyna się krztusić własną krwią, że leży bezwładna na podłodze, że świat ginie za zasłoną nocy, osaczającej ją jak wnętrze szkatuły wybitej bordowym aksamitem.

II

Poranek dnia następnego, kiedy Maria i Émilie miały wyruszyć do Warszawy, nie zapowiadał się

zbyt optymistycznie. Ciężkie chmury groziły ulewą, choć na razie siał tylko drobny deszczyk. W oddali pomrukiwała zbliżająca się burza, świat spowijała mgła. Mimo to zgodnie z planem kryty, wygodny ekwipaż zajechał przed wejście, a konie niecierpliwie parskały i przebierały kopytami po mokrym żwirze. Maria jednak nie wychodziła z pałacu. Wciąż czekała na towarzyszkę podróży, która nie pojawiła się w holu pałacowym o wyznaczonej porze, choć podobno wysłany do jej pokoju sługa pukał do drzwi.

Walewska przechadzała się zdenerwowana po części korytarza, w której znajdowała się klatka schodowa, i wyglądała co chwila na podjazd. Zaczynała być nawet zła na Francuzkę, że ta każe na siebie czekać, bo przecież nikt nie powinien zobaczyć tajemniczego gościa cesarskiego. Rzykowała, spacerując po holu. Wreszcie posłała do żony generała pokojową, która akurat z niepewną miną przechodziła do pomieszczeń położonych w głębi pałacu. Dziewczyna wróciła dość szybko. W oczach miała strach.

— Pokój jest pusty, wasza miłość. — Dygnęła i umilkła.

— Jak to pusty? — Walewskiej w pierwszej chwili wydawało się, że coś źle zrozumiała, bo nie miała wielu okazji, by doskonalić znajomość niemieckiego.

— Nie ma w nim nikogo, pani. Ubrania tylko rozrzucone na łóżku, a na podłodze... — Dziewczyna zawahała się, ale zdecydowała się dokończyć myśl. — Na dywanie są chyba ślady krwi.

Walewska struchlała. Machnięciem ręki odprawiła dziewczynę, usiłując ogarnąć rozumem to, co usłyszała. Analizowała słowa pokojowej. Nie mogło być mowy o pomyłce. Tak proste słowa jak *Blut* i *Teppich*¹⁶ zrozumiałoby nawet dziecko. Pytanie, co miała w tej sytuacji zrobić. Wsiąść do powozu i pojechać do Warszawy, czy odwołać wyprawę i próbować się dowiedzieć, co przydarzyło się Émilie? Nie mogła ot tak wybrać się do oficyny i szukać żony generała. Choć przyszło jej to do głowy. Wyłamując sobie ze zdenerwowania palce okryte rękawiczkami, wyjrzała przez okno na Iłłnacy od deszczu krajobraz i dostrzegła postać w długim, wojskowym płaszczu, zmierzającą ku pałacowi od strony południowej oficyny. Oczywiście pałac był zbyt dobrze pilnowany, by mógł się tu ktokolwiek dostać. Zakapturzony osobnik podszedł do powozu, zagadnął woźnicę kulącego się pod peleryną dla ochrony przed mżawką, a potem obejrzał się na okno, w którym stała Walewska, aż ta cofnęła się w głąb korytarza przed tym wścibskim wzrokiem. Serce kobiety zabiło mocniej i już miała uciec na schody i udać się do swojego pokoju, kiedy mężczyzna podszedł do drzwi. Straż mówiąca po francusku oczywiście odmówiła wpuszczenia go, ale Maria słyszała, że przekonywał ich, by pozwolili mu przekazać ważną wiadomość niejkiej hrabinie Walewskiej. Zbliżyła się do muru udającego draperię i wyjrzała zza niego, by lepiej słyszeć, co mówi nieznajomy.

— Do diaska! — zaklął po polsku natręt. — Mam wiadomość od generałowej Treillard — dodał po francusku.

Serce Marii zabiło zwałwiej. Kim był ten Polak i co miał wspólnego z żoną generała?

— Skąd pan zna Émilie Treillard? — zapytała po polsku, podszedłszy do drzwi. Na szczęście hol był pusty i poza strażą nikt jej nie widział. Uspokoiła wartowników władczy gestem, choć nie była pewna, czy wiedzieli, kim jest, bo przyglądali jej się zdziwieni, ale nie dbała o to. Wystarczyło, że stała po właściwej stronie drzwi. Na wszelki wypadek cofnęła się, gdy nieproszony gość przekroczył próg i zatrzymał się za nim.

— Czy hrabina Walewska? — upewnił się przybysz po francusku.

Pod płaszczem miał mundur, więc z pewnością był jednym z Polaków zwerbowanych do francuskiej armii.

— To ja. Coś pan za jeden? I co się dzieje z żoną generała Treillarda?

— Taki z niego generał, psia mać... — zaczął mężczyzna po polsku, ale zaraz się zmiętygował, bo rozmawiał przecież z rodaczką, która rozumiała go aż za dobrze. Skłonił się przepaszająco. — Proszę wybaczyć, wasza miłość, powinienem się przedstawić. Pułkownik Michał Sniegocki. — Skłonił się ponownie, nieco teatralnie. — Gdyby pani wiedziała, hrabino, zrozumiałaby pani moją złość. Ech, szkoda słów na takiego łotra. — Machnął ręką i spłoszony spojrzął na dwuskrzydłowe drzwi za plecami Walewskiej, zza których dało się słyszeć głosy.

Hrabina również umilkła i przerażona, że lada moment ktoś zobaczy ją na rozmowie z tym człowiekiem, ruszyła ku swej poprzedniej kryjówce, czyli za załamanie ściany z wyrzeźbioną na nim

draperią. Wychyliła się stamtąd i gestem przywołała gościa do siebie.

— Jaką ma pan dla mnie wiadomość? I dlaczego Émilie nie pojawiła się tu sama? — spytała szeptem po polsku.

— Nie pojawiła się, bo ten łajdak, generał, prawie ją zatłukł — wysyczał żołnierz, a jego dłonie mimowolnie się zacisnęły.

Pod Walewską ugięły się nogi. Émilie bała się swego męża, wiele razy powtarzała, że bywa nieobliczalny, ale czy to możliwe, by ją pobił?

— Dlatego musi ją pani zabrać ze sobą i ukryć w bezpiecznym miejscu, z dala od tego...

— Skąd pan wie, że się dokądkolwiek wybieram? — weszła mu w słowo, zanim posypały się kolejne obelgi. Zdała sobie sprawę, że pytanie było dość naiwne. Ekwipaż stał przed wejściem, a ona w stroju podróżnym czekała gotowa do drogi.

— Madame Treillard odzyskała na krótko przytomność. Powiedziała o waszym wyjeździe. — Żołnierz zrobił znaczącą pauzę. — Ona tu nie doczeka jutra. Błagam, niech ją pani stąd zabierze, zanim generał ją znajdzie i zabije.

Walewska nie miała pojęcia, jak wywieźć Émilie z pałacu. Chciała to powiedzieć przybyszowi, ale on nie dał jej dojść do słowa.

— Generał zabronił służbie do niej wchodzić. Zostawił ją bez pomocy. Podobno został wezwany przez marszałka i tylko dlatego Émilie wciąż żyje. Wystarczy, że niezwłocznie wyjedzie pani, hrabino, do Warszawy, a ja podwiozę madame Treillard do traktu. Proszę nas wyglądać i uprzedzić woźnicę, ja zadbam o resztę.

— Boże, ale gdzież ja mogę ją ukryć?

— Jest jedno miejsce... Sam bym się tam wybrał, lecz nie mogę wbrew rozkazom opuścić pułku. Musiałbym zdezerterować. Lada moment wyruszamy na północ. Zresztą madame Treillard nie przeżyje tej podróży, jeśli przyjdzie jej odbyć ją konno. Wygodny powóz może być dla niej jedynym ratunkiem.

Walewska gorączkowo rozważała wszystkie wyjścia z sytuacji. Nie dość, że była tu gościem, którego nikt nie powinien był widzieć, nie dość, że narażała się, prosząc cesarza o możliwość wyjazdu, to jeszcze teraz miała porwać żonę generała. Bo jeśli zdecyduje się pomóc Śniegockiemu i zabrać Émilie, to będzie porwanie.

— Dokąd miałabym z nią jechać?

— Do Podolan. Tylko tam będzie bezpieczna. Dziękuję pani, hrabino, z całego serca. — Mężczyzna upadł jej do nóg i próbował ucałować dłonie, ale wyrwała je z jego rąk.

— Proszę wstać. Jest jeden warunek.

— Cokolwiek pani zechce, hrabino.

— Nikt nie może się nigdy o tym dowiedzieć, a moje nazwisko nie może być w żaden sposób związane z tymi wydarzeniami na wypadek ujawnienia całej historii. I tak wystarczająco mocno nadwerężam reputację — urwała, bo niemal powiedziała zbyt dużo. Była mężatką, a tymczasem przebywała w obcym kraju, u boku cesarza, a teraz miała jeszcze wywieźć stąd w tajemnicy żonę Treillarda, francuskiego generała.

— W Podolanach będzie mogła pani stanąć na popas w drodze do Warszawy i z powrotem. Nikt nie musi wiedzieć, w jakim celu się tam pani zatrzymuje — podpowiedział Śniegocki. — Uratuje pani życie tej kobiecie.

Targana licznymi wątpliwościami Walewska zgodziła się pomóc wywieźć generałową z Finckenstein. Czym prędzej wsiadła do oczekującego na nią powozu, który zaraz ruszył na południe, eskortowany przez oddział konnej straży. Ledwie ujechali kilkanaście staj, a powóz zatrzymał się i z zewnątrz dały się słyszeć podniesione głosy żołnierzy i woźnicy. Wśród nich Walewska rozpoznała Śniegockiego, zwłaszcza po jego koślawym francuskim i rzucanych czasem obelgach w ojczystym języku. Najpierw wyjrzała przez niewielkie okienko, szczelnie zasłonięte, by nikt nie mógł spostrzec, kim jest pasażer powozu, a potem uchyliła drzwi i najbardziej władczym głosem, na jaki było ją stać, wydała straży dyspozycje, by przepuściła jeźdźca.

Śniegocki miejsce spotkania wybrał idealnie, to Walewska musiała mu przyznać. Znajdowali się w środku zagajnika, gdzie nikt postronny nie mógł zobaczyć całej operacji. Nie przyjechał sam. Na koniu

przed nim siedziała, a raczej opierała się o niego, kobieca postać, szczelnie okryta płaszczem z kapturem, pod którym twarz pozostawała zupełnie niewidoczna. Zdradzały ją jedynie damskie trzewiki wystające spod krańców okrycia.

— Niech się pani trzyma, madame — szepnął do kobiety Śniegocki i krzyknął do żołnierzy: — Pomóż no mi który!

Dowódca z krzywą miną najpierw zaprotestował:

— Mamy rozkaz nigdzie się nie zatrzymywać i nie brać żadnych pasażerów pod jakimkolwiek pozorem.

Koń zatańczył pod nim niespokojnie, jakby chciał potwierdzić te słowa. Żołnierz wydał stosowne dyspozycje, dopiero kiedy Walewska poparła okrzyk Śniegockiego swoim autorytetem.

Dowódca straży skinął na najbliższego mu żołnierza, który zeskoczył z konia i pomógł Śniegockiemu bezpiecznie zdjąć z grzbietu wierzchowca zakapturzoną postać. O tym, że wciąż żyła, świadczył słaby jęk wydobywający się spod kaptura. Polak chwycił kobietę na ręce i sapiąc, zapakował ją do powozu, gdzie ułożył ją na wymoszczonym miękkim suknie siedzisku. Walewska obserwowała to wszystko ze swojego siedzenia z lekką konsternacją. Dopiero kiedy wilgotny od ciągle sypiącej się z nieba mżawki płaszcz odsłonił twarz kobiety i Śniegocki odsunął się na bok, żeby okryć ją pledem, Walewska przeraziła się nie na żarty. Émilie była zmieniona nie do poznania. Jej głowa stała się z lewej strony opuchnięta i granatowa od siniaków, a przez to zdeformowana tak, że nie było widać oka. Rozcięta na policzku skóra, której brzegi się rozeszły, wyglądała strasznie. Usta nie przypominały tych ładnie zarysowanych, kształtnych warg zapamiętanych przez Marię, bo całe były poranione i opuchnięte. Nawet kłykcie u rąk Émilie miała poodcierane i pokrwawione.

— O mój Boże — szepnęła po polsku Maria i zakryła usta dłonią w rękawicze.

Prawa powieka Émilie uniosła się. Na jej twarzy pojawił się grymas, który pewnie miał być uśmiechem, lecz widać sprawił kobiecie tyle bólu, że aż jęknęła. Francuzka chciała coś powiedzieć, jednak jej głos był cichy i kosztowało ją to sporo wysiłku. Zamilkła więc i zamknęła oko. Wyglądała, jakby umarła, tylko piersi delikatnie falowały i pozwalały wierzyć, że wciąż żyje.

— Mówiłem pani, hrabino, że to potwór. — Śniegocki popatrzył na zszokowaną Walewską, w oczach której lśniły łzy.

— Czy ona przeżyje tę podróż?

— Wymiotowała po drodze. Jazda konna w tym stanie to nic dobrego. Nie wiadomo, jak długo była nieprzytomna. Widział ją lekarz i zakazał ruszać. Podobno z jej głową może być coś nie tak, ale nie miałem wyjścia. Musiałem ją stamtąd zabrać. — Skończył okrywać Émilie i delikatnie uściśnął jej ramię, na co kobieta nie zareagowała. — Gdyby zmarła w drodze... — Głos Śniegockiego zadrżał. — Proszę zostawić tę wiadomość w Podolanach.

Odetchnął głęboko i chwycił się odrzwia, żeby wyjść z powozu, kiedy Walewska zapytała:

— Dlaczego? Kim ona jest dla pana, że chce ją pan uratować?

Śniegocki uśmiechnął się smutno.

— Dobre pytanie, pani hrabino. Mój najlepszy przyjaciel popadł przez nią w tarapaty, a mnie grozi to samo, jeśli sprawa się wyda. Ale, jak mniemam, to jedyna osoba, która może oczyścić mego przyjaciela z zarzutów o szpiegostwo i zdradę. Ratując ją, uratuję mego kamrata i oczyścę jego dobre imię. Dziękuję za pomoc i niech Bóg panią błogosławi, hrabino, a Najświętsza Panienska ma w opiece — mówiąc to, skinął Walewskiej na pożegnanie i wyskoczył z powozu prosto w wiosenną szarugę. Deszcz zacinął coraz mocniej.

Walewska została sama z Émilie. Woźnica zakrzyknął i powóz potoczył się najpierw wolno, a potem coraz szybciej. Głowa nieprzytomnej kołysała się na boki, więc Maria, tknięta współczuciem, usiadła obok poturbowanej i zadbała, by pled nie zsunął jej się z ramion.

Podróż była tak pomyślana, że na popasach zmieniano tylko konie i powóz jechał ubitymi pruskimi traktami dalej. Do Podolan Walewska dotarła późnym wieczorem po dwóch dniach, a według tego, co przekazał jej dowódca straży, następnego dnia mieli już stanąć w Warszawie.

Walewska oczywiście zataiła swe prawdziwe nazwisko i w Podolanach podała się za przyjaciółkę Émilie. Przedstawiła się jako Francuzka, udając, że kompletnie nie rozumie, o czym

rozmawiają mieszkańcy dworu. Tak było po prostu bezpieczniej dla niej samej, w razie gdyby generał zechciał odszukać małżonkę.

III

Pod koniec maja skapitulował oblegany przez Francuzów Gdańsk, a już na początku czerwca Bennigsen, po prawie trzech miesiącach spokoju, zaczął wysyłać do walki pierwsze oddziały, które atakowały Francuzów. Wśród walczących z Rosjanami znalazł się pułk Antoniego. Żołnierze nie zdążyli nawet wypocząć po przybyciu do obozu. Zaraz rzucono ich w wir walk, śladem Bennigsen, w stronę Bartenstein¹⁷, a potem dalej na Friedland¹⁸. Sam cesarz zatrzymał się w Preußisch Eylau, zaś główne siły ruszyły na Królewiec, gdzie spodziewano się zmasowanego ataku połączonych sił rosyjskich Bennigsen i niedobitków pruskich dowodzonych przez Lestocq.

Po w większości deszczowym kwietniu nastał wyjątkowo ciepły maj, więc wiosna wybuchła nagle z całą mocą. Świat zazielenił się, zakwitł i rozspiewał oszalałym z podniecenia ptactwem w ciągu zaledwie kilku nocy. Antoniemu jednak wydawało się, że przez ostatni miesiąc dni zlewały się w jedno, że nie różniły się niczym, bo wciąż gdzieś jechał niekończącymi się traktami, a każdy cel okazywał się w końcu tylko kolejnym etapem wędrówki. Kurz wzbijany przez końskie kopyta osiadał na ubraniach, wierzchowcach, broni i na wymęczonych wysokimi temperaturami żołnierskich głowach. Bitwy, w których Antoni brał udział z polskimi oddziałami, były jak kamienie milowe, jak chwilowe oderwanie myśli od monotonii nieustannego przemieszczania się.

Podolski skupiał wszelkie siły na tym, by przeżyć. Nie miał czasu, by rozpamiętywać chwile spędzone z Émilie. Wieczorami padał na pospiesznie przygotowane z płaszczu i wsuniętej pod głowę derki poślanie albo drzemał w siodle, wyzyskując każdą chwilę na odpoczynek, tak potrzebny po wielu dniach wędrówki i walk. Na szczęście nie brakowało teraz żołnierzom żywności, bo dostawy odbywały się bez przeszkód. Antoni zobojętniał do tego stopnia, że widząc wrogi mundur, zaczynał automatycznie najpierw strzelać i zaraz potem siec szablą bez opamiętania, mając w uszach własny krzyk strachu i wściekłości, który zagłuszał krzyki jego towarzyszy, jęki umierających oraz dziki kwik koni. Stracił poczucie sensu tej wojny. Zgubił z oczu cel, jakim miała być przygoda, ale też patriotyczny poryw serca. Wszystko to rozmyło się w huku dział, zblakło w promieniach słońca, do którego odwróceniem tyłem walczyli w upiornym odorze śmierci, który niósł się za nimi i nie ustawał nawet w tych rzadkich chwilach, gdy mogli obmyć się w wodach napotkanych po drodze rzek i jezior.

Zwycięski pochód tropami wojsk rosyjskich zakończył się pod Friedlandem. Opustoszałe miasto zajęli bez większego wysiłku, jednak wróg nie spał. Oddziały jazdy, a wśród nich też obecny pułk Antoniego, które zazwyczaj poprzedzały główne siły korpusu, ponieważ poruszały się szybciej od pozostałych żołnierzy, zostały wyparte z Friedlandu, zanim dotarła do nich reszta wojska.

Podolski z kilkoma towarzyszami zapędził się w odwrotnym kierunku niż pozostali jeźdźcy. Rosjanie im umknęli, a oni już mieli wracać, ale postanowili dojechać do brzegu zagajnika. Jakież było zdziwienie, kiedy po wychyleniu się z lasu ich oczom ukazał się obóz rosyjski oddzielony od nich wstęgą rzeki, na którą jak ozdobny wisior nanizano miasteczko. Obóz rozłożony był na tyle szeroko, że nie pozostawiał wątpliwości o sile wroga. Setki namiotów, tysiące żołnierzy, umiejętnie rozłokowanych dział, wszystko to, ukryte za ścianą lasu, osłaniane było wzgórzami przed oczami Francuzów, którzy nawet się nie domyślali potęgi, jaką zgromadził Bennigsen przeciwko jednemu korpusowi francuskiemu. Bo cesarz wszystkie siły wysłał na Królewiec, tam spodziewając się decydującej potyczki.

— Co do kroćset... — zaczął i zaraz urwał jeden z towarzyszących Antoniemu młodych Polaków, gdy Podolski zajechał im drogę, żeby zatrzymali się tam, skąd mogli obserwować obóz, pozostając niezauważonymi.

— Wojsko, setki żołnierzy — dodał szeptem inny, choć z tej odległości nie mogli być słyszani.

— Wycofać się — zakomenderował Antoni. — Natychmiast! Do marszałka!

Wyczerpane pogonią wierzchowce parskwały niezadowolone, gdy spięli je i galopem ruszyli w przeciwnym kierunku. Zapadał wieczór, nim trafili do obozu rozbijanego naprędce przez dziesiątkowane oddziały jazdy macierzystego korpusu. Dołączyły do nich też pierwsze oddziały piesze, ale wciąż ten obóz był, przy potędze zgromadzonych za miastem Rosjan, jedynie mizernym i skazanym

na porażkę zbiorowiskiem zmęczonych i poranionych żołnierzy. Antoni podjechał prosto pod wyróżniający się rozmiarem namiot dowódcy. Jego koń zarył kopytami, gdy gwałtownie ściągnął cugle, żeby zeskoczyć z niego i stanąć przed gwardzistami pilnującymi spokoju marszałka.

— Muszę pilnie rozmawiać z marszałkiem — wyrzucił z siebie Podolski na jednym wydechu.

Gwardzista zmierzył go pogardliwym spojrzeniem.

— Marszałek Lannes wypoczywa — odparł, a kiedy Antoni nie zareagował i wciąż się nie ruszał, żeby odejść, dodał konfidencjonalnym szeptem: — Zmiataj stąd, łachudro, zanim ci porachuję gnaty.

— Mam ważną informację... — Podolski nie dokończył, bo poła namiotu uniosła się i w wejściu stanął rośl, ciemnowłosa mężczyzna. Miał na sobie tylko spodnie i ubrudzoną, a być może pokrwawioną koszulę. W zapadającym zmierzchu trudno było dostrzec szczegóły.

— Co za harce wyczyniacie? — warknął. — Mówiłem, że trzeba nam siły zbierać, bo wrogowie nasi nie będą czekać, aż wypocznem.

— Ja do marszałka. Mam ważną informację — wyrwał się Podolski, ale gwardziści odepchnęli go od namiotu. Mimo to nie rezygnował. Wyrwał się i usiłował za wszelką cenę przedrzeć się na tyle blisko mężczyzny, by być słyszany. — Rosjanie mają za rzeką setki żołnierzy, artylerię... Nie mamy szans... Potrzeba nam posiłków!

— Puśćcie go! — zakrzyknął wreszcie dowódca. — Niech podejdzie.

Podolski otrzepał się, obciągnął kurtkę munduru i ominąwszy gwardzistów, zbliżył się do namiotu. Stał na baczność.

— Kim jest i czego chce?

— Szwoleżer Antoni Niewiadomski z pułku polskiego pod dowództwem pułkownika Kazimierza Turno. Rosjanie gromadzą siły. Są ich setki, może tysiące. Rozbili obóz za miastem, osłonięci lasami i nadrzeczными zaroślami. Widać go dopiero ze wzgórza, na które zapędziliśmy się w pogoni za zbiegami — referował Podolski, wciąż stojąc z wypiętą pierśią i wzrokiem utkwionym przed siebie.

— Artyleria?

— Też, panie marszałku. Dziesiątki dział.

Mężczyzna przez chwilę nic nie mówił. Jego twarz, ukryta w cieniu, pozostawała niewidoczna dla Podolskiego, który mógł tylko mieć nadzieję, że Lannes zrobi cokolwiek z tą informacją, zanim Rosjanie wytną ich w pień. Łudził się, że nie ruszą do boju pod sztandarem bezsensownego bohaterstwa i nie będą próbowali powstrzymać siły znacznie potężniejszej od ich niekompletnego wciąż korpusu.

— Trzeba powiadomić cesarza, a do tego czasu musimy utrzymać pozycję.

— Ja pojedę! — wykrzyknął Podolski, zanim marszałek skrył się całkowicie we wnętrzu namiotu.

Podjął decyzję w ciągu kilku sekund. Znalezienie się w pobliżu cesarza mogło oznaczać nie tyle spotkanie z Émilie, która zapewne przebywała z dala od pól bitewnych, co z Treillardem. Śnił o tym nocami. Pragnął tego spotkania, choć wiedział, że generał nie będzie walczył czysto, jednak napędzało Antoniego szlachetne przekonanie, że miłość, dobro lub chociaż przyzwoitość musi wygrać. Oczyma duszy widział podłą twarz generała, po której płynęła krew. By dokonać zemsty za Émilie, za wszystkie jej cierpienia, musiał odnaleźć tego drania. Poza tym tylko jadąc w paszczę lwa, dobrowolnie oddając się w ręce cesarza, który podpisał na niego wyrok, mógł zmasać swoje winy. Udowodnić, że nie jest ani dezerterem, ani zdrajcą.

— Niech i tak będzie — odpowiedział z namysłem Lannes. — Weźmiesz dwudziestu ludzi i pojedziesz co koń wyskoczy do Preußisch Eylau. Dam ci stosowny dokument.

— Z całym szacunkiem, panie marszałku, ale tyłu chłopca zrobi za dużo rumoru. Pojadę z kilkoma ludźmi z mojego pułku.

Lannes przystał na pomysł Antoniego, co ten przyjął z ulgą tak samo jak fakt, że otrzymanie jakiegokolwiek dokumentu z pieczęcią i podpisem przyjaciela cesarza, jakim mienił się marszałek, oznaczało, że nikt nie zabroni mu dostępu do Napoleona.

IV

Antoni ledwie stał na nogach, gdy wypełniwszy u cesarza misję, dołączył na powrót do swojego

pułku, wciąż kryjąc się pod nazwiskiem Niewiadomski. Armia Francuska coraz liczniej zbierała siły pod Friedlandem. Choć rozpostarte jak okiem sięgnąć wojska z minuty na minutę zdawały się w cudowny sposób mnożyć, połyskując w porannym słońcu setkami złotych i srebrnych blach, szabli i końskiego ogłowia, to i tak Podolski z trwogą przyznać musiał przed samym sobą, że Rosjan było więcej. Przede wszystkim artyleria francuska nie nadążała za całą resztą oddziałów i to najbardziej martwiło Antoniego, bo działa dawały większą przewagę niż setki ludzi. Bitwy wygrywało się armatami.

Podolski rzucił się na jedzenie, które mu podali kompani i, napchawszy sobie żołądek, na kilka krótkich chwil zapadł w niespokojny, ale krzepiący sen, przerywany okrzykami ludzi, szczękiem broni i końskim rżeniem. Sam dowódca nakazał mu odpoczynek, widząc jego podkrążone, zapadłe w bladej twarzy oczy.

— Jak zaśniesz w siodle, na nic nam się nie przydasz — parsknął. — Czasu dużo nie masz. Podobno Rosjanie już ruszają na pozycje.

W obozie znać było nerwowe podrygiwania, jakby falowanie ludzkiej i zwierzęcej masy. Przeciągano pierwsze działa na właściwe pozycje, sprawdzano broń, stan koni i poprawiano uprzęże. Nade wszystko jednak rozmawiano, a śmiechy i żarty niosły się wysoko pod niebo, zupełnie jakby ludzie w ten sposób usiłowali odegnać śmierć, która wolno snuła się pomiędzy namiotami, zaglądała drwiąco w oczy co bardziej tchórzliwym i pytając tym odważnym. Rozmowy zagłuszały jej pochód, rozpraszały niespokojne myśli i pozwalały zapomnieć na chwilę o zbliżającym się kataklizmie.

Cały czas przybywały kolejne oddziały, które zasilały rozłożone szeroko skrzydła armii. Antoni właśnie dosiadał konia po tym, jak doprowadził się do porządku po odpoczynku, kiedy dostrzegł barwy pułkowe oddziału, którym sam dowodził, zanim stał się Niewiadomskim. Zobaczył przyjaciela, nim ten zdążył zauważyć jego. Śniegocki bowiem rozglądał się uważnie wokół, jakby kogoś szukał. Antoni był przekonany, że jego bystre oczy rozglądają się właśnie w poszukiwaniu kompana.

Na czele dywizji jechał Treillard, przed którego wzrokiem Antoni odruchowo ukrył się za koniem, zaciskając na jego uprzęży palce tak mocno, aż pobieleły mu kłykie. Generał przejechał na tyle blisko, że Podolski mógł dokładnie ocenić rozmiar blizny, którą pod Pułtuskim pozostawiła na jego twarzy kozacka szabla. Treillard jechał do namiotu marszałka, by zapoznać się z planami bitwy, którą wyreżyserował cesarz. Rosjanie pozostawiali nieświadomi potęgi, która ciągnęła właśnie w ich stronę, bo podobno złapano rosyjskich zwiadowców. Zanim przeciwnicy zdołaliby wysłać następnych, bitwa miała się zacząć.

Śniegocki został z pułkiem na obrzeżach obozu i Antoni stracił okazję, by się do niego zbliżyć, tym bardziej że właśnie jego oddział musiał ruszać na pole bitwy. Jeszcze raz zerknął w stronę dawnego pułku, gdzie plamy granatowo-białych oficerskich mundurów o czerwonych wyłogach odcinały się od kapot i przypadkowej zbieraniny odzienia szeregowców, a oficerskie kity wysokich, czworograniastych rogatywek podrygiwały ochoczo w rytm werbli. Serce Antoniego też podrygiwało z niecierpliwości, z chęci walki, chęci stawienia czoła swemu przeznaczeniu.

Wreszcie wojska zajęły dogodne pozycje i pierwsze oddziały rosyjskie ruszyły do ataku. Były to bardziej zaczepne działania, mające na celu sprowokowanie potyczki, ale też zorientowanie się w sile wroga. Słońce osuszało resztki rosy z traw i krzewów, a znad lasów unosił się wilgotny opar. Na polach panowała nienaturalna cisza, nabrzmiała oczekiwaniem.

Najpierw tę ciszę wypełniło drżenie ziemi przeradzające się w tętent kopyt, następnie dyszenie setek ludzi i koni pędzących przed siebie. Rosjanie gnali zwartą masą, ale strzelcy po francuskiej stronie jeszcze nie ruszali, jeszcze nie składali się nawet do strzału. Jeźdźcy czekali na rozkaz, choć konie pod nimi tańczyły, wciągając do rozszerzonych chrapów zapach zbliżającej się nawałnicy rosyjskiej.

Wreszcie padł rozkaz do ataku. W huku, dymie i wśród okrzyków wyrrywających się z tysięcy gardeł, ruszyli do boju. Antoni gnał przed siebie, z czapką zsuniętą na tył głowy, niemal zerwaną przez pęd powietrza. Wbił się w oddziały wroga jak kula armatnia rozrywająca wszystko, co stało jej na drodze. Pamiętał, by ciąć i by nie przestawać machać szablą, choć przez gryzący w oczy dym, unoszący się z setek strzelb, niczego nie widział. Jednocześnie posuwał się z ukosa w prawo, gdzie spodziewał się spotkać oddział Śniegockiego. Dyszał ciężko, co i raz podrywał konia, który tratował kopytami umierających i parł przed siebie, wzdłuż łamiących się szeregów lekkiej jazdy rosyjskiej. Po twarzy

płynął Antoniemu pot i łzy wyciskane z oczu przez odór krwi, ziemi, kurzu i ludzkich wydzielin. Coraz łatwiej przebijał się przez szeregi wroga, które uginały się, cofały i miejscami przeredzały. Artyleria jeszcze nie zaczęła ostrzelać, ale Podolski zdawał sobie sprawę, że jest coraz bliżej momentu, w którym znajdzie się w polu rażenia dział.

— Antoni!

Wydawało mu się, że ktoś go nawołuje, lecz nie mógł się rozejrzeć, bo miał przed sobą dwóch kozaków o zawziętym spojrzeniu. Atakowali z impetem z obu stron. Uniesiony w siodle, ledwie odparowywał ciosy. Słabł z każdą sekundą. Nie czuł nawet, że jeden z wrogów ciął go po kurtce munduru na piersi, gdzie natychmiast zaczęła wykwitać krwawa plama. Kiedy dołączył do kozaków trzeci żołnierz, Podolski pomyślał, że to koniec i ta myśl sprawiła, że miał ochotę zapłakać. Z krzykiem, z zamkniętymi oczami, bo już i tak niczego nie widział, rzucił się w przód, w akcie desperacji ściskając udami konającego pod nim konia.

— Podolski, łajdaku!

Nie wydawało mu się. Raptem przed nim było jednego kozaka mniej, bo właśnie zsuwał się z grzbietu wierzchowca, którego ochlapywał krwią. To wyhamowało impet pozostałych przeciwników. Ku Antoniemu wyciągała się ręka. Chwycił ją w ostatniej chwili. Odbił się od strzemion, od siodła i wskoczył na grzbiet konia, na którym siedział pozbawiony czapki Śniegocki. Wierzchowiec przysiadł, dźwignął zad ku górze, jednak nie był już tak zwrotny, więc musieli się wycofać. Antoni przerzucił szablę w lewą rękę i machał nią na oślep. We dwóch na jednym koniu, zwróceniu do siebie plecami, wyglądali jak jakaś upiorna machina wojenna. Wokół nich wrzała bitwa, pryskała ziemia od spadających coraz bliżej kul armatnich jednej i drugiej strony. Mimo wszystko szeregi rosyjskie przeredziły się chwilowo i oni mogli złapać oddech.

— Potrzebuję konia! — wrzasnął do Śniegockiego, a ten tylko skinął głową i ściągnął cugle. Antoni rozejrzał się, ocierając twarz z potu i krwi. Zeskoczył z końskiego zadu, korzystając z chwili, w której wokół nich znalazło się trochę przestrzeni. Śniegocki ruszył ku linii wroga, żeby osłonić przyjaciela, a Podolski wypatrywał jakiegoś błakającego się po polu bitwy rumaka, kiedy dostrzegł Treillarda. Mężczyzna z rykiem, obłędem w oczach, pochylony w siodle tuż nad końskim łbem, szarżował wprost na niego.

— Antoni!!! — wrzeszczał, ile sił w płucach Śniegocki, chcąc ostrzec przyjaciela. Zawrócił konia i stanął na drodze rozpędzonego generała, ale ten nie miał zamiaru się zatrzymać. Ciął na odlew i Antoni miał wrażenie, że czas zwolnił. W dymie, kurzu, ryku i huku Michał zachwiał się w siodle, ręka dzierzająca szablę opadła, a jego zdziwione, zamglone spojrzenie omiotło pole walki i spoczęło na Podolskim. Usta Śniegockiego poruszyły się, ale zamiast słów, popłynęła z nich krew.

Armatnia kula z gwizdem zaryła w ziemię i obryzgała wszystko piachem. Podolski upadł. W uszach mu dzwoniło, w ustach miał grudy ziemi. I przyjaciel, i Treillard zniknęli mu z pola widzenia. Krztusił się i próbował złapać oddech. Wokół zapanował mrok. Na szczęście w garści wciąż ścisnął szablę, jakby tylko ona jeszcze łączyła go z rzeczywistością, w której była już wyłącznie śmierć. Dysząc i parskając, ruszył na poszukiwania Treillarda. Nie myślał. Łaknął zemsty, okrucieństwa, krwi, która mogłaby zmyć zło, jakie wyrządził generał.

— Treillard! — wołał go, krążąc po nagle opustoszałym polu. A może po prostu nie widział już niczego i nikogo, bo oczy pokryła mu krwawa mgła. Kule armatnie raz za razem wzbijały w powietrze tumany piachu, ale nie zważał na to. — Treillard!!!

Pozbawiony konia generał wyłonił się z bitewnych dymów i piachu sypiącego się z nieba jak deszcz.

— Szukałeś mnie? — Głos przeciwnika dochodził do Antoniego jak zza ściany. Treillard kroczył w jego kierunku z gołą głową, a jego twarz, pokryta smugami brudu z jarzącymi się w niej nabiegłymi krwią oczami, przypominała wizerunki diabłów widywanych na kościelnych malowidłach.

Antoni nie odpowiedział, tylko przerzucił szablę z ręki do ręki. Nabral powietrza i zaatakował pierwszy. Treillard zaśmiał się głośno, kiedy odparował cios. Chwilę krążyli wokół siebie, połączeni niewidzialną nicią spojrzeń jak tancerze, którzy właśnie rozpoczęli śmiertelnego kadryla.

— Na twoim miejscu podstawiłbym łeb pod własną szablę — wysyczał Treillard. —

W przeciwnym razie zginiesz jak ta dziwka, Émilie.

Antoni na dźwięk imienia ukochanej rzucił się w przód i zaczął na osłep ciąć, nie zwracając uwagi, czy w ogóle dosięga przeciwnika. Ten skutecznie odparowywał wszystkie ciosy. Czekał, aż Podolski opadnie z sił. Antoni, ciężko dysząc, z oczami pełnymi łez wściekłości, odskoczył, by odpocząć. Wtedy Treillard zaatakował z całym impetem, a młodzieniec cofał się krok za krokiem, broniąc się z coraz większym trudem. Wreszcie ostrze szabli generała sięgnęło jego ramienia. Nie poczuł tego, podobnie, jak nie czuł wcześniejszego cięcia na piersi. Kurtka munduru osłabiła siłę pchnięcia.

— Co zrobiłeś Émilie? — wysapał Antoni, gdy przeciwnik się zmęczył i tym razem to on, zdyszany, musiał zwiększyć dystans.

— Zapytaj, czego nie zrobiłem — zaśmiał się Treillard.

Antoni ponownie rzucił się na niego, próbując odpędzić obraz naznaczonej bólem twarzy kochanej kobiety. Tym razem jego szabla zostawiła ślad na piersi przeciwnika, który tylko zmrużył oczy i zacisnął zęby. W ferworze walki nie zwracali uwagi na to, że zostali niemal sami na opustoszałym polu. Nie słyszeli ani jęku rannych, ani przewalających się obok splątanych walką sił. Bitwa trwała, lecz strona rosyjska wyraźnie odsunęła się w kierunku Łyny płynącej leniwie w stronę Friedlandu.

— Zabiję cię — parsknął Antoni i splunął pod nogi generała.

— Nie sądzę, ale próbować możesz, choć to nie zwróci życia tej ladacznicy. — W dłoni Treillarda błysnął niewielki sztylet. Wyjął go z cholewy wysokiego oficerskiego buta.

Czerwona mgła powlekająca dotąd oczy Antoniego pociemniała, jakby zgasało nagle światło, jakby zaciągnięto bordową kotarę, za którą zniknęło słońce, pole walki i Treillard. To ludzkie ścierwo zabiło Émilie, jego Émilie, i pozbawiło życia Śniegockiego. Podolski nie miał po co żyć. Najpierw musiał uśmiercić tę bestię, która nie zasługiwała na uczciwą walkę, a jedynie na powolne konanie w męczarniach.

— Nie zasługiwałaś na nią, dlatego wołała mnie — wykrzyknął Podolski. — To ja pochowałem twojego syna, a potem miałem ją wyłącznie dla siebie. Kochała tylko mnie. Do ciebie nie należała nigdy...

Nie dokończył. Osiągnął swój cel. Treillard z rykiem nienawiści na ustach uniósł szablę nad głową, ale przeciął powietrze, bo Antoni w porę odskoczył. To dodało sił generałowi. Natarł z furią ponownie, zamierzył się jeszcze raz. Podolski skontrował jego cios uniesionym ostrzem. Zwarli się w śmiertelnym uścisku, ich twarze dzieliły centymetry. Antoni patrzył w puste oczy mordercy, kiedy poczuł, jak zimne ostrze wsuwa się w jego lewy bok, a wraz z nim ciało eksploduje bólem. Zacisnął zęby, żeby nie stracić przytomności, i nie odrywał oczu od Treillarda, na twarzy którego malował się triumf, bo był pewien, że wygrał. Podolski zatoczył się do tyłu, by zwiększyć dystans. Wbił szablę w ziemię, jakby chciał się na niej wesprzeć.

— Może i nie należała do mnie, ale twoja też już nigdy nie będzie — warknął Treillard i zamachnął się, by jednym czystym ciosem dobić chwiejącego się na nogach Antoniego.

Podolski wyszarpnął krótki sztylet z rany. Ból rozrywał go i pulsował, sprawiając, że cały świat stawał się ostry. Wszystko wokół siebie postrzegał jakby powiększone, jasne i wyraziste. Chmury dymu, kurzu, konie pozbawione jeźdźców, wracające z pola walki, majestatyczną, czarną ścianę lasu. Nie miał czasu do namysłu. Zamachnął się i ostatkiem sił wyrzucił z siebie w jednym krzyku całą żalność. Sztylet wbił się w gardło Treillarda niezbyt głęboko, ale wystarczająco, by ten nie mógł wydusić z siebie nawet słowa. Za to zdziwienie malujące się na jego wykrzywionej bólem twarzy mówiło wszystko.

Podolski zatoczył się od tego nagłego wysiłku i bólu, a krew bluzgnęła z jego rany w boku. Czuł, jak ciepłym strumieniem spływa aż do cholewy buta. Nie miał wiele czasu. Wiedział, że za chwilę straci przytomność i nie będzie miał pewności, czy dokończył dzieła. Dyszał ciężko, patrząc, jak ręka Treillarda opada razem z szablą wymierzoną jeszcze przed chwilą w niego. Generał chciał wyjąć sztylet z rany, tak jak wcześniej zrobił to Antoni, ale nie zdążył. Podolski wyrwał z ziemi ostrze swojej szabli i jednym szybkim ruchem, celując precyzyjnie, ciął wzdłuż szyi Treillarda. Krew obryzgała młodzieńca, nie przynosząc ani satysfakcji, ani ulgi. Podolski patrzył do końca, jak najpierw upada generalska szabla, a potem on sam. Jak jasna krew najpierw wytryska z rany niczym świeżo wyciskany sok z wiśni, by po chwili już tylko rozlewać się spokojnie wokół głowy generała, leżącego nieruchomo na zrytej końskimi

kopytami ziemi i wpatrującego się ze zdziwieniem w błękitne niebo nad nim.

— Amen — szepnął Podolski i stracił przytomność.

V

Upalne, wilgotne lato dawało się we znaki mieszkańcom dworu w Podolanach. Dzięki bliskości rozległego sadu przechodzącego w las, a także parku, w którym lipy każdego, kto pragnął ochłody, przygarniały w olbrzymie, rozłożyste ramiona, dawało się jakoś przetrwać gorące dni. Nawet w warzywniku chłopki pracowały dopiero popołudniami, bo żal było ruszać ziemię, by zanadto nie wyschła. W powietrzu czuć było, poza usypiającym zapachem miodu i monotonnym brzęczeniem pszczoł, rodzaj napięcia zwiastującego zmiany.

Marianna Podolska niecierpliwie wyglądała syna, Krysia Michała Śniegockiego, a pan domu wieści o odrodzeniu Rzeczypospolitej. Nawet do Podolan dotarły bowiem słuchy, że Wielka Armia cesarza pokonała ostatecznie nie tylko Prusy, ale przede wszystkim zmusiła cara do proszenia o pokój. Kwestią tygodni było zawarcie rozejmu, a jednym z jego postanowień, jak obiecywano sobie po udziale Polaków w tej wojnie, musiało być odrodzenie kraju. Nic, że wciąż trzeba było pilnować majątku przed dezertkami, wszelkiej maści włóczęgami czy nawet francuskimi oddziałami maszerującymi co jakiś czas na południe. Czuło się, jakby długo tłumiony okrzyk radości rozrywał piersi wszystkich, a nie mogąc się wydostać z gardeł, nie dawał spać, kazał wyglądać w stronę traktu i nerwowo spacerować wzdłuż stawu, znad brzegu którego rozciągał się najlepszy widok na drogę prowadzącą do dworu.

Jednak czas płynął, dni przechodziły w tygodnie. Zaczął się lipiec i dojrzewało w polach zboże, lecz żaden z wyczekiwanych mężczyzn nie pojawił się w majątku. Przyszła jedynie kojąca i rozczarowująca zarazem wieść, że Napoleon podpisał w Tylży pokój, na mocy którego utworzono Księstwo Warszawskie. Nie królestwo, nie pełnoprawne państwo, lecz zależne od Francji i rządzone przez Sasa¹⁹ księstwo.

Kiedy wydawało się, że żadne modły, żadne odprawiane w intencji szczęśliwego powrotu nabożeństwa nie odniosły skutku, na dworskiej drodze pojawił się samotny jeździec.

— Matko! — krzyczała Krysia, biegnąc przez parkowe aleje prosto do domu. Pierwsza zauważyła konnego i, nie oglądając się na Leosię, z którą spacerowała po parku, popędziła do dworu. — Jeździec... — wykrztusiła zasapana i umilkła.

Jakoż po chwili na podjazd domu wylegli niemal wszyscy jego mieszkańcy. W pierwszym szeregu stała Marianna Podolska, rozpychająca się łokciami wśród innych kobiet. Obok niej przeciskał się Wincenty, a z tyłu stała służba z Ignacym na czele.

Koń popędzony przez jeźdźca przyspieszył kroku zapewne na widok oczekujących go mieszkańców Podolan.

— Matka Przenajświętsza wysłuchała moich modlitw — wyszeptała Podolska i zalała się łzami. — Antoni, syneczku.

Młody Podolski tymczasem zatrzymał utrudzonego daleką drogą wierzchowca tuż przy zgromadzonymi, zsiadł z niego ostrożnie i upadł na kolana przed matką i ojcem. Krysia patrzyła, jak łzy żłobią na zakurzonej, bladej twarzy brata długie drogi. Nie musiał nic mówić. Ona wiedziała, że jedno życie, które Bóg miłosierny uratował, to i tak cud, a spojrzenie Antoniego, które odnalazło ją w tłumie, mówiło więcej niż tysiąc słów.

Matka przytuliła głowę syna do piersi. Nie kryła się z tym, że płacze. Ojciec też pochrząkiwał, starając się opanować targające nim uczucia, gdy syn całował jego ręce.

— Wróciłeś, synku — powtarzała Podolska. — Musisz odpocząć. Chodź.

Antoni podniósł się z klęczek i wspierany przez matkę miał wejść do dworu, ale jego wzrok padł na drobną kilkuletnią dziewczynkę o ciemnych włosach i błękitnych, wpatrzonych w niego, szeroko rozwartych oczach. Tuliła się do bladej, nieruchomej Krysi, po twarzy której płynęły bezszelestnie łzy, i pytała szeptem po francusku:

— Kto to, Christine? I dlaczego wszyscy płaczą?

Antoni zostawił matkę i pochylił się do dziecka, które z ciekawością wpatrywało się w jego twarz.

— Jak masz na imię? — zapytał po francusku.

Dziewczynka uniosła buzię i pytająco popatrzyła na Krysię. Młoda Podolska skinęła głową, a od jej rzęs oderwały się dwie duże łzy, które spadły na piersi.

— Jestem Marie de Bérier, monsieur. — Dziewczynka dygnęła i na powrót przyłgnęła do Krysinych nóg.

Antoni rozejrzył się po zgromadzonych. W oczach miał zapowiedź szaleństwa. Na koniec pytająco popatrzył na Krysię, jakby tylko ona wiedziała, co czuje i myśli.

— Pojechała na przejażdżkę konną — szepnęła do brata.

Jakby na potwierdzenie tych słów rozległ się tętent kopyt na drodze prowadzącej na pastwiska i pola, a zza gospodarskich zabudowań wyłonił się jeździec. Z daleka można było myśleć, że to mężczyzna, ale Antoni poznał ją. Wyhamowała, kiedy dostrzegła zbiegowisko ludzi na podjeździe. Antoni wyrwał się do przodu i usiłował do niej podbiec, jednak wyczerpanie i świeżo zagojone rany nie pozwalały mu przyspieszyć. Musiała też go poznać, bo zeskoczyła z końskiego grzbietu i najpierw szła, a potem już biegła, żeby w końcu wpaść w ramiona ukochanego.

— Émilie... — Tylko tyle zdołał z siebie wydusić. Potem obsypał jej twarz pocałunkami i śmiał się przez łzy bez opamiętania. — Ty żyjesz, najdroższa. Żyjesz — powtarzał, odsuwając ją co chwila na odległość ramion, jakby chciał się upewnić, że to ona, że nie śni kolejny raz o spotkaniu z nią, o jej ciepłym, szczupłym ciele, o smaku jej ust. Wszystko to trzymało go przy życiu, gdy ocknął się na polu bitwy, a potem wołał o pomoc, aż go znaleziono i dostarczono do polowego lazaretu. Potem znalazł się w Saalfeld²⁰, gdzie rozszalał się tyfus. Nawet wtedy myślał tylko o niej i jej córce, którą chciał odzyskać, by wypełnić złożoną Émilie obietnicę.

— Antoni, myślałam, że zginąłeś... — łkała.

— Twój mąż powiedział mi, że nie żyjesz, najukochańsza moja...

Kobieta w jego ramionach zeszywniała na wspomnienie człowieka, który ich nieomal rozdzielił. Uniosła zażawione oczy. Dopiero teraz Antoni zauważył szramę biegnącą przez jej policzek aż do wargi. Zacisnęła szczęki na myśl, że to bydle skrzywdziło jego Émilie.

— Co z Charles'em? — zapytała, a w jej głosie pobrzmiwał strach.

— To ścierwo gryzie ziemię na polu pod Friedlandem. Choć zasłużył na to, żeby go dzikie zwierzęta rozwlokły po lasach. — Podolski poczuł w ustach gorzki smak żółci. — Nie skrzywdzi już nikogo, nie skrzywdzi ciebie ani twojej córki. — Uśmiechnął się do Émilie, wciąż mocno ją tuląc i nie mogąc uwierzyć w swoje szczęście. — Jak odzyskałaś Marie?

— To długa historia... — zaczęła, ale musiała poczekać z opowieścią.

— Antoni, musisz odpocząć — powiedziała po polsku Marianna Podolska, kiedy do nich podeszła. Posłała Émilie spojrzenie wyrażające największe poirytowanie.

— Moja matka troszczy się zawsze o wszystkich i wszystko — odparł młody Podolski również po polsku, ale powtórzył to też po francusku.

— Niekoniecznie o wszystkich tak się troszczy — rzekła z przekąsem Émilie po francusku.

Antoni znowu się uśmiechnął, tym razem z pobłażliwością. Dobrze wiedział, że matka nie może darzyć Émilie zbyt wielką sympatią, bo przecież stanowiła dla niej konkurencję i zagrożenie. Miał nadzieję, że mimo to uda mu się przekonać rodzicielkę do swoich matrymonialnych planów, bo teraz, kiedy Treillard nie żył, mógł śmiało starać się o rękę majątnej generałowej wdowy. On sam za nic miał jej majątek, ale dla rodziców mógł to być koronny argument, by pozwolić na mariaż syna ze starszą od niego i posiadającą dziecko kobietą.

Idąc do dworu pomiędzy matką a Émilie, popatrzył na ukochaną. Nie wiedziała, że zgodnie ze słowami pruskiej akuszerki, nigdy nie da mu dzieci. Nie powiedział jej o tym, tak samo jak nie miał zamiaru uświadamiać w tym względzie rodziny. Najważniejsze, że była tuż obok. Że nastał pokój.

Została mu ostatnia rozmowa. Najtrudniejsza i zarazem najbardziej potrzebna. Krysią przysła do niego wieczorem, jakby wiedziała, że czeka na nią na półokrągłych schodach prowadzących do ogrodu. Nie widział jej cały dzień od momentu przyjazdu. Zapewne rozpaczała w cieniu radości domowników. Jego ukochana, mała siostrzyczka. Tak młoda i tak boleśnie zraniona. Nie umiał jej oszukać nawet spojrzeniem, ale potrafił sobie wyobrazić jej ból, który tak mocno odcinał się od szczęścia

jego i Émilie.

Brat i siostra stali obok siebie w lepkiej ciszy wieczoru, rozpraszaney jedynie pobrzękiwaniem świerszczy.

— Co z ciężącym na tobie wyrokiem? — zapytała szeptem Krysia. Otuliła się szczelnie chustą, choć wieczór był ciepły.

— Anulowany. Gdybym nie zapędził się za rosyjskimi uciekinierami, nie mógłbym ostrzec marszałka, a potem cesarza, co knują Rosjanie. — Na wspomnienie owej pamiętnej rozmowy z Napoleonem, kiedy prawie go aresztowano, bo przyznał się, kim jest, zadrżał i on. — Na szczęście cesarz mnie wysłuchał, choć najpierw kazał rozstrzelać w trybie natychmiastowym. Nie było łatwo go przekonać, że żaden ze mnie dezterter, że straciłem pamięć, ale i tak wróciłem do armii, bo nie ukradłem żadnych cesarskich listów. — Antoni umilkł. Czekał, aż Krysia przetrawi jego słowa i będzie gotowa.

— Jak zginął? — wyszeptała tak cicho, że jej słowa utonęły w koncercie świerszczy.

Antoni zapatrzył się na tonący w mroku park. Długo milczał, zanim wreszcie odpowiedział.

— Zginął w walce jak bohater, ratując mi życie.

— Uratował też życie Émilie. — Głos Krysi drżał, ale wciąż zachowywała spokój. — Odebrał ją mężowi. Ledwie żywa trafiła do nas dzięki przyjaciółce.

— Przyjaciółce?

— Podobno to wysoko urodzona polska dama, ale Émilie nie chciała zdradzić jej nazwiska. To ona odebrała Marie księciu Poniatowskiemu. Wymieniła ją za jakiś ważny list, w którego posiadanie weszła Émilie jeszcze w Warszawie. Gdyby nie Michał... — Głos siostry załamał się, a Podolski zrozumiał, że zawdzięczał Śniegockiemu więcej, niż mu się wydawało. W duchu postanowił wystawić przyjacielowi nagrobek, by przy nim i on, i Krysia mogli go opłakiwać.

Antoni poszukał dłoni siostry i mocno ją uściskał, ale ona po dziecięcemu wtuliła się w jego ramiona. Jej plecami wstrząsał szloch, lecz żaden dźwięk nie wydobył się z gardła dziewczyny. Minuty płynęły, a oni stali ukryci w mroku. Brat i siostra. Bliscy sobie, jednak oddzieleni i zupełnie osobni. Ona w swoim bólu, on w szczęściu. Przed nim rysowała się wizja wspaniałego życia u boku ukochanej, dla niej właśnie zapadła noc pozbawiona najmniejszego promienia nadziei.

O AUTORCE

Joanna Wtulich – nauczycielka i bibliotekarka zakochana w książkach. Wielokrotnie wyróżniana za swoje opowiadania, m.in. na Międzynarodowym Festiwalu Kryminału (2018, 2019) i w ramach konkursu „Poznań Fantastyczny” (2019). Uważa, że przemieszczanie się i pisanie ma terapeutyczną moc. Autorka m.in. bestsellerowych cykli Trylogia lwowska i Saga napoleońska.

¹ Morąg i Olsztyn.

² Ostróda.

³ Głównodowodzący siłami rosyjskimi.

⁴ Hława Pruska, Preußisch Eylau, dzisiejszy Bagrationowsk w obwodzie kaliningradzkim.

⁵ (z francuskiego) — Jasna cholera!

⁶ Fryderyk Wilhelm III — król pruski. Wielka Armia bez większych problemów pobiła i wyparła z terytorium Prus wojska pruskie, razem z którymi wycofał się też król i królowa Luiza. Ostróda leżała w Prusach i stanowiła dla Napoleona i jego armii terytorium okupowane.

⁷ (z łaciny) — Do rzeczy.

⁸ (z francuskiego) — Strzelcy konni.

⁹ Zalewo.

¹⁰ Rok wybuchu rewolucji francuskiej, kiedy to, począwszy od 14 lipca, ciemieni chłopi masowo zaczęli powstawać przeciw swym panom. Nierzadko dochodziło do zabójstw, jeśli pan odmawiał oddania chłopom ziemi.

¹¹ (z francuskiego) — Mamusiu.

¹² Talleyrand zaczynał karierę jako duchowny, swego czasu otrzymał nawet sakrę biskupią.

¹³ (z francuskiego) — Gównno!

¹⁴ Działdowo.

¹⁵ Lubawa.

¹⁶ (z niemieckiego) — Krew i dywan.

¹⁷ Bartoszyce.

¹⁸ Obecnie Prawdńsk w obwodzie kaliningradzkim.

¹⁹ Król Saksonii, Fryderyk August I, wnuk króla Polski, Augusta III Sasa.

²⁰ Zalewo

JUŻ W KSIĘGARNIACH



Joanna Wtulich zaprasza w podróż do magicznego Lwowa z początku XX wieku i świata wyższych sfer, pełnego intryg oraz tajemnic. Lira poleca romanse historyczne z cyklu „Trylogia lwowska”!

www.wydawnictwolira.pl

L i R A
WYDAWNICTWO